

Rino Cammilleri

INKWIZYTOR

Przełożyła: Irena Burchacka

TMN

Wydanie polskie: 1999

Wstęp

*...inquietum est cor nostrum,
donec requiescat in te.
Św. Augustyn*

Bóg jest Prawdą. Kto mówi prawdę, pomnaża Łaskę na ziemi.

Z tej to właśnie miłości do prawdy, dla częściowego zadośćuczynienia za me grzechy chwytam za pióro, by skreślić te strony ku przyszłej pamięci ludzi dobrej woli.

Zabieram się do uwiecznienia na piśmie wiernej kroniki wydarzeń, zaszłych w Pizie, Roku Pańskiego Tysiąc Dwieście Czterdziestego i Siódmego od Narodzenia Naszego Pana Jezusa Chrystusa, których to wydarzeń byłem, z Bożej woli, świadkiem.

Wyczekałem na tę ostatnią chwilę mego życia, żeby, zanim udam się na sąd przed oblicze Niebieskiego Trybunału, dokonać najwyższego aktu pokory.

Bohaterowie tej opowieści od dawna nie żyją, a ja wznoszę modły i błagania, by Bóg przyjął ich dusze.

W mojej opowieści zmieniłem niektóre nazwiska, daty i pewne mniej istotne wydarzenia.

Uczyniłem to, aby nadmierne zabieganie o prawdę nie przesłoniło mi miłosierdzia, należnego potomkom niektórych z tych osób, którzy to potomkowie żyją jeszcze i mają prawo, by ich dobra sława nie poniosła najmniejszego uszczerbku z powodu przeszłości, kiedy to byli oni w kwiecie niewinności lub nawet dopiero w Bożych planach.

Każdego wszakże, kto przeczyta te stronicę zapewniam, iż opowieść nie została zmieniona w żadnej ze swych istotnych części oraz, że dołożyłem wszelkiego starania, byle tylko ten — kto chce zrozumieć — zrozumiał.

Chciałem powierzyć słowu pisanemu moje wspomnienie tak, by zajaśniała cnota pocziwych, zaś pyszni zostali zawstydzeni. Przede wszystkim zaś, niechaj się objawi w pełnym świetle człowieczeństwo i wiara prawdziwego bohatera tych wydarzeń, ojca Konrada Leclerca z Tours, z zakonu kaznodziejskiego Świętego Dominika.

Proszę szczególnie o wsparcie Najświętszą Pannę, by podtrzymywała moją dłoń i obdarzyła światłem mą pamięć i oczy, zanim zamkną się na wieki.

Za zezwoleniem przeora, in Nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. Amen.

*Dan w Cassino, w dniu św. Jana, w Roku Chrystusowym Tysiąc Dwieście
Dziewięćdziesiątym i Dziewiątym.*

I.

Wszystko zaczęło się 21 października roku 1247.

Tego ranka niebo nad Pizą nabrzmiało deszczem. Szarawe światło czyniło niewyraźnym i zamglonym słoneczne, barwne miasto, które jeszcze zachowało znakomitość Republiki Morskiej; znakomitość po prawdzie podupadła, zduszoną w tych ciężkich czasach przez arogancką Florencję i potężną Genuę. Jednak oznaki żywej mimo wszystko dumy połyskiwały jaskrawo na miejskich sztydach, rozjaśniających mroczne domy — wieże, na końskich czaprakach, tarczach, zbrojach, na banderach galer spływających Arno, hen, poza mury miasta.

Z nagle błysnęło słońce i miasto, o tej porze dnia, stało się wielobarwnym mrowiskiem: pstre stroje rzemieślników w cechowych barwach, jeszcze jaskrawiej przystrojeni szlachcice ze swoimi giermkami, mnisi dominikańscy w czarno-białych habitach, wieśniacy obnoszący całą gamę zieleni i brązów. Powietrze wypełniały kłujące w uszy melodyjne nawoływania heroldów, kupców, niewiast z dziećmi, kaznodziejów, żebraków. I jeszcze dobiegające zewsząd głosy zachwalających swe wino oberżystów; chłopców z łaźni publicznych, obiecujących czystą i nagrzaną wodę; fryzjerek i balwierek dających do zrozumienia, że mogą polecić usługi zgoła inne niż te, które głośno zachwalały; kantyleny sprzedawców pączków; litanie kotlarzy kujących miedź i głośnym okrzykiem opatrujących każde uderzenie; kto sprzedawał krzycał, kto kupował wrzeszczał, kto pytał o drogę przyłączał się do tego chóru.

Siedzący w rogu podwórca na ziemi stary żebrak, uczestnik wyprawy krzyżowej, usiłował przekrzyczeć głosy podsuwając przechodniom miseczkę i wskazując żałośnie na kikut nogi, owinięty brudnymi szmatami.

„W imię Boże, okażcie litość staremu pielgrzymowi! — wołał żalonym i łamliwym głosem. — Okażcie miłosierdzie, szlachetni Pizańczycy temu, kto wszystko oddał dla Świętej Wiary! Mały datek, bogaci panowie, bym mógł was polecić Najświętszej Pannie w moich modlitwach!”

Złota moneta sucho stuknęła o dno miseczki. Żebrak wytrzeszczył nagle oczy. Złoto! Uniósł wzrok. Naprzeciw niego stał mężczyzna w szarym płaszczu i kapturze odrzuconym na ramiona.

Żebrak przymknął oczy, by lepiej go obserwować: był wysoki i chudy, czarnooki i

czarnowłosy. Mógł mieć jakieś czterdzieści lat. Włosy miał gładkie, obcięte równo z przodu i z tyłu wedle typowej mody męskiej z tamtych lat. Gęste brwi, orli nos, wąskie usta nadawały temu obliczu wyraz siły i zdecydowania. Wystające kości policzkowe i zapadłe policzki wskazywały na klasyczny typ śródziemnomorski, ale bladość twarzy i wysoki wzrost przeczyły pierwszemu wrażeniu. Z całej postaci biła siła i spokój. A jednocześnie smutek.

Dziwny to doprawdy człowiek, myślał obserwujący go stary krzyżowiec. Wzbudza lęk a jednocześnie ufność: zdaje się móc rozkazywać samym spojrzeniem, pełnym jakiegoś magnetyzmu; na obliczu maluje się ascetyzm, jednakże wykrój ust jest zmysłowy; od nasady nosa biegnie pionowa zmarszczka, znak cierpienia. Jednak spoglądał na niego z czułością. Nie, nie mylił się, to nie był zwykły w takich razach wyraz twarzy kogoś, kto przystaje, by rzucić grosik. Ta twarz zdawała się mówić: ty o tym nie wiesz, lecz ja jestem w gorszym niż ty położeniu.

„Schylcie się, panie. Jak widzicie, ja nie mogę się unieść, by wam podziękować za waszą hojność”.

Mężczyzna przybliżył się do starego, patrząc mu w oczy.

„Niechaj Pan nasz, Jezus Chrystus, okaże wam miłosierdzie, tak jak mnie go nie okazał — rzekł żebrak. — Pod Jego znakiem walczyłem, a dzielnym byłem wojownikiem”.

Na te słowa twarz mu stężała i, wskazując ze złością na kikut nogi, podsumował: „Oto nagroda, jaką Niebo zesłało mojej wierze!”

Tamten przez chwilę zatopił wzrok w jego oczach, a potem rzekł z cicha: „Pan nikomu nie obiecywał nagrody na ziemi, ale twoje imię wypisane jest ognistymi literami tam w górze, przed obliczem Królowej nieba a strzegą go św. Jerzy rycerz i św. Michał książę wojska niebieskiego. Trwaj zatem w wierze: twoje zadanie jeszcze nie skończone. Grób święty nadal tkwi w rękach niewiernych, a tylu młodych trwoniących czas na nałogi i hulanki czeka na słowo, które rozpali w nich ideały. A żebyś uwierzył, że Pan Bóg cię nie opuścił, masz tu drugą monetę. Będiesz mógł pójść do Altopascio, do Braci Szpitalników, gdzie w imię Boże otrzymasz opiekę i leczenie”.

Stary schwycił gwałtownie denara, którego tamten mu podawał. Nagle jednak, zawstydzony własną zachłannością, upuścił go z wolna do miseczki i uniósł wilgotne ze wzruszenia oczy ku rozmówcy.

„Kim jesteście, panie?”, zapytał ochryple.

„Moje imię nie ma znaczenia, a i tak nic by ci nie powiedziało”, odparł mężczyzna zamierzając odejść.

„Wasz akcent, panie, jest cudzoziemski, choć niełatwo to zauważyć — nalegał drugi. — Ale moje uszy przyzwyczyły się rozpoznawać wszystkie akcenty chrześcijaństwa, tak jak potrafi to każdy krzyżowiec.

„Co was przywiodło do tego miasta? Źle się tu dzieje, panie. Dwa lata już mijają, gdy Ojciec Święty, Innocenty, na soborze w Lionie zjął z tronu Fryderyka cesarza i to miasto

także obłożone jest interdyktem.

„Jakby tego było nie dość, pewne krwawe zdarzenie okryło żałobą i tak już niespokojne życie tej krainy a ziarno herezji weszło nawet w bliskości świętych gmachów!”

Wszystko to wypowiedział jednym tchem, jakby chciał za wszelką cenę zatrzymać swego dobroczyńcę. I rzeczywiście udało mu się, gdyż przy ostatnich jego słowach tamten nagle stał się niezwykle uważny, mimo że, poza krótkim błyskiem w oczach, wyraz jego twarzy, zdawał się niczym nie zmieniony.

Stary krzyżowiec wszakże, przejęty swą opowieścią, nie spostrzegł zainteresowania, jakie przez moment zamigotało w wejrzeniu mężczyzny. Bardziej niż niedostatek i kalectwo ciążył kamieniem na sercu ludzka niewyrozumiałość i obojętność. W gruncie rzeczy, bardziej niż o rzadkie monety, które spieszący się przechodnie rzucali, by uzyskać w zamian kojące, choć chwilowe, doznanie własnej dobroci, błagał, w imię Boże, by znalazł się ktoś, kto postoi przy nim, słuchając, choć pół godzinki.

I oto teraz znalazł się ktoś, kto nareszcie nie gnał pospiesznie za swoimi sprawami, więcej nawet, zdawał się naprawdę zaciekawiony tym, co krzyżowiec miał do powiedzenia.

Wtedy słowa wypłynęły mu z ust nieprzerwanym strumieniem, tak jakby chciał, by tamten nie miał czasu pomyśleć, że wszystkie te zdarzenia były w sumie niepotrzebne, że pora wstać i odejść.

„Przed bramą kurii znaleźli rozdzanego z szat trupa Beatrice Sciancati, niewiasty znanej tu z nader swawolnych obyczajów, — ciągnął stary, rad że zdołał zatrzymać swego hojnego dobroczyńcę. — Otóż, niechaj Bóg ma litość nad nami, ciało leżało w pozycji odwróconego krzyża, pośrodku pentagramu, otoczone siedmioma czarnymi świecami! I, szczyt okrucieństwa, miało otwarty bok i wyjęte serce.

„Dodać do tego trzeba, iż ród zmarłej to stronnicy Viscontich, którzy teraz zrzucają winę na zwolenników rodziny Gherardesca, ich odwiecznych zagorzałych rywali.

„Arcybiskup, ze swej strony, spuścił ze smyczy nagonkę na dzielnicę żydowską, by szukać pośród ukrytych tam czarowników i heretyków. Niewiele jednak może z racji chroniących Żydów gwarancji.

„Tymczasem rzecz cała dzieje się w najściślejszym sekrecie. Wszyscy zainteresowani dokładają starań, aby nie przedostała się żadna wieść o zdarzeniu, tak by nikt nie opisał tej sprawy dla przyszłej pamięci. Czynią tak, by wymazać hańbę ze sławnych nazwisk w to wplątanych oraz z miasta, pełnego chwały miasta, które dało tylu świętych, bohaterów i bojowników świętej wiary.

„Przeor dominikanów po kryjomu został wysłany do Rzymu, aby uzyskać przyjazd zaopatrzonego we wszelkie pełnomocnictwa inkwizytora, który by rozwiązał sprawę na większą chwałę Bożą. Tymczasem wrzucili do lochów alchemika, znawcę spraw tajemnych. Ale to nie on”.

„A skąd ty o tym wiesz?”

„Znam go dobrze: był ze mną w Ziemi Świętej. Niewierni uczynili zeń niewolnika i wykastrowali, dawno temu. To od nich nauczył się tajemnych sztuk.

„Odzyskał wolność dzięki pieniądzom, zbieranym przez Bractwa dla wykupu chrześcijan. Wróciwszy tu, zajął się głównie ziołami i medykamentami.

„Tam do kata! Zdarzyło mu się czasem uwarzyć jakiś magiczny napój, lecz wszyscy o tym wiedzieli i pozostawiali go w spokoju.”

„Jeśli ta sprawa jest tak sekretna, w jaki sposób ty wiesz o niej tak dużo?”

„Ten podwórzec, na którym spędzam w smutku całe dni, ma tysiąc oczu i tysiąc uszu. Któż by sobie zawracał głowę tym, co słyszy stary, ułomny krzyżowiec, którego nikt nie słucha?”

„Ja cię słuchałem!”

„Panie, jesteście jedynym od co najmniej dwóch lat, i dlatego będę o was pamiętać w moich pacierzach”.

Mężczyzna (pora już, by opowieść zaczęła się nim bliżej zajmować, nim, który jest jej bohaterem) położył dłoń na jego ramieniu i ruszył naprzód, pozostawiając żebraka, rozplywającego się w tysięcznych podziękowaniach. Zanurzył się w tłum i, przechadzając się z roztargnieniem, zaczął obserwować stragany sprzedawców tkanin, głuchy na hałaśliwe zachwalanie towarów przez kupców. W uszach brzmiały mu jeszcze słowa krzyżowca.

„Zatem zbrodnia — myślał, — zbrodnia związana z czarami. Albo z nierządem? Demon lubieżności nigdy nie przestaje sidlić biednych dzieci Adama. Rozpustna niewiasta, walki w mieście... i arcybiskup, który, jak mówią tutaj, nie wie jak się wykaraskać z potrzasku między gwelfami i gibelinami. Muszę się zastanowić”.

Lekkie pociągnięcie za płaszcz oderwało go od rozmyślań. Obrócił się. W cieniu bramy kryła się ladacznica.

Prostytucja była zakazana i ścigana we wszystkich chrześcijańskich miastach, ale ponieważ zdrowy rozsądek stanowi siłę chrześcijaństwa, tolerowano szeroko najstarszy zawód świata, byleby tylko, naturalnie, ocalić przynajmniej pozory. Na ogół jednak, nawet one nie były zachowywane.

Czelność biła z postaci kobiety, czelność którą podkreślał jeszcze wulgarny strój, a przede wszystkim piersi, prawie całkiem odkryte i wystawione na pokaz. Mimo to, w odróżnieniu od innych, te przyczernione oczy i półprzymknięte usta sprawiały wrażenie, że milczące obietnice zostaną hojnie dotrzymane.

Mężczyzna tylko popatrzył jej długo w oczy. Ona miękko odwzajemniła spojrzenie. Stopniowo jednak czuła, jak wzrok mężczyzny przenika powoli, coraz głębiej, do duszy, do wnętrza serca. Obrzydliwe wspomnienia ożyły w pamięci, pod ciężarem tego spojrzenia. I całe życie pełne sprośnych pieścizot, kupowanych, sprzedawanych i topionych w morzu wstydu, dzieciństwo niewinne i jakże dalekie, zwiędła, samotna starość, śmierć we wzgardzie i w niełasce u Boga: to wszystko odczytała w tych oczach, wszystko o sobie.

I powoli gasł uśmiech, spojrzenie biegło w dół. Wtopiła się w mrok, byle dalej od oczu tego dziwnego mężczyzny, który stał się jeszcze smutniejszy.

Zostawszy sam, poszedł dalej szepcząc w ciszy słowa modlitwy: „*Salvos fac servos tuos, Deus meus, sperantes in te*”.



Nagle inne wydarzenie sprawiło, że nasz mężczyzna oderwał się tym razem ostatecznie, od swych myśli. Dwu zbrojnych prowadziło jakiegoś Turka w kajdanach. Tłum rozdzielał się na ich przejście, a ciekawscy biegli, by przyjrzeć się widowisku. Turek, zbity i pokryty śladami tysięcy uderzeń, z trudem trzymał się na nogach i, półprzytomny z bólu, mamrotał w swym języku jedno słowo, wciąż to samo.

Zwalił się prosto u stóp mężczyzny, a on natychmiast schylił się, by go podtrzymać. „Czyż nie widzicie, że on umiera z pragnienia? — rzekł, zwracając się do zbrojnych. — Wody, mówi, wody! Nie słyszycie?”

„Wstań, pielgrzymie! — brzmiała odpowiedź. — To jest niewierny pies”.

„Mimo wszystko jest dzieckiem Bożym!”

„Posłuchaj, chrześcijaninie — zakrzyknął tamten — kiedy jego kompani schwytyją któregoś z naszych, obdzierają go żywcem ze skóry. Dlaczegoż to mielibyśmy się z nim lepiej obchodzić?”

„Bo uważamy, że jesteśmy lepsi od nich” odparł spokojnie „pielgrzym”, podając poranionemu flaszkę z wodą, po którą sięgnął na jakiś stragan.

Zbrojny gwałtownym pchnięciem ciężko zwalił go na ziemię, lecz on w milczeniu podniósł się i znowu usiłował pomóc umierającemu.

Ponownie został pchnięty na ziemię i ponownie się podniósł, by dać się napić więźniowi.

Wtedy jeden strażnik uderzył kolbą we flaszkę, aż poleciała daleko, zaś drugi pociągnął za sobą Turka, trzymając go za obroże na szyi. Biedaczyna, na wpół uduszony, usiłował bezskutecznie dźwignąć się na nogi.

„Pielgrzym” wyprostował się w jednej chwili. Zrobił półobrót i wałnął obcasem prosto w podbródek strażnika, który rozciągnął się na bruku. Drugi wyciągnął miecz, lecz nie zdążył go użyć, gdyż dokładnie wycelowane cięcie dłonią w palce sprawiło, że miecz poleciał gdzieś w trwożliwie cofający się tłum.

Tymczasem, ściągnięty hałasem, zbliżył się oddział straży burmistrza. Natychmiast pochwycili mężczyznę, który nie stawiał im oporu. Wzięli go, otoczyli i poprowadzili przed siebie.

II.

Gaddo Casalberty modlił się. Z głową skrytą w dłoniach, wsparty na klęczniku z pociemniałego drewna, miał na wprost siebie bogatą bizantyjską ikonę, którą przywiózł z Ziemi Świętej.

Gaddo Casalberty uczestniczył bowiem w wyprawie krzyżowej. Był jednak zbyt inteligentny, by nie zrobić kariery. I rzeczywiście zrobił ją, choć w innej dziedzinie: wstąpiwszy w trzydziestym roku życia do zakonu dominikanów, teraz, jako czterdziestopięciolatek, był osobistym sekretarzem arcybiskupa Pizy.

Modlił się, lub raczej zaczął się modlić, lecz — jak to się często zdarza, kiedy ma się w myślach jakąś nagłą troskę — człowiek zaczyna się skupiać i udaje mu się to, wkrótce jednak spostrzega, że myśli wciąż o „tamtym”. „Tamtym” więc miał w głowie Gaddo, kiedy jego uwagę odwróciła jakaś wrzawa na ulicy.

Przerywając tę niespełnioną modlitwę, podszedł do dzwonka i, gładząc się po wygolonej głowie, zadzwonił raz po raz. Wkrótce drzwi się uchyliły. Sługa był w podeszłym już wieku, przygarbiony przez lata a może i życie całe, spędzone na kolanach przy służeniu do mszy.

„Co się stało na ulicy?”, zapytał Casalberty

„Kogoś aresztowali”.

„Kogo?”

„Nie wiem, panie”.

„Ale powiedz, co tam się stało! Niechże nie wrywam z ciebie słowa po słowie!” rzekł Gaddo, i w tej samej chwili pożałował wybuchu, który nie pasował do sukni, jaką nosił.

„Wybaczenie, panie, lecz ja z szacunku dla waszej wielmożności...”

„To ty mi wybac. Wybac”, przerwał mu Gaddo, kładąc mu rękę na ramionach.

„Wybaczenie głupotę staremu, panie... To wiek... spojrzenie...”.

Gaddo uniósł oczy ku niebu, by stamtąd zaczerpnąć siły a potem, z wymuszoną słodyczą i spokojem powiedział: „Błogosławię cię. *In nomine Patris et Filii, etcetera, amen.*” I, zakreśliwszy w powietrzu znak krzyża, zapytał: „Teraz powiedz mi, co się wydarzyło?”.

„Straż burmistrza aresztowała jakiegoś człowieka, może cudzoziemca, który chciał napić tureckiego więźnia. Byłem na ulicy, niosłem wiadomość do Palazzo degli Anziani... Toteż wszystko widziałem. Panie mój, to było coś naprawdę dziwnego! Dziwnego i

zdumiewającego. Ten człowiek znał język turecki...”.

„A cóż w tym dziwnego?”.

„Nie, dziwne stało się potem! Dwa zbiry tarosiły go i poprowadziły ze sobą, a on nic nie uczynił. Lecz kiedy dobrały się do Maura, wtedy się wściekł! Gdybyście go widzieli! W jednej chwili obezwładnił i to nie czyniąc im krzywdy! No, może jeden będzie przez parę dni nosił guza, lecz to nic poważnego. Na mą wiarę, nigdy jeszcze nie widział, by ktoś walczył tak dziwnie!”.

Gaddo, którego twarz, w miarę jak sługa opowiadał, przybrała na początku wyraz zaciekawienia, potem niepokoju i wreszcie wzburzenia, konwulsyjnie potrząsnął starca za ramię: „Dokąd go zawiedli?” zakrzyknął mu w twarz zdławionym głosem.

„Do więzienia burmistrza!” wykrztusił przerażony sługa.

Lecz Gaddo już był na schodach, zeskakując po trzy stopnie i wykrzykując na każdym podeście: „Och, święty Dominiku! Och, święty Dominiku!”.



Zamek puścił skrzypiąc i trzeszcząc, odrzwia głośno trzasnęły, otwierając się i Gaddo wtargnął do celi.

„Konrad! Nie pomyliłem się, to ty!”

„Gaddo, Gaddo Casalberti! Tutaj, w Pizie!” zawołał, powstając „pielgrzym”.

Gaddo skinął dozorczy więziennemu, który wycofał się, zamykając za sobą drzwi.

Dwaj mężczyźni uścisnęli się. Potem Gaddo zaczął mówić jednym tchem, okazując odnalezionemu przyjacielowi najżywszy entuzjazm.

„Upłynął już szmat czasu! Kiedy widziałeś mnie ostatnio, służyłem jeszcze cesarzowi. Ty już przywdziałeś święty habit. Pamiętasz, kiedy przyszedłem się pożegnać? Zachowuję do dzisiaj w pamięci twoje ostatnie słowa: „Posłuchaj mnie uważnie, bracie, droga z Fryderykiem niemieckim prowadzi donikąd!” To zdanie fermentowało w moim umyśle; z czasem zdałem sobie sprawę, żeś miał rację i oczy mi się otworzyły na to, jakim rodzajem człowieka był ten, któremu przysiągłem wierność. Bezbożnik, rozpustnik, okrutnik, krzywoprzysięzca.

„I wreszcie pewnego dnia twoje modły, zanoszone do Bożego tronu o moje nawrócenie, przyniosły skutek: przywdziałem habit, w którym mnie widzisz a który, z miłości do ciebie, jest taki sam, jak twój.

„Potem moja rodzina, niech ją Bóg strzeże, ściągnęła mnie tu, do Pizy, bo wiesz, że jestem pizańczykiem. Szczerze mówiąc, wolałbym zostać tam, gdzie byłem i żyć z pokojem w duszy. Teraz wszakże dziękuję Madonnie Przenajświętszej, że rozmaitymi drogami doprowadziła mnie aż tutaj, bym mógł dzisiaj spotkać ciebie i usłużyć ci w czymkolwiek bądź”.

„Kto cię powiadomił?” zapytał tamten, gdy ustał potok słów.

„Opowiedziano mi, co zaszło na ulicy i pojąłem, że to byłeś ty. Człowiek, który nadstawia drugi policzek, kiedy to jego uderzono, lecz który co prędzej interweniuje, kiedy niesprawiedliwie uderzono w policzek kogoś drugiego; człowiek, który powstaje, by bronić uciśnionego, choćby niewiernego i który, na domiar wszystkiego, zna sztuki walki z Catai i stosuje je starając się nikogo nie skrzywdzić... może być tylko Konradem z Tours. I, Bogu dzięki, nie pomyliłem się. Lecz co ty robisz w Pizie, na dodatek ubrany w strój pielgrzyma? Nie mów mi tylko, że chodzi o to, co podejrzewam...”

„Pielgrzym” bez słowa wyciągnął z buta drobno poskładaną karteczkę, rozłożył ją i podał przyjacielowi, który pośpiesznie przebiegł po niej wzrokiem.

„Ty! Ty jesteś inkwizytorem! Teraz wszystko jest jasne! Ach tak! To logiczne! Nie mogłeś o tym powiedzieć nikomu poza arcybiskupem! W przeciwnym razie ten nieszczęsny wypadek mógł wszystko popsuć”.

„Modliłem się do mego anioła stróża. Nie masz pojęcia, ile drobnych przysług oddaje mi on każdego dnia!” oświadczył spokojnie ten, który, jak się właśnie dowiedzieliśmy, nosił imię Konrad.

Gaddo gwałtownie podrapał się w głowę, potem złożył skrupulatnie karteczkę. „A więc chodźmy stąd”. I ruszył do drzwi, lecz jeszcze się odwrócił: „Dlaczego posłano właśnie ciebie?”

Konrad uśmiechnął się przez moment i rzekł: „Ojciec Święty podejrzewa, że tutaj bardziej niżli inkwizytora potrzeba detektywa, kogoś «do tańca i różańca», jak to mówicie w tych stronach. Rozwiązałem już kilka delikatnych problemików, kilka lat temu... No cóż, jestem tu i mam pełne uprawnienia”.

Gaddo zmarszczył czoło i spoglądał w ziemię.

„Ojciec Święty to inteligentny człowiek. Tak, inteligentny... Ale teraz ruszajmy. Obmyjesz się nieco. Sądzę też, że nie odprawiałeś jeszcze dzisiaj mszy”.

Wyszli objęci ramionami.

III.

Arcybiskup Witalis wyciągnął obnażone ramię w stronę cyrulika. Kiedy lancet przeciął żyłę, nie drgnął mu ani jeden mięsień i nie wyrzekł słowa. Traktował codwutygodniowe puszczenie krwi jako pokutę zadawaną mu przez Niebo. Nie z powodu bólu bynajmniej, ani też osłabienia, jakie potem odczuwał, lecz z powodu związanej z tym straty czasu. Uznawał bowiem czas za najcenniejszy Boży dar i od kiedy został zwykłym kapłanem przyrzekł sobie, że nie straci nawet jednej chwili.

Nie bez przyczyny ten hieratyczny i znamienity prałat cieszył się w Pizie sławą świętości. Jego obyczaje były surowe a nauka przejrzysta. Był to mężczyzna wysoki i szczupły, o chudej i pociągłej twarzy. Broda i długie śnieżnobiałe włosy sprawiały, że zdawał się wyższy niż w rzeczywistości, jego pełne powagi gesty napawały szacunkiem i lękiem. Kiedy mówił, jego słowa sprawiały, że zapadała cisza. Jak wszyscy, którzy nigdy nie podnoszą głosu i skandują zdania z długimi przerwami między jednym i drugim słowem, zawsze sprawiał wrażenie, że wszystko, co mówił było prawie prorocstwem, lub tajemnicą nie do wyjawienia pod karą utraty życia.

Z drugiej strony przytrafiało mu się to, co na ogół zdarza się ludziom, którzy nawet w lekkiej rozmowie nie mogą się powstrzymać od wypowiedzania sentencji: to znaczy są szanowani, słuchani i poważani dzisiaj, zaś jutro nieodmiennie lekceważeni.

I, na koniec, rządził tym miastem gibelinów, wstrząsanym walką między szlachtą a instytucjami ludowymi, między samymi szlachcicami podzielonymi na koterie oraz między samymi duchownymi, też gwelfami lub gibelinami wyczerpywało go duchowo, czyniąc zeń człowieka znużonego, wyniszczonego próbami wnoszenia ducha Ewangelii do rozlicznych, codziennych nędz i podłości.

Faktem było, że już od pewnego czasu cała Republika była obłożona interdyktem i wraz z nią arcybiskup. Stało się tak dlatego, iż nieco wcześniej papież zwołał w Rzymie sobór powszechny, by uroczyście i publicznie ekskomunikować cesarza Fryderyka. Wszakże flota pizańska, wierna cesarzowi, przechwyciła genueńskie statki wiozące prałatów do Ostii i uwięziła wielu kościelnych dygnitarzy. Stąd interdykt.

W tamtych jednak czasach interdykty i ekskomuniki rzucano i zdejmowano stosunkowo łatwo i nie przejmowano się tym zbyt. Zawsze zmienne alianse i wzajemne ustępstwa

sprawiły, że wcześniej czy później wszystko wracało do normy.

O tym arcybiskup wiedział. Tylko, że teraz sprawy komplikował ten paskudny pasztet ze zbrodnią. Ponieważ Piza była obłożona interdyktem — teoretycznie nie wolno byłoby nawet udzielać sakramentów ani odprawiać mszy — papież nie mógł wysłać nikogo do rozwiązania problemu, przynajmniej oficjalnie (choć zakładnicy zostali już uwolnieni i odesłani do swoich krajów).

Szczęściem, arcybiskupa łączyła z papieżem stara przyjaźń, tak że to, czego nie można było zrobić w formie publicznej, zdecydowano się uczynić po kryjomu.

Wysłany potajemnie do Rzymu przeor dominikanów powrócił z zapewnieniem, iż papież, w imię dawnej przyjaźni, przyśle kogoś zaufanego. W tej przynajmniej sprawie serce starego arcybiskupa mogło zabić radośniej.

Było to jednak wsparcie ulotne, gdyż nawet pomyślnie rozwiązanie sprawy mogło tylko w niewielkim stopniu rozluźnić napięcie w mieście. W każdym razie, lepszy rydz niż nic; przynajmniej arcybiskup mógłby wystąpić w roli mediatora w polityce wewnętrznej oraz, dlaczego by nie?, z Bożą pomocą, także w zewnętrznej.

Tymczasem wszakże, wciśnięty między tyle nienawiści i rywalizacji, między wrogość Genui, Lukki i Florencji, między papieża i cesarza, między szlachetnie urodzonych i lud, arcybiskup Pizy, prymas Korsyki i Sardynii nie sypiał w nocy, zaś za dnia odczuwał bezgraniczne zmęczenie.

Krew przestała spływać, powoli podnosił się z łóżka, podczas gdy cyrulik zęgnął się unieźwienie. Przez chwilę arcybiskup miał oczy zamknięte, lecz nagle je otworzył. Wstał z trudem i skierował się w stronę biurka. Pomajstrował przy wystających listewkach i wyciągnął ukrytą szkatułkę, z której wyjął poskładaną kartkę.

Rozłożył ją i uważnie obejrzał. Były to listy uwierzytelniające Konrada z Tours, podpisane osobiście przez Jego Świątobliwość Innocentego.

„Nareszcie! — pomyślał arcybiskup. — Lecz czy ten Konrad Leclerc z Tours to rzeczywiście człowiek, jakiego mi potrzeba? Zda mi się zbyt młody... zbyt młody. Popatrzmy: naprzód, jak jego ojciec, kupiec w Catai, potem krzyżowiec, potem dominikanin... teraz inkwizytor, hmm! Muszę z nim pomówić. W cztery oczy”.

Zatopiony w rozmyślaniach nie spostrzegł, że myśli stopniowo nabierały dźwięku i przemieniły się w słowa. Mówiąc wciąż do siebie zadzwonił dzwonkiem połączonym bezpośrednio z biurem swego osobistego sekretarza. Ów zaś, najpewniej oczekujący wezwania, prawie natychmiast stanął w drzwiach. Lecz nie wszedł. Wpuścił natomiast Konrada, stojącego z tyłu, a potem w milczeniu zniknął.

„Ojciec Casalberty to nieoszacowany współpracownik, — oświadczył arcybiskup, podsuwając Konradowi pierścień do ucałowania. — Pan Bóg ulitował się nad moim zmęceniem i przysłał mi go do pomocy.

„Tak, panie. To naprawdę zdolny człowiek”.

„Rzekł mi, żeście byli towarzyszami broni”.

„Tak, lecz od tego sporo już czasu upłynęło” odparł z wahaniem Konrad.

„Jeśli ta sprawa wam przeszkadza, nie każę wam mówić mi o niej. Ale usiądźcie, proszę!”

Konrad usiadł na wskazanym krześle i bezzwłocznie przeszedł do sprawy: „Panie, wiem, że przypadek dla którego zostałem przysłany, by z wami współpracować, wielce jest delikatny, rozumiem też, że widok zwykłego, czterdziestodwuletniego mnicha może was niemało zbulwersować. To zrozumiałe, że chcecie się upewnić, co ze mnie za człowiek, zanim mi się zwierzycie. Będę zatem z wami szczerzy i otwarty, w Duchu naszego Pana, Jezusa Chrystusa”.

Spodobała się ta odpowiedź arcybiskupowi i jego twarz rozluźniła się w uśmiechu, rzecz skądinąd dosyć niezwykła dla tych, co go znali.

„Dlaczego porzuciliście miecz dla krzyża?”

„Panie, dla mnie nie ma między nimi różnicy”.

„Dobrześ rzekł, synu, — odparł arcybiskup, potakując poważnie kilkakrotnym skinieniem głowy, — pielgrzymka w zbroi to szlachetne przedsięwzięcie, to służba wierze. Bóg tego chce. Krzyżowiec musi być człowiekiem o czystym sercu, który walczy nie dla siebie, lecz dla krzyża oraz, by przeszkodzić szerzeniu się niewiernych. To bitwa o naszą cywilizację; bitwa która, niestety, na tym się nie skończy”.

Teraz spojrzenie arcybiskupa błędziło za oknem.

„Za kilka wieków ci, co przyjdą po nas, podziękują nam. Tyle krwi i tyle łez nie pójdzie na marne...”.

Potem odwrócił się i zaczął słuchać Konrada.

„Panie — rzekł ów — świętą sprawę zbrukali ci, nieliczni po prawdzie, których zdrada jest wszakże wystarczająca, by unicestwić uczciwą intencję tych licznych, którzy porzucili wszystko i wszystko utracili naśladowując Chrystusa. Godfryd de Bouillon i Ryszard Lwie Serce byli pośród tych licznych, cesarz Fryderyk pośród tych nielicznych. Ja zaś nie chciałem już więcej przelewać potu i krwi dla korzyści kogoś, kto gwałci małe dziewczynki, nadaje niewiernym święty order Rycerstwa, kto pali prawdziwych i domniemyanych heretyków i otacza się czarnoksiężnikami i magami. Nie panie, nie masz już honoru w Ziemi Świętej!”.

„I sądzisz, że to wystarczy, by porzucić sprawę?”.

„Strój, który noszę jest mi świadkiem, iż nie porzuciłem sprawy. Zmieniłem jedynie sposób walki”.

Arcybiskup skinął głową, podniósł się i położył delikatnie rękę na głowie Konrada. Stał tak kilka chwil z zamkniętymi oczami, potem zbliżył się do okna i dał przybyszowi znak, by podszedł.

Tamten spojrzał w kierunku, który wskazywał mu arcybiskup i ujrzał zewnętrzny dziedziniec.

„To tam ją znalezione?” zapytał.

„Tak, tam”, odparł ze znużeniem arcybiskup; potem podszedł do krzesła i usiadł.

„Co o tym sądzisz?”

Konrad spoglądał jeszcze przez dłuższą chwilę przez okno, wreszcie odwrócił się i rzekł:
„Nie wiem”.

„Czy zdajesz sobie sprawę, co to dla mnie znaczy?”

„Tak, panie. Zdaje sobie sprawę. Dla was, znaczy to bardzo ważny krok w kierunku uspokojenia tego miasta. Inaczej popłynie wiele niewinnej krwi”.

„Świetnie pojąłeś. Teraz idź do Gadda. Zwracaj się do niego o wszystko, czego ci będzie potrzeba. Błogosławię cię”.

Konrad przykląkł, by otrzymać błogosławieństwo i wyszedł.

„Zdałeś egzamin?” — zapytał Gaddo.

„Rzekłbym, że tak — odparł Konrad, wlewając sobie wody do szklanki. — A teraz, proszę, opowiedz mi punkt po punkcie wszystko, co się wydarzyło, o osobach zamieszanych w wypadek, kim była umarła, et cetera. Proszę, byś nie pominął żadnego szczegółu, choćbyś uważał, że nie ma żadnego znaczenia. Doświadczenie nauczyło mnie, by niczego nie pomijać. Czasem wątek najbardziej splątanej intrygi kryje się w... a raczej, często nie kryje się, lecz leży tutaj, tuż przed naszymi oczami. I dlatego go nie dostrzegamy”.

Następnie popatrzył prosto w oczy Gadda. „Cierpliwości, przyjacielu, wołaj Boga nie jest jednak, by droga naszego uświęcania przebiegała w zaciszu klasztoru. Spełnijmy zatem co nam każe, jeśli nie w radości, to przynajmniej w pokoju. Ku większej chwale Boga”.

„Ku większej chwale Boga!” powtórzył Gaddo, a potem rozpoczął: „Beatrice Sciancati miała lat dwadzieścia sześć, z czego większą część spędziła, niech Bóg się zmiłuje nad jej duszą, w łóżkach połowy Pizy. Ta niewiasta o niezwykłym uroku doprowadziła sztukę podobania się mężczyznom do doskonałości. Jakaś diaboliczna intuicja pozwalała jej natychmiast zrozumieć, czego szuka w kobiecie ten, którego chciała uwieść.

„Pojmujesz mnie, Konradzie. Każdy mężczyzna nosi w umyśle idealny model kobiety i taką chciałby spotkać na swej drodze. Najczęściej marzenie okazuje się złudzeniem a ta, którą los postawił u jego boku z czasem staje się tym, czym w istocie była zawsze, to znaczy nie idealnym obrazem, lecz istotą realną, mającą swoje potrzeby i wymagania.

„Jeden szuka w niewieście doskonałej kochanki, kobiety która rozpala zmysły nigdy ich do końca nie zaspokajając, tak że zawsze się jej pragnie. Drugi szuka przygody, niewiasty drażniącej tajemnicą, czymś nienazwanym. Inny znów pragnie matki, kogoś kto ukoi jego troski i na czyjej piersi można ułożyć głowę. Jeszcze inny pożąda niewiasty, która podkreśla jego zalety, która żyje w stanie nieustannego adorowania swojego mężczyzny. Ten szuka gęsi, tamten orlicy, inny znów kotki.

„Otóż Beatrice Sciancati potrafiła być, zależnie od okoliczności, każdą z nich i posługiwała się tą swoją zręcznością, by wprawić w pożądanie i naginać do własnych zachceń

najznamienitszych mężczyzn tego miasta”.

Konrad siedział wpatrując się w ścianę i popijając wodę ze szklanki. „A niechże cię! Jakże gładko się teraz wysławiasz. Prawie cię nie poznaję. Zresztą, ja też już nie jestem niegdysiejszym rozhukanym żołdakiem. O, tak, dla takiej kobiety można też zabić”.

„Tak, — potwierdził Gaddo, — dobrześ rzekł. Niejeden szalał z jej powodu. I gdyby nie nasz arcybiskup, który zawsze żelazną ręką zabraniał pojedynków, ta kobieta miałaby na sumieniu niejednego zabitego”. Uśmiechał się. „Nie, nie jestem już niegdysiejszym rozhukanym żołdakiem”.

„Kto był jej ostatnim kochankiem?”

„Szymon Visconti, głowa swego rodu po śmierci ojca. To jeden z bardziej wpływowych ludzi w mieście, choć nie pełni żadnego publicznego urzędu. Nie ma w Pizie nikogo, kto nie byłby mu w jakiś sposób dłużny, bądź to stanowiska, bądź pieniędzy, łask lub zemsty. Z wyjątkiem, naturalnie, ludzi rodu Gherardesca”.

„Czy ta kobieta żyła z nim?”

„Och, nie. On ma żonę i dwoje dzieci, a na dodatek jego żona to siostrzenica naszego arcybiskupa. Szymon Visconti nie mógłby odprawić żony, nie czyniąc sobie śmiertelnego wroga z Kościoła i całego duchowieństwa. Nie, jest zbyt szczywany, by zrobić coś takiego”.

„Czy żona o tym wiedziała?”

„Wiedzieli o tym wszyscy, lecz udawali, że nie wiedzą. To wygodniejsze”.

Konrad wstał i nalał sobie drugą szklankę wody.

„A rodzina Gherardesca?”

„Ach, to przysięgli wrogowie Viscontich. Gromadzą w swojej koterii wszystkich, którzy mają jakieś urazy do Viscontich. A jest ich niemało. Najogólniej ujmując, byś mógł się zorientować: za Viscontimi stoją Instytucje Ludu i Starszyzna; za rodem Gherardesca opowiadają się inni panowie i Gmina. Do tego dochodzą ich odwieczne spory o panowanie nad Sardinia”.

„W rzeczywistości sytuacja w tym przeklętym mieście jest o wiele bardziej złożona, ale to, co ci rzekłem pomoże ci wyrobić sobie pierwsze wrażenie. I jeszcze jedno; dopóki tu jesteś, uważaj co mówisz i do kogo; jak wiesz, Piza należy do stronnictwa gibelinów. Poza tym, naturalnie, jest obłożona interdyktem”.

Konrad przytaknął, wpatrzony w wodę w szklance.

„Powiedziałeś, że ta Sciancati legła w najznamienitszych łóżach Pizy? Czy nigdy nie była nałożnicą kogoś z rodu Gherardesca?”

„Jasne, że tak. Ale to już stare dzieje”.

„Nie było żadnej szalonej miłości do pięknej Beatrice ze strony Gherardesców?”, naciskał Konrad.

„...taaak, jedna może by była! Ale to zwykła dziecinada!”

„To znaczy?”

„Młody Ugolino. Podobno piękna Beatrice kiedyś uwiodła go i porzuciła. Mówi się, to prawda, że chłopak kochał się w niej wtedy jak szalony... lecz któż się tak nie kocha w jego wieku? Pamiętam, że ja...”.

„Widywałem, jak siedemnastoletni chłopcy zabijali matkę z powodu o wiele błahszego — przerwał mu Konrad. — W każdym razie, powiedziałem ci, że w tych sprawach nie można niczego pomijać”.

„Lecz okoliczności zbrodni? Pentagram? Czarne świece?”.

„To może być sztuczka, by odwrócić podejrzenia. Takie rzeczy już się zdarzały”.

„Ale też to mógłby być właściwy trop! Czy sam nie powiedziałeś, że często zaniedbuje się właśnie to, co oczywiste?”.

„W rzeczy samej, tak rzekłem. I rozważę to, co oczywiste i, co fałszywe, to co jawne i co ukryte i, z Bożą pomocą, dojdziemy do sedna tej historii”. Co powiedziawszy zamilkł na kilka sekund, wpatrując się w kręgi, jakie tworzyły się na wodzie w szklance, następnie przetarł dłonią oczy.

„Gdzie jest pogrzebana?” zapytał.

„Jeszcze jej nie pogrzebali. Złożyli ją na cmentarzu przy katedrze, nocą. Potem rozgłoszono, że zmarła niespodziewanie na atak serca, dodając, iż od dawna potajemnie chorowała”.

„A pogrzeb?”.

„Jutro rano. Teraz znajduje się w trumnie, w kaplicy swej rodziny. Sam arcybiskup przykazał, by nie tykać zwłok, dopóki nie przybędą inkwizytorzy”.

Na te słowa oczy Konrada rozbłysły. Uśmiechając się, rzekł:

„Arcybiskup Witalis to naprawdę wspaniały człowiek!”. Potem znowu spowaźniał: „Chce zobaczyć zwłoki!”.

„Zwariowałeś!” wykrzyknął Gaddo. Spuścił wzrok. „Teraz znajdują się w stanie rozkładu...”.

Konrad popatrzył nieruchomo w oczy przyjaciela. „Nie po to, sędzę, nasz arcybiskup zadawał sobie trud i odpowiedzialność przechowywania przez tyle czasu zwłok, bym je znalazł zepsute”.

Gaddo Casalberty przemierzył nerwowo komnatę, zacierając dłonie i powiedział cichym głosem: „Wysłał mnie nocą po alchemika, specjalistę w konserwowaniu ciał. Ten ją posypał jakąś substancją... nie wiem, czymś co tylko on znał... Rzekł, że przez kilka dni ciało pozostanie niezmienione... lecz teraz minął tydzień z okładem... To głupie, wiem, lecz dziwnie jest myśleć, że Witalis zadaje się z alchemikami...”.

Konrad przerwał przyjacielowi: „Tej nocy odwiedzę wasz piękny cmentarz. A ty bądź spokojny, nawet papież, o czym wszyscy wiedzą, lubuje się w alchemii”.

Gaddo wypatrywał najmniejszego choćby wahania w oczach tamtego, lecz na próżno. Więc westchnął i uśmiechnął się:

„Jesteś szalony...”

„Ja...”

„...jeśli sądzisz, że pozwolę ci pójść samemu!”

Konrad uśmiechnął się po swojemu, potem w milczeniu uniósł szklanę z wodą, za zdrowie ich obu.

IV.

„Daj mi olej!”

Gaddo wyciągnął spod płaszcza skórzaną flaszeczkę i podał ją przyjacielowi.

„Mów ciszej, nigdy nic nie wiadomo”. Tamten wlał ostrożnie oleju w zamek, uważając, by możliwie najobficiej nasmarować tryby. Potem, słysząc pomrukiwania przyjaciela wyszeptał: „Co tam znowu?”

„Odzwyczałem się już od spodni!”

„Dwaj mnisi, włączący się nocą, zanadto wpadają w oko. A zresztą był czas, że sypialiśmy w spodniach a czasem nawet w kolczugach!”

„Ale przynajmniej były na miarę!”

„Nie było czasu iść do krawca. No, gotowe!”

Ostatni trzask zamka odemknął bramę i dwaj intruzi wśliznęli się na cmentarz.

Tej nocy księżyc krył się za chmurami. Dotychczas sprzyjało im to, lecz teraz, wewnątrz cmentarza otoczyły ich głębokie ciemności. Lecz przewidzieli to. Na cmentarzu nie brakowało świec a oświetlenie, choć słabe, zapewniła im piękna, gruba woskowa świeca wypożyczona z ołtarzyka św. Jana Chrzciciela, który otrzymał ją w zamian za rychłe błogosławieństwo.

Szli przytuleni do murów, potykając się raz po raz o figury aniołów i świętych lub uzbrojonych wojowników, podnosząc co pewien czas płomyk świecy, by rozpoznać drogę do kaplicy Sciancatic.

W górze przeleciało kilka nietoperzy, może wyrwanych ze snu przez blask świecy i dwa, lub trzy razy posepnie zakrzyczał, rozeźlony tą nocną wizytą, dudek.

„Spieszmy się!” wyszeptał Gaddo, wstrząsany dreszczami.

„Dobry mnich nie powinien bać się zmarłych!” mruknął ze śmiechem Konrad. Lecz nagle cofnął się o krok, następując na stopy towarzysza. Stłumiony okrzyk wydostał się z jego ust.

„Co to?! Co zobaczyłeś?, wyjąkał Gaddo, a serce skoczyło mu do gardła.

„Tam! Tam!” dławił się Konrad, wskazując mrok przed sobą.

Gaddo nabrał odwagi, wziął z jego rąk świecę i uniósł ją by oświetlić miejsce, które wskazywał Konrad.

Świetlisty krąg rozszerzył się i rozjaśnił przerażający widok: pisk bestii o niesłychanym

okrucieństwie, zwieńczony dwoma czerwonymi rogami kozła, rzygał węzami i płomieniami, a dwoje olbrzymich oczu smoka wpatrywało się szkaradnie w nocnych gości.

Na ten zdumiewający widok Gaddo uspokoił się i jeszcze wyżej uniósł świece, by oświetliła całą resztę. Wtedy Konrad ujrzał wokół postaci jęzory ognia, poskręcane dusze potępionych, oraz najrozmaitszego kształtu i podobieństwa demony, które je dręczyły.

„Przedstawienie piekła, to minimum tego, czego mogliśmy się spodziewać na cmentarzu, nie sądzisz?” rzekł Gaddo, przypatrując się z upodobaniem freskowi.

„Tak — zgodził się Konrad, dochodząc do siebie — i z pewnością przyjdę go podziwiać”. Potem, rzucając ostatnie spojrzenie na malowidło dodał: „...za dnia”.

Ruszyli dalej alejkami i krętymi drózkami, aż doszli do furteczki z brązu, wzmocnionej zdobnymi gwoździami.

„To tutaj” powiedział Gaddo i popchnął drzwiczki.

Weszli, drzwi zamknęły się za ich plecami, a oczom ukazało się niewielkie pomieszczenie. Jego ściany pokrywały płaskorzeźby przedstawiające śpiących rycerzy, kupców i marynarzy.

„Żadnego duchownego w rodzinie Sciancatic?” — zauważył Konrad pokazując rzeźby. Rychło jednak jego uwagę zwrócił kamienny katafalk pośrodku pomieszczenia. Stała na nim zwykła skrzynia z czarnego drewna, przykryta przejrzystym woalem.

„Odwagi! — rzekł Konrad. — Pomóż mi”.

Podnieśli wspólnie pokrywą i nagle przedziwny zapach wypełnił powietrze. Zakrywszy nosy i usta popatrzyli do środka, potem zerknęli na siebie: zwłoki były nietknięte.

Beatrice Sciancati była naprawdę bardzo piękna. Konrad popatrzył na to nagie ciało, które, pomimo że zeszywniałe i pobladłe, pominąwszy okropną ranę w boku, zdołało wzburzyć w nim krew.

Zacisnął na chwilę powieki i wypowiedział w myśli akt strzelisty: „...i nie wódź nas na pokuszenie, Panie!”. Potem, z tym większą uwagą, zaczął oglądać zwłoki.

Włosy były gładkie, bardzo długie i jasne, przykrywały ramiona, spływając aż do kolan. Wszystkie członki miały doskonale harmonijną budowę; sprawiały wrażenie, że patrzy się na posąg godny najznakomitszych mistrzów.

Jeśli kiedykolwiek Stwórca zapragnął dać upust swej pasji twórczej, gromadząc w ludzkim ciele wszystkie cuda estetyki, musiał to zrobić w tej niewieście, która teraz leżała nieruchoma i przyzwoita.

Najbardziej jednak uderzył Konrada wyraz twarzy, która, choć śmiertelnie zastygła, była łagodna i wyrazista, zdecydowana i inteligentna zarazem.

Zakonnik oderwał się od tej kontemplacji i zaczął badać zwłoki z bliska, przyglądając się im centymetr po centymetrze.

W pewnej chwili zatrzymał się, utkwivszy wzrok na dłoniach. „Popatrz tutaj!” rzekł do Gaddo.

Ów przybliżył się i ujrzał to, co mu pokazywał przyjaciel. Do prawej dłoni przywarły trzy czarne włosy, skręcone i twarde.

„Mogły spaść z kaftana alchemika, kiedy posypywał ciało swoją tajemniczą substancją!” powiedział Gaddo, odwracając się w stronę Konrada.

„Dlaczego mówisz «z kaftana» a nie «z głowy?»”,

„Dlatego, że on ma włosy siwe”.

„Być może. Lecz popatrz no, one mają cebulki. Mogłyby pochodzić od zabójcy”.

„Zatem trzeba nam szukać mężczyzny czarnowłosego!”.

„Tak, — odparł Konrad. — Jakkolwiek mogłyby spaść na dłoń tej nieszczęsnej w jakiś inny sposób. Jakie włosy ma czarownik, zamknięty w więzieniu?”.

„Siwe. To znaczy białe przemieszane z czarnymi”.

„A Szymon Visconti?”.

„Czarne”.

„A młody Ugolino?”

„Też czarne”.

„Świetnie. Dobrze nam się powiodło! Dostyc. Zamykamy i idziemy stąd. Na tę noc koniec przygód”.

Rzuciwszy na trupa ostatnie, długie spojrzenie Konrad nałożył pokrywę i woal. Potem obaj wyszli.



Zamknęli za sobą drzwi i zanurzyli się znowu w ciemności, wiedzeni chybotliwym światłem woskowej świecy, którą trzymał w garści kroczący przodem Konrad.

Zaledwie zrobili trzy kroki, gdy coś oplątało Konrada gasząc płomień.

Jednocześnie Francuz uczył jakąś ciężką tkaninę, która owijała mu głowę i ciężko opadała na barki i ramiona. Krzyknął ostrzegawczo do przyjaciela i usiłował uwolnić się od dławiącej przeszkody. Szamocząc się usłyszał głucho uderzenie, potem krzyczącego Gaddo, stęknienie i odgłos szybkich kroków.

„Gaddo! Gaddo! Gdzie jesteś?”

„...sstem tu... tu!”.

Konrad ruszył po omacku w kierunku głosu i znalazł Gadda leżącego na ziemi, skulonego we dwoje, i trzymającego się za żołądek.

„Gaddo! Co się stało?”.

„Nie wiem... Świeca zgasła, później ktoś chciał mnie udusić. Bronilem się jak mogłem... dostałem cios w żołądek... uciek!”

„Czy powiedziałeś komuś, że przychodzimy tu dziś w nocy?”

„Przecież byliśmy razem przez cały wieczór!” usprawiedliwiał się Gaddo, łapiąc

powietrze.

„A więc ktoś nas widział i śledził... Musimy stąd wyjść!”

Odnaleźli po omacku drzwi kaplicy Sciancatic, potem usiłowali zyskać orientację, cofając się i cały czas trzymając blisko muru. I, ponieważ Bóg tak chciał, po pewnym czasie, który im zdawał się nie mieć końca, wyszli na zewnątrz.

Niebo się wypogodziło i księżyc pieścił białe marmury katedry i baptysterium. Kościelna dzwonnica, niedokończona, lecz już wyraźnie przechylona, rzucała cień na łąkę, położoną naprzeciwko cmentarza.

Podążając ciemną, dającą schronienie ulicą, dwaj mnisi doszli do pałacu arcybiskupiego, na szczęście niezbyt odległego.

Klucze miał Gaddo, lecz nie mógł się nimi posłużyć, tak trzęsły mu się ręce.

„Daj no, ja to zrobię”, rzekł Konrad, biorąc od niego klucze.

Otworzył i zamknął cichuteńko. Potem, ciągle na palcach, weszli na schody wiodące do komnat Casalbertiego. Ten, stanąwszy w drzwiach, oparł się o futrynę, ciężko dysząc.

„Wybacz, muszę czym prędzej iść do latryny!”

„Kiedy cię poznałem byłeś odważniejszy!” zawołał za nim Konrad, gdy tamten zniknął w ciemnościach korytarza.

„Kiedyś!” zabrzmiała odpowiedź.

Konrad wszedł i, tak jak stał, rzucił się na łóżko i leżał z zamkniętymi oczami. Po jakimś kwadransie wrócił Gaddo i zwałił się całym ciężarem obok przyjaciela.

„A niechże cię! — zawołał Konrad nie odmykając oczu. — Naprawdę źle z tobą było!”

„Och, cicho bądź! — wymamrotał Gaddo. — Właśnie rozluźnił mi się żołądek”.

Chwilę leżeli w milczeniu. Potem Konrad, rozważając to, co się zdarzyło na cmentarzu, powiedział: „A jednak to dziwne... bez trudu mógł nas obu zabić. Wystarczyły dwa ciosy nożem!”.

„Może to ostrzeżenie!”, odparł Gaddo.

„Może. Lecz coś się nie zgadza. Posłuchaj przez chwilę uważnie: jeśli to ktoś tak dobrze poinformowany, że wiedział, iż pójdziemy tej nocy na cmentarz, to rzecz jasna wie wszystko i o reszcie. Zatem wie, kim jestem i wie też, że nie wystarczy zarzucić mi na głowę płaszcz lub coś innego, by mnie przestraszyć! Nie, nie, coś tu się nie klei, zupełnie się nie klei. Ale śpijmy. Na tę noc dosyć przygód”.

Trzask tłuczonego szkła podkreślił koniec zdania i nad głowami obu mężczyzn przemknęła ze świstem strzała, która z głuchym plaśnięciem utkwiała w drewnianej ścianie.

W mgnieniu oka Konrad rzucił się do okna, by zobaczyć kto ją wypuścił. Lecz jeśli ktoś tam był, teraz pochłonęła go noc.

Powrócił więc do Gadda, który zdążył wyciągnąć strzałę ze ściany. Był to belt od kuszy. Z nasadzoną na nim karteczką.

„Typowe! — powiedział Konrad. — Jakby wyjęte z opowieści Chretien z Troyes!”

Ściągnął kartkę z bełtu i rozłożył ją; widniało na niej tylko jedno słowo, napisane węglem: „Endura”.

„Coś ci to przypomina?”, spytał Konrad.

„Katarów!” zawołał zaniepokojony Gaddo.

„Tak jest. A wiesz, co to znaczy?”

„To ma coś wspólnego z ich kultem, prawda?”

„To nazwa ich rytualnego samobójstwa, lub zabójstwa, to zależy. W swym szaleństwie wymyślili jeden jedyny sakrament, który zwą consolamentum. Może być on udzielony tylko raz w życiu. Kto przyjąwszy go zgrzeszy, nie może przyjąć drugiego i, wedle nich, z pewnością pójdzie na potępienie. Dlatego przekonują tego, kto go przyjął, by zaraz potem popełnił samobójstwo, aby uchronić się przed późniejszym zgrzeszeniem. Na ogół udzielają go chorym, których potem pozbawiają opieki.

„Słyszano w związku z tym o rzeczach niesamowitych, jak choćby o matkach, które własnym dzieciom pozwalają umrzeć z głodu, po tym, jak udzielono im consolamentum. Są też tacy, którzy zamiast popełnić samobójstwo, proszą, by ich zabili sami «doskonali»..

„Miserere, Domine, miserere!” jęknął Gaddo.

„Czy w Pizie są katarzy?” zapytał Konrad.

„O ile wiem, nie ma!”.

„W każdym razie, nawet gdyby byli, dobrze by się zaszyli. To miasto gibelinów, a kochany Fryderyk z katarów palonych na stosach uczynił swą ulubioną rozrywkę!”

„Byłaby zatem Beatrice Sciancati poddana prawu endury?!”

„Czy sympatyzowała z heretykami?”.

„Jeśli tak, to musiała dobrze się kryć z tymi sympatiami! W każdą niedzielę widziałem ją w katedrze, nie opuszczała też innych nakazanych nabożeństw. Nie znaczyło to, by, jak dobrze wiesz, była wierną chrześcijanką, lecz dbała wielce o pozory”.

Konrad wsunął kartkę do kieszeni i poszedł nalać sobie wody do szklanki. Popijał ją po łyku, rozmyślając. Potem, jakby się budząc, powiedział: „Nie!”.

„Nie, co?”.

„To nie może być sprawka katarów. Czytałem wiele protokołów z procesów przeciwko nim. Zabójstwa, sodomia, profanacje, przewrotne naśladownictwo. To wszystko robią katarzy, ale nigdy się nie pastwią nad zwłokami poddanymi endurze. O, tak, wylupywali oczy, a także wyrywali wątrobę i jądra! Trupy bez głów, odzierane ze skóry, ćwiartowane... lecz byli to wyłącznie papiści. Nie, endura jest dla nich rzeczą świętą, konieczną niestety, lecz zawsze świętą”.

„Jednak wiele sekt, wywodzących się od katarów, stosuje czarne rytuały! Wiadomo, że służą one zawsze adoracji Lucyfera! Bo ja wiem... bogomolcy... bracia wolnego ducha...”.

„Tak, lecz adoracja Szatana pozostaje mimo wszystko tajemnym przywilejem osób najwyżej stojących w sekcie. Prości adepti nic o tym nie wiedzą. Sądzą, że walczą o ludzkość

oczyszczoną, a przede wszystkim z zepsuciem Wielkiej Nierządnicy, za jaką uważają Kościół rzymski”.

Gaddo milczał, lecz Konrad ciągnął: „...chyba, że w Pizie jest katarski biskup!”

„Katarski biskup! W Pizie!”, zdumiał się Gaddo.

„I, sądząc po tym, co się tu stało, wcale nie jest sam!” dodał Konrad.

„Niesłychane! — zakrzyknął pobladły Gaddo. — Myślałem, że znam moich współmieszkańców, lecz widocznie byłem w błędzie!”

„Wiesz Gaddo, herezja katarów to coś przerażająco podstępnego. Trudno wręcz uwierzyć, jak oni potrafią wszędzie się wcisnąć! Przeniknęli do wszystkich stanów, zwłaszcza jednak do najniższych. Ich pozorna surowość życia — o, znam to dobrze — oddziałuje szczególnie mocno na prostaczków. Głoszą oni zakaz stosunków prokreacyjnych gdyż, twierdzą, w ten sposób przekazuje się grzech pierworodny. Składają wszystkie swe dobra u stóp «doskonałych» i praktykują wolną miłość, byle nie płodną, oczywiście. Nie chcą, między innymi, służyć zbrojnie ani składać przysięgi. Mówią, że marzą o świecie pokoju, wolności i powszechnego braterstwa!”

„Ukazana w takiej szacie, sekta ta wydaje się fascynująca!”

„Tak. Lecz w rzeczywistości od wielu lat mordują chrześcijan, podpalają, łupią, gwałcą i palnią się wszelkimi możliwymi nikczemnościami, gdyż ich zdaniem «doskonali» stoją ponad grzechem; nie spoczną też, dopóki «potępieni» nie nagną się do ich prawdy. Chrześcijaństwo jest, jak wiesz, feudalne. Podwalinami naszej cywilizacji jest przysięga i wierność danemu słowu. Naszą cywilizacją jest chrześcijaństwo i dlatego obrona jego przed heretykami tak, jak bronimy go przed niewiernymi jest dla nas rzeczą życia lub śmierci”.

„Rzekłeś, iż wysocy stopniem czczą Szatana?”.

„Ośrodkiem ich religii jest nie Bóg, lecz człowiek ubóstwiony, który wyswobodził się z pęt grzechu. Non serviam! Jak Lucyfer”.

„I czczą Kozła i wszystko inne?”.

„Niektórzy tak czynią”.

„Mój Boże! W Pizie także!” powtarzał drżący Gaddo, spoglądając w oszołomieniu na podłogę. „I co teraz zrobimy?”, rzekł w końcu, obrócony w stronę Konrada.

„Mędrzec, gdy trudno cokolwiek zrobić, robi jedną rzecz: nic. Przynajmniej tej nocy. Chodźmy spać...”

„Obyśmy usnęli”.

Lecz los zadecydował inaczej, gdyż przez całą resztę nocy Gaddo wypytywał o katarów i o inkwizytorską działalność Konrada. Zamilkł dopiero przy pierwszym blasku świtu, kiedy Konrad zasnął siedząc na krześle ze szklanką wody w ręce.

V.

„Dzień dobry!”

Konrad gwałtownie otworzył oczy, lecz natychmiast je zamknął, rażony ostrym blaskiem słońca. Kiedy już oswoił się z jasnością, spostrzegł, że spał na siedząco, w płaszczu zarzuconym na plecy. Szklanka stała na ziemi.

„Która może być godzina?”

„Prawie południe”, rzekł Gaddo, stawiając na stole miseczkę gorącego mleka i bochenek chleba.

„Południe? Na świętego Izydora! — krzyknął Konrad, zrywając się z krzesła. — Cały ranek zmarnowany!”

„Zmarnowany? Nie, odpoczywałeś! Trzeba ci tego było”.

„Ale trzeba...”

„...powiadomić arcybiskupa o tym, co zaszło? Już to zrobiłem...”

Konrad popatrzył na niego spod przymkniętych powiek:

„Powiedziałeś mu wszystko?”

„Wszystko”.

Francuz westchnął, przecierając dłonią twarz. „Następnym razem niczego nie przedsięwzięmiesz bez pytania mnie o zdanie”.

„Ale cóż złego zrobiłem? — odparł, śmiejąc się Gaddo. — Chodź mleko stygnie!”

Konrad jednym skokiem był przy nim i schwycił go za kołnierz. Potem, z twarzą, na której wszystkie rysy stężały, wysyczał: „Nigdy więcej!”

Gaddo spoważniał, lecz nie odrzekł nic. Popatrzył tylko na niego pytająco, boleśnie zaskoczony.

Tamten rozluźnił uchwyt, potem cofnął dłoń i odwrócił spojrzenie.

„Wybacz mi”.

„Teraz podejrzewasz również arcybiskupa!”

Konrad długo milczał, potrząsając głową. „Podejrzewam wszystkich i nikogo. Muszę sobie rozjaśnić myśli... jeszcze nie ma wystarczających elementów... A poza tym, kiedy z nagłą zostaję obudzony, przez godzinę mam zły humor”.

Zaczął krążyć po izbie, mrucząc coś do siebie jakies słowa, przerywane łacińskimi

zawołaniami, wypowiedzianymi przez zęby. Potem zatrzymał się i odwrócił do Gaddo: „Powiedziałeś mi, że jest tu jakiś mag oskarżony o zbrodnie?”.

„Tak, chcesz go zobaczyć?”.

„Chodźmy tam zaraz!”.

„Ale ja muszę odprawić mszę! Przecież wciąż jestem mnichem!”

„Mam władzę udzielić ci dyspensy, gdyż będziesz mi potrzebny. Czyżbyś zapomniał, że mam swobodę działania? Mszę odprawimy wieczorem. A zresztą, wszyscy jesteście pod interdyktem, nie pamiętasz?”

„Jeżeli tak...”.

Konrad bez zwłoki skierował się ku drzwiom, przedtem chlusnąwszy sobie w twarz wodą ze szklanki, by całkiem się rozbudzić.

Gaddo ponownie go zatrzymał: „Przyniosłem ci przecież śniadanie! A ponadto zbliża się pora obiadu!”

„To również odłożmy do wieczora!”

Nie żartował Francuz mówiąc, że nie jest w humorze i przyjaciel uznał za właściwe nie sprzeciwiać się mu. Wyszli.

* * *

Drzwi celi otworzyły się i dwaj mnisi, odesławszy straż, weszli do środka. Gdy tylko oczy Konrada przywykły do półmroku, dostrzegł mężczyznę w średnim wieku, leżącego na wznak na pryczy. Leżał w przyzwoitej pozycji, splótłszy palce rąk na piersi. Nawet nie mrugnął powieką, gdy weszli. Wpatrywał się w sufit.

Konrad przysunął się i dokładnie mu się przyjrzał. Był wzrostu więcej niż średniego, tak że stopy zwisały z nędznego posłania, okrywał go brązowy kaftan z grubego sukna, który sięgał do kolan. Nogi odziane miał w szerokie spodnie. Konrad popatrzył na nieruchome oblicze mężczyzny: oczy miał szare, tak jak i zmierzwione włosy oraz brodę. Potem mnich przerwał milczenie: „Jak się nazywasz?”.

„A jak ty się nazywasz?”, odrzekł tamten, nie odrywając spojrzenia od sufitu.

Konrad pomilczał chwilę, później spokojnie odparł: „Jestem ojciec Konrad Leclerc”.

„Czy już wybiła moja godzina?”.

„Nie. Jeszcze nie było twego procesu”.

„Czy to ty poprowadzisz mój proces?”.

„Tak”.

„Czy zastosujesz tortury, by zmusić mnie do zeznań?”.

„*Ecclesia abhorret a sanguine*”, odparł Konrad. I dodał po chwili: „I ja również”.

Na twarzy mężczyzny nie drgnął żaden mięsień, lecz przechylił głowę, by popatrzeć w oczy swemu rozmówcy. Długo wpatrywał się w niego i wreszcie rzekł:

„Co chcesz wiedzieć?”

„Wszystko”.

„Powiedziałem już tamtym”.

„To nie to samo”.

Więziń zawahał się przez chwilę, i zdecydował się: „To ja ją znalazłem. Otworzyły się drzwi kurii, ktoś z nich wyszedł i zobaczył mnie tam. Popatrzył na ciało kobiety, później na mnie. Zanim zdążyłem otworzyć usta, pobiegł do środka wołając pomocy. Pojąłem wnet, że m paskudnie wpadł i chciałem zniknąć, lecz słudzy arcybiskupa szybko mnie dogonili. To wszystko”.

„Która to była godzina?”

„Świtało. Było jeszcze ciemnawo”.

„Co tam robiłeś o tej porze?”

Mężczyzna nie odpowiadał.

„Zrozumiałem. O tym nie chcesz powiedzieć, gdyż to także wpędziłoby cię w tarapaty, prawda? Nie wiesz co wybrać, czy być oskarżonym o zabójstwo czy... skazanym za czarodziejskie praktyki. Bowiem to właśnie robiłeś tamtego ranka, co?”.

Mężczyzna parsknął i usiadł na pryczy, wbijając wzrok w ziemię. Potem spojrzał Konradowi prosto w oczy: „A niech tam — powiedział — i tak nie mam wielkiego wyboru. Szukałem kota”.

„Przygotowywałeś jakiś napój?”

„Widzę, że znasz się na tym! Owszem, napój miłosny. Och, nic niezwykłego! Lecz było mi potrzebne oko kota! Pojmujesz chyba, że jeżeli komuś z moją reputacją potrzebny jest kot, nie może przecież szukać go za dnia! Pizańskie władze, w zasadzie, pozostawiają mnie w spokoju. Wiesz, jak to jest: afrodyzjaki, eliksiry, miłosne napoje sprawiają, że m dla wszystkich wygodny. A ja zapewniam zawsze moim klientom najwyższą dyskrecję. Są wszakże w Pizie ludzie, którzy zrzucają na mnie odpowiedzialność za wszelką chorobę, wszelkie czary i wszelkie uroki. Ci z przyjemnością widzieliby mnie na marach. Przysięgam ci jednak, na święty strój, który nosisz, że m dobrym synem świętego Kościoła rzymskiego i że nie chce umrzeć ekskomunikowany!”.

Ostatnie słowa wypowiedział z mocą, jakiej nikt by się nie spodziewał po tym obliczu, tak przedtem bez wyrazu. Kiedy uchwycił połą kaftana Konrada w oczach zapalił mu się błysk.

„Nie dziwię się, że są ludzie, pragnący twojej śmierci — rzekł mnich. — Do nich dołączyłbym tych, którzy będą pewni twej dyskrecji dopiero wtedy, gdy spoczniesz w grobie, i którym teraz, gdy dowiedzieli się, że czeka cię proces, żołądek podchodzi do gardła. Posiałeś wiatr. Co miałeś zamiar zebrać?”.

Czarownik pokiwał głową: „Nie masz pojęcia czym może być żądza wiedzy! Byłem krzyżowcem, podróżowałem, widywałem dziwne miejsca i ludzi. Byłem więźniem Starca z

Gór i jego zbójców, próbowałem pobudzających środków, które oni palili. Widziałem czary i cuda, jakich sobie nawet nie wyobrażasz! Widziałem wody, które uzdrawiają i skały, których dotknięcie zabija, widziałem ołów przemieniany w złoto i słuchałem opowieści o odległych ludziach, zamieszkujących hen, poza Słupami Herkulesa. Lecz to wszystko nie ukoło mnie, nie zgasło we mnie palącej chęci wiedzy, coraz większej wiedzy, osiągnięcia całkowitego poznania! Nie, nie możesz tego pojąć!”

„Wiele z cudowności, o których mówisz i ja widziałem na Wschodzie — podjął spokojnie Konrad. — Ale jedną rzecz zrozumiałem: nie ma takiego pragnienia, którego nie mogłoby ugasić zgłębianie chrześcijańskiej wiary, jeśli się ma serce czyste i uczciwe intencje. Mogłeś badać te sprawy nie schodząc z drogi, którą Kościół, matka nasza, wyznaczył dla naszej kruchości. Wiedza daje tak wielką moc, że może wymknąć się z rąk. Trzeba by być świętym, bardzo świętym, by móc ją przynajmniej utrzymać na wodzy; jednakże nawet święci nigdy nie ośmielili się podejmować żadnych badań bez należnego posłuszeństwa i dlatego są świętymi. Tę żądzę wiedzy posiał w tobie diabeł, nie Pan Bóg, czego potwierdzeniem jest twój, nigdy nie nasycony, niepokój. Podniety, które od Ducha Bożego pochodzą, przynoszą pokój i pogodę umysłu. O tym winienesz wiedzieć!”

Mężczyzna zdawał się tak głęboko przejęty słowami Francuza, że otworzył usta, jakby do odpowiedzi, lecz zamknął je i objął głowę rękami.

Konrad odwrócił się do Gadda i wskazał na drzwi. Wyszli w milczeniu.

Zaledwie znaleźli się na ulicy, Gaddo zagadnął przyjaciela:

„I co teraz?”

„Teraz jestem głodny!” odparł tamten.

Skierowali się więc w stronę kurii, mijając przechodniów, konie, sprzedających, kupujących, próżniaków i żebraków, którzy spieszyli — wszyscy, nawet pomylny, do swego stołu. Jeśli go, rzecz jasna, posiadali.

Konrad przyglądał się wieżom i nieprzeliczonym kościołom; było ich tyle, że czasem jeden napierał na drugi i przeglądał się w nim. Jak ludzie mogli, po ponad tysiącu lat chrześcijaństwa, po przykładzie nieprzebranej rzeszy męczenników i świętych (sama Piza liczyła ich dziesiątki), po morzach pism, kazań i nauk, żyć w świecie, gdzie nawet kamienie wołają o Chrystusie i tylko o Nim, słuchać Jego słów przynajmniej raz w tygodniu, żegnać się Jego znakiem przez całe życie od narodzin do śmierci — i być wciąż tak przewrotnymi!

Zaraz wszakże dodał, pocieszając się: „Kto wie, jakby to było bez tego wszystkiego!”

I stanęła mu w pamięci olbrzymia praca Kościoła nad tymi Gotami, Wandalami, Normanami, ludźmi bez praw i pobożności przemienionymi w zdyscyplinowanych rycerzy, duchownych, artystów. Pomyślał o cierpliwym i cichym działaniu przez całe stulecia zakonników, którzy przekopywali, karczowali, obsiewali nieurodzajne ziemie, gdzie nikt nigdy nie oczekiwałby jakichkolwiek plonów. Życia całe spędzone na przepisywaniu na nowo i na nowo tekstów, które gdyby nie to, zaginęłyby w morzu ignorancji i obojętności; i na

ślęczeniu nad szorstkim pergaminem, nawet kiedy oczy zepsuły się do końca lub kiedy złodowaciałe palce nie czuły już pióra.

A ci, którzy zostawiając żony, dzieci, majątności szli, żeby, po długich miesiącach podróży, bić się w żelaznych zbrojach pod zabójczym słońcem Palestyny, a może zginąć lub dostać się do niewoli. Albo powrócić, po latach, i nie znaleźć już ani żony, ani dzieci, ani posiadłości.

Myślał o uporze rzemieślników, którzy rozpoczęli budowanie szalonych katedr, cudów harmonii proporcji i zuchwałości, nie wiedząc nawet, czy ktoś kiedykolwiek dokończy tego, co oni zaledwie zarysowali; i którzy pod koniec życia kazali się grzebać w fundamentach, aby nawet po śmierci ich kości podtrzymywały budowlę.

A poza tym wszystkim niestrudzone dzieło Kościoła, z uporem pragnącego uczynić ludzi dobrymi, nawet wbrew ich woli.

Takie było chrześcijaństwo, przedsięwzięcie niemożliwe nawet do pomyślenia: cywilizacja odnajdująca się w jednej nauce, jednym wzorcu, jednym języku. I która, szczyt szaleństwa, wspierała się jedynie na danym słowie, na feudalnym pakcie, rozciągającym się na wszystkie aspekty życia.

Przyznał, że pomimo wszystko był dumny... tak, dumny to odpowiednie słowo, że żyje w tych czasach. Rozumiał kogoś, kto z tęsknotą wspominał starożytność, opłakiwał ład, cnoty obywatelskie... lecz czuł, że nie może dzielić takich tęsknot. Jedyny ład, dający się pogodzić z najwyższą wolnością, tkwił w chrześcijaństwie. Obywatelskie cnoty ludzi antyku, jeśli to były cnoty, stanowiły efekt dumy i ich owocem było pogńębienie wroga. Chrześcijaństwo natomiast, z jego naturalnymi hierarchiami, opartymi na pokorze i służbie przynosiło braterstwo.

Zgodnie, oczywiście, z grzechem pierworodnym. Nie, to nie był ład, jeśli można w nim było skończyć jako niewolnik, lub zostać zmasakrowanym w cyrku jedynie dla rozrywki gawiedzi. Jediną rzeczą z czasów pogańskich, zasługującą na ocalenie, było poczucie prawa, i chrześcijaństwo je ocaliło.

Pogrążony w takich myślach Konrad spostrzegł, że przybyli na miejsce, dopiero kiedy Gaddo ustąpił mu pierwszeństwa w drzwiach.

Weszli do swych komnat i zamówili jakieś jadło. Pospiesznie nakryto im stół.

Kiedy słudzy wyszli, Konrad wypowiedział zwyczajowe błogosławieństwo i usiadł.

„Nie jesz? — zapytał Gaddo, widząc go zamyślnym. — Ten pasztet z bażanta pachnie smakowicie! Albo ten zajac”.

„Ile osób wie o tym wydarzeniu?”, przerwał mu Konrad.

„No, ja, następnie arcybiskup, czarownik, ludzie, którzy go pochwycili, ten, który balsamował ciało, rodzina zmarłej, Szymon Visconti...”.

„Wystarczy. Zadałem głupie pytanie”, rzekł Konrad, biorąc się za jedzenie.

„Kiedy masz zamiar rozpocząć proces czarownika?”, zapytał Gaddo.

„Możliwie najpóźniej. Chce się naprzód jaśniej w tym rozeznąć”.

„Od czego chcesz rozpocząć?”.

„Chce porozmawiać z każdym, kto w ten lub inny sposób jest wmieszany w tę sprawę. Począwszy od Szymona Viscontiego”.

„Też coś! Ten wyprze się nawet, że znał Beatrice Sciancati!”.

„Zagram z nim w otwarte karty, bo nie mam tu nic do stracenia”.

„To człowiek wielce potężny!”.

„Boża sprawiedliwość potężniejsza jest od niego”.

Gaddo pomyślał przez chwilę i powiedział: „Zgoda, jak chcesz. Odwiedzimy go jeszcze dzisiaj”.

W milczeniu kończyli posiłek.

Wstając od stołu, Konrad oświadczył:

„Zrobię sobie godzinny odpoczynek, by mieć jaśniejszy umysł, a zaraz potem odprawimy mszę: mnie nie obłożono interdyktem”.

VI.

Mdłe popołudniowe światło, sączące się przez alabastrowe okno kaplicy, wspomagały wątłe płomyki woskowych świec, rozjaśniające ołtarz. Dwa rodzaje światła, nakładając się na siebie, rysowały dziwaczne cienie na skupionych twarzach obu celebransów. Ciszę przerywały monotonnie odmawiane półgłosem formułki.

Konrad nie mógł się jednak skupić na tym co robił. Byłoby logiczne, gdyby jego myśli biegły do intrygującego przypadku, do którego rozwiązania został zawezwany.

Ale było inaczej.

Demon południa wybrał właśnie tę świętą chwilę, by pieścić umysł zakonnika swymi pokusami.

Przed oczami miał nie mszał, lecz ciało Beatrice Sciancati. Leżała tu, na ołtarzu, blada i naga; była martwa, lecz uśmiechała się nieznacznie a jej pierś zdała się oddychać, unosząc się i opadając coraz bardziej.

Konrad zamknął oczy i widzenie zniknęło. Znowu je otworzył a ona jeszcze tu była, bliźniutko jego rąk. Raz, drugi i trzeci próbował odpędzić ten obraz. Na próżno modlił się, błagał Boga, by go uwolnił od tej bezwstydnego pokusy. Bezskutecznie.

Spróbował znowu, i nic.

Wówczas poczuł, jak rośnie w nim głucha wściekłość, uczucie urazy i niechęci do tego Boga, któremu starał się służyć, który rzucał nim tu i tam, nie bacząc na jego człowieczą wrażliwość i utrapienia, do tego Boga, którego wola była zawsze odległa o tysiące mil od jego woli, tego głuchego Boga, który w godzinie pokusy zostawia go samemu sobie.

Chwiał się przez chwilę pod wpływem wewnętrznego napięcia i uniósł rękę do twarzy. Gaddo zatroskany, podtrzymał mu ramię, lecz on uspokoił go przeczącym gestem.

Konrad poprawił sobie na plecach ciężki strój liturgiczny i dalej odprawiał mszę.

Mszał jeszcze zdawał się drzeć przed jego oczami, udając biel brzucha Beatrice, który coraz wyraźniej zarysowywał się na ołtarzu i pulsował żywy, ciepły, hipnotyzujący, porażający!

Konrad miał w oczach łzy: przegrał walkę wewnętrzną.

Lecz przypomniał sobie pewne zdanie z Pisma, tak jasno, jakby od zawsze tkwiło w jego umyśle: „Ponieważ byłeś miły Bogu, byłeś kuszony”. I widzenie znikło.

Zaczął więc się śmiać przez łzy i, wciąż się śmiejąc, upadł na kolana przy ołtarzu, zaś Gaddo spoglądał na niego w osłupieniu.

VII.

Szymona Viscontiego nie było tego dnia w jego miejskim pałacu, gdyż zaproszono go na polowanie koło Puccio Roncioni, do zamku Ripafratta, kilka mil od Pizy. Podczas gdy Konrad odbywał swoją drzemkę, Gaddo wysłał tam sługę, by uprzedził o ich przyjeździe.

Jechali konno, w oślepiającym popołudniowym słońcu, drogą, która wiodła przez bramę na Lukkę, w stronę Ripafratta.

Konie szły truchtem, a oni gawędzili o tym i owym, spoglądając na winnice uginające się pod ciężarem fioletowych gron. Od winnych krzewów przeszli do pędów a od pędów do ewangelii. I tak to Gaddo zaczął mówić o raj.

„Gdzie, według ciebie, znajduje się raj?”, zapytał.

„Ha, jedni mówią, że na wyspie Avalon, gdzie przewieziono Artura na statku bez żagli i bez załogi, inni, że na wyspie Cejlon lub zaraz za Słupami Herkulesa, na ogromnej górze”.

„Podobno są tam rzeki najcenniejszych klejnotów i skały z czystego złota! Powiadają, że tryskają tam źródła, przywracające młodość a wody mają smak zmieniający się zależnie od pory dnia. Mówią też, że tam biorą początek Nil, Tyber, Tygrys i Eufrat!” dodał rozpromieniony Gaddo.

„Och, tak! — ironicznie odrzekł Konrad. — Jedni twierdzą, że i Jordan tam wypływa; inni, że i Dunaj! I że żyją tam wszystkie, najbardziej niezwykle zwierzęta, łagodniutkie oczywiście, i są tam wszystkie klejnoty oraz wodospady mleka i miodu. Niektórzy nawet widzieli to wszystko na własne oczy w królestwie kapłana Gianniego!”.

„Ty w to nie wierzysz, prawda?”.

„Nie”.

„Gdzie zatem, twoim zdaniem, znajduje się raj?”, dopytywał się zaciekawiony Gaddo.

„Moim zdaniem, w żadnym miejscu, przynajmniej w żadnym fizycznym miejscu. Bóg jest Duchem. To musi być coś podobnego. Kontemplowanie Boga. Bóg jest Dobrem, Pięknem, Prawdą, Sprawiedliwością. Czegóż więcej można pragnąć? Skoro uczciwi ludzie uważają, że warto umrzeć dla sprawiedliwej sprawy, o ileż bardziej powinno być warto umrzeć dla samej Sprawiedliwości! Niektórzy chcieliby umrzeć w ramionach nadobnej niewiasty. A jakże to musi być wspaniałe zniknąć w samym Pięknie?”.

Gaddo zawahał się przez chwilę i rzekł: „Masz rację. Byłem ja, i nie jeden raz, w

niewieścich ramionach: jest tak, jak mówisz. I, niechaj mi Bóg wybaczy, też było mi tam dobrze!”.

„Grzech za grzech, powiem ci więc, że myślę, iż Bóg okropnie by się przejął, gdybyś źle się w nich czuł!” zauważył ze śmiechem Konrad. Potem udał, że poważnie i spuścił oczy, zerkając ukradkiem na przyjaciela: „Wiesz, jeśli o to chodzi, ja też to robiłem w swoim czasie, bądź spokojny”.

Lecz Gaddo chwycił go za ramię, zmuszając, by spojrzął przed siebie: polna droga, którą jechali pięła się ku górze. Na jej szczycie stał jakiś rycerz. Zagradał im drogę swym wierzchowcem; był bez znaków, miał opuszczoną przyłbicę.

Mnisi przystanęli na moment, potem, wymieniwszy pytające spojrzenia, ruszyli stępa.

Rycerz podniósł bez słowa lancę i zaszarżował.

Konrad, przewyciężywszy przerażenie, ledwo zdążył ściągnąć Gadda z siedzenia i rzucić się na ziemię z drugiej strony, gdy rycerz wpadł między nich, nacierając gwałtownie na ich konie.

Konrad podniósł się, szukając swego wierzchowca, lecz oba rumaki dawno umknęły.

Rycerz wyhamował rozbieg i zawrócił. Zatrzymał się chwilę i pogalopował w stronę Konrada.

Ten, zwinnie podwinąwszy habit za pas, zaczął biec najszybciej jak potrafił, ale nie miał złudzeń: uciekając piechotą był już trupem.

Wtem rzucił się w stronę pobliskiego drzewa. Dopadłszy go uchwycił się poziomego konara i, odbiwszy się nogami w górę, zwinął się w kłębek, podczas gdy rycerz przejechał pod nim.

Zeskoczył na ziemię i korzystając z cennych chwil, kiedy tamten usiłował wyhamować rozbieg i zawrócić konia, popędził rozpaczliwie w stronę winnicy.

Miał przewagę minimalną, ale jednak przewagę: między gęstymi pędami pieszy poruszał się sprawniej niż jeździec. Istotnie, jego przeciwnik zwolnił bieg.

Mnich uciekając gorączkowo zastanawiał się, szukając jakiegoś wyjścia. Tymczasem rycerz zbliżał się... zbliżał się coraz bardziej!

Wówczas Konrad skręcił ku polance, wyrwał podtrzymujący pędy pał i solidnie go uchwycił. Potem odwrócił się gwałtownie i zaczął biec w stronę konia.

Kilka kroków przed przeciwnikiem wbił w ziemię pał jak tyczkę i skoczył mężczyźnie prosto na plecy z taką gwałtownością, że wysadził go z siodła, zaś koń pogalopował dalej.

Rycerz, skępowany zbroją, upadł ciężko na ziemię. Konrad fiksał go i siedział na przeciwniku zanim ten zdołał ochłonąć. Wsunął mu palce pod brzegi przyłbicy i pociągnął z całych sił, usiłując udusić go paskiem podtrzymującym hełm.

Lecz mężczyzna, uniósłszy do tyłu pięść walnął go w skroń żelazną rękawicą.

Ogłuszony Francuz padł na wznak. Oszołomiony, półprzytomny, uniósł głowę i z przerażeniem zobaczył, że tamten dźwignął się na nogi i składa się do zadania mu

śmiertelnego ciosu mieczem.

„*Sancte Michael!*” wrzasnął Konrad i osłonił głowę ramieniem, przygotowując się na cios.

Ale cios nie nastąpił.

Kiedy odemknął oczy, ujrzał rycerza trzymającego w obu rękach uniesiony miecz, w postawie takiej samej jak przedtem, nieruchomego.

Potem tamten upuścił broń, powoli opuścił ramiona i zwałił się w przód, na brzuch. Ze strzałą wbitą w kark, dokładnie u nasady hełmu.

Konrad osłupiał, podniósł się i rozejrzał wokoło. Niedaleko stał drugi rycerz, z odkrytą głową i łukiem w ręce.

Puszczając konia stępa, nowoprzybyły zbliżył się i Konrad mógł mu się dokładnie przyjrzeć. Był to jeszcze chłopiec o śniadej karnacji, z krótko ostrzyżonymi, gęstymi włosami. Ubrany w strój myśliwski: obcisły zielony kaftan i luźne spodnie. Zbliżył się, zdjął rękawice i wyciągnął rękę do Konrada.

„W samą porę, ojcze!” rzekł z uśmiechem.

Konrad wszakże nie przyjął wyciągniętej ręki. Uśmiech zgasł na ustach młodziana, który wyprostował się w siodle i gniewnie spoglądał na mnicha.

„Kim jesteś?”, zapytał przezornie Konrad.

„Zowią mnie Ugolino”, odparł tamten.

„Może delia Gherardesca!” rzekł wpadając mu w słowo Konrad.

Tamten nie zmieszał się.

„Skąd znacie moje nazwisko? Ja was nie znam!”.

„Ale ja znam ciebie. Tylko że... nie wiem dlaczego, lecz spodziewałem się tego!”

„Nie pojmuję was!”

„Ach, nie przejmuj się chłopcze. Nie przejmuj się, podejdź, zobaczymy, kto to taki”. I zaczął ściągać ze zmarłego hełm, wyrwawszy wcześniej strzałę.

Młodzian zeskoczył z konia i zbliżył się do trupa.

Spod hełmu ukazała się twarz mężczyzny około pięćdziesięcioletniego, o czarnych włosach i równie czarnej brodzie.

„Znasz go?”, zapytał Konrad.

„Nigdy go nie widział”.

„Przecież Piza to niewielkie miasto! Musiałeś go widzieć chociaż raz!”.

„To musi być cudzoziemiec. Mówię wam, że go wcześniej nigdy nie widział!”.

„Zgoda, zgoda, wierze ci”, zapewnił Konrad, podkreślając słowa skinieniem ręki.

„Dlaczego na was napadł? Chciał was ograbić?”.

„Możliwe. Niewiele by jednak znalazł”, odparł Konrad, przeszukując kieszenie nieboszczyka.

„No — rzekł z nagłą młody Ugolino — nie sądzę, bym był jeszcze potrzebny. Żegnajcie”.

Całkowicie obojętny, wskoczył na rumaka, gestem dłoni przesłał pozdrowienie i pogalopował. „Nie trudźcie się zbytnio z dziękowaniem mi!” zawołał odjeżdżając.

Konrad obserwował oddalającego się Ugolina, potem pochylił się, by pobłogosławić zwłoki.

Pojawił się i Gaddo, nieco poobijany, lecz cały i zdrów.

„Nareszcie! — rzekł Konrad na jego widok, — gdzie się zawieruszył?”

„Kiedy zsunąłem się z konia, upadłem nieszczęśliwie i uderzyłem się w głowę. Spójrz, jaki guz! Musiałem chyba zemdleć. Potem szukałem cię, ale zniknąłeś, wraz ze ścigającym cię rycerzem. Wdrapałem się na tamten wzgórek i stamtąd dostrzegłem cię w tej winnicy”. Potem, wskazując na zwłoki, spytał: „Co się stało?”

„Powiedzmy, że Archanioł Michał, tymczasowo pod postacią Ugolina delia Gherardesca, przyszedł mi z pomocą!” odrzekł Konrad i opowiedział mu o wszystkim.

„Trzeba pogrzebać po chrześcijańsku tego nieszczęśnika”, stwierdził na koniec Gaddo.

„Przyjdzie na to czas. Teraz mam lepszy pomysł. Najpierw spróbujmy znaleźć konie.”

„Jeśli o to chodzi, mamy szczęście: widziałem, jak skubią trawę niedaleko stąd.”

Poszli więc schwytać wierzchowce. Wzięli też konia zabitego rycerza i ułożyli na nim ciało, przytroczywszy je do siodła, by nie spadło. Potem udali się w stronę pobliskiego już zamku Ripafatta.



Przybyli o zmierzchu. Przyjęli ich hrabia Puccio i Visconti we własnej osobie, który rozpoznał sekretarza arcybiskupa.

Obaj szlachetni panowie utrzymywali, iż nigdy wcześniej nie widzieli zmarłego i wyrazili głębokie ubolewanie z powodu tego, co zaszło. Następnie zaprowadzili ich, by się obmyli, zaś służbie rozkazali pogrzebać trupa.

Wkrótce potem Konrad i Gaddo pluskali się w dwóch cedrowych kadziach, wypełnionych ciepłą wodą i wonnymi olejkami.

Gaddo obrócił się w stronę Konrada, który odpoczywał z zamkniętymi oczami:

„Widziałeś zmarłego?”

„Widziałem go też, gdy był żywy!”, odparł Konrad nie otwierając oczu.

„Nie, chciałem rzec, czy widziałeś włosy?”

„Tak, ja też o tym pomyślałem. W tej sprawie wszyscy mają czarne włosy. Wyjąwszy ciebie, naturalnie, bo zanim je zgoliliś, byłeś blondynem”.

Gaddo przejechał dłonią po głowie: „Och, tak jest o wiele wygodniej! Oraz higieniczniej! Pamiętam, że pewnego razu...”

„Dobry wieczór, panowie. I przyjemnej kąpieli!”

Nadejście Szymona Viscontiego przerwało w pół zdania wspomnienia zakonnika.

Gospodarz był niewątpliwie przystojnym mężczyzną, wysokim, o czarnych, lśniących włosach, lekko szpakowatych na skroniach. Okrywał go nader elegancki strój z czarnego aksamitu, haftowany czerwoną nicią. Gładko wygolona twarz siliła się na uśmiech, ruchy miał zdecydowane a zarazem wykwintne.

„Wybaczcie najście, lecz chciałem się osobiście przekonać, czy wam czegokolwiek nie brakuje”.

Konrad skłonił lekko głowę, by odwzajemnić kurtuazje, i rzekł:

„Niebu dziękuję, że natchnęło was myślą przyjscia tutaj. Pragnąłem właśnie porozmawiać z wami na osobności i oto wasza obecność daje mi tę okazję”.

„Skoro tak, panie, otom do waszej całkowitej dyspozycji!” odparł Visconti, podkreślając słowa pełnym elegancji gestem ręki.

W odpowiedzi Konrad znowu się skłonił i tak rozpoczął:

„Jestem papieskim legatem. Mam przeprowadzić proces dotyczący śmierci Beatrice Sciancati”.

Szymon Visconti drgnął nieznacznie, lecz zdołał utrzymać na twarzy uśmiech: „I szukacie informacji właśnie... u mnie?”.

Konrad wyszedł z wody i owinął się prześcieradłem. Potem rzekł wyraźnie: „Porozmawiajmy jasno, panie. Oszczędzimy czasu i kłamstw”.

Visconti już się nie uśmiechał. Usiadł na stołku i uważnie wpatrywał się w Konrada. „Dobrze, skoro wasz konfrater wprowadził was w moje sprawy!”. I z pogardą wskazał Gadda, który stawał się coraz mniejszy w swej kadzi.

„Czy w noc zabójstwa niewiasta była z wami?” przeciął krótko Konrad.

„Zdaliście mi się przebiegłszy, ojcze! Ani wam, ani nikomu nie powiem, gdzie byłem tamtej nocy i z kim. Jeśli się jednak chcecie zabawiać prawniczymi formalnościami, jestem w stanie dostarczyć wam jakich chcecie świadków. Sto, dwieście osób gotowych poprzysiąc na ewangelię, iż byłem z każdą z nich. Nie, nie, oszczędźmy sobie błazeństw, proszę! Zabił ją młody bękart delia Gherardesca, a ja mu odpłacę tym samym! Myślicie może, że ocalił wam życie przypadkiem? Nie pojmujecie, że jechał za wami, by zobaczyć, czy udajecie się do mnie? Potem skorzystał w lot z okazji, by się wkraść w wasze łaski. Wiedział, że Rzym przysłał kogoś, tak jak i ja wiedziałem. Ród Viscontich i psy delia Gherardesca mają w Pizie tysiące oczu. Widok nieznajomej twarzy w towarzystwie osobistego sekretarza arcybiskupa dopełnił dzieła. Teraz wie, kim jesteście. Wiem ja i oni wiedzą”.

„Dlaczego zatem nie dokonaliście natychmiast odwetu?”

Visconti zaśmiał się szyderczo: „Och, biedny mój, naiwny ojcze Konradzie Leclerc z Tours! Czyżby wasz przyjaciel nie dosyć was poinformował? Widzicie, teraz jest delikatny czas dla cesarza i jego sprzymierzeńców. Dzięki ostatniemu soborowi Rzym zdobył punkt dla siebie i jest, chwilowo przynajmniej, silniejszy. Teraz rozumiecie, dlaczego czekamy wszyscy na tę farsę procesu i na wasz odjazd? Dopóki jesteście tu, nie mogę obedrzeć ze skóry

Ugolina i tego, kto go broni, a on może spokojnie polować, pewien, że nie spadnie mu włos z głowy. Kiedy jednak to wszystko się skończy... — tutaj głos Viscontiego stał się lodowaty — kiedy to wszystko się skończy, on umrze tak samo. Dokładnie tak samo”.

To powiedziawszy wstał i wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

Mnisi, bez słowa, spoglądali ku wyjściu.

„Wyjdź z wody, musi już być zimna jak lód”, powiedział Konrad do Gadda.

Ten wynurzył się z kadzi cały rozdygotany, pochwycił prześcieradło, które Konrad mu podał, i zaczął się gorączkowo wycierać.

Konrad był zamyślony. „Jeśli to tak — rzekł — to młody Ugolino był naprawdę zakochany w tej Sciancati! Gaddo! Prosiłem cię, żebyś mi opowiedział o wszystkim, niczego nie kryjąc!”.

„Ale o tym ci powiedziałem!”.

„I to było wszystko?” wrzasnął Konrad.

„Tak, to znaczy... nie! Uciekł mi z pamięci pewien szczegół. Dobrześ uczynił, żeś mi kazał o tym pomyśleć. Chodzi o to, że widziano młodego Ugolino w drzwiach domu Beatrice, w samej tylko koszuli. Był wzburzony, wyglądał jak nieboskie stworzenie, kopał w drzwi i wołał: „Zabiję cię, zabiję cię!” Lub coś w tym rodzaju. Przyszli jego krewni i zabrali go stamtąd. Zdaje się też, że zapłacili świadkom za milczenie, by zdusić skandal. Podobno od tego dnia Ugolino, zawsze wesoły i pełen życia, stał się ponury i szorstki.

„Ale to tylko plotki. Wiesz, rzecz dotyczy rodzin stojących na świeczniku i wszystkie zdarzenia z nimi związane, nawet najbliższe, w ustach pospólstwa stają się anegdotami. Poza tym to zdarzyło się przed laty, i dlatego nie przypisałem temu większego znaczenia”.

Konrad pocierał sobie brew i gorączkowo rozmyślał. Potem zawołał: „Nic z tego, nic się nie da zrobić: za dużo spraw nie pasuje do siebie w tej historii!

„Po pierwsze!” I zaczął wyliczać na palcach. „Visconti i della Gherardesca czekają tylko bym wyjechał, aby chwycić za miecze, zatem nie leży w ich interesie, by spadł mi włos z głowy. A jednak dokonano już dwu zamachów na mnie. Kto? Następnie: czy rycerz i człowiek z cmentarza to ta sama osoba? Po drugie! Kto wypuścił strzałę wczoraj wieczór i co właściwie znaczy to przesłanie? Po trzecie! Jeśli winien jest Ugolino, dlaczego ktoś dokonał satanicznego rytuału na zwłokach Beatrice? Po czwarte: miałem jeden mały ślad — czarne włosy w dłoni zmarłej — lecz wszystkie osoby zamieszane w tę sprawę są brunetami! I wreszcie jest czarownik. Wydał mi się szczery, ale to tylko zwyczajne odczucie, a wiem z doświadczenia, że niektórzy potrafią doprowadzić do perfekcji sztukę kłamstwa. Jednak jest coś, co mi umyka! Jakiś zakątek w mojej pamięci, który mnie swędzi. Jest coś w moim mózgu, jakiś drobiazg, który musiałem przesłonić. Ale co?”

„Cokolwiek by to było, musisz to teraz odsunąć na bok — rzekł Gaddo, który przez ten czas zdążył się ubrać. — Oczekują na nas z kolacją a sądzę, że lepiej nie kazać naszym gospodarzom zbyt długo wypatrywać naszego nadejścia”.

VIII.

Pierwsze, co rzuciło się w oczy Konradowi, gdy wszedł do komnaty, była to twarz osoby siedzącej po prawicy Szymona Viscontiego. Rozpoznał ją bez trudu. Był to Turek, któremu przyszedł z pomocą w pierwszy poranek po przybyciu do Pizy. Umyty i strojnie ubrany wyglądał całkiem inaczej. W dodatku miał maniery osoby szlachetnie urodzonej.

Widząc zdumienie na twarzy Konrada, mężczyzna wstał i uśmiechając się wyszedł mu naprzeciw; pozdrowił go na sposób niewiernych i wzięwszy pod ramię, poprowadził na miejsce obok siebie.

Stół ustawiono w kształcie litery U i biesiadnicy siedzieli przy zewnętrznym jego brzegu, by słudzy mogli wchodzić do środka podkowy i donosić potrawy. Pośrodku zasiadł hrabia z żoną; po prawej stronie hrabiego małżonka Viscontiego, niewiasta o twarzy zrezygnowanej i melancholijnej; Turek siedział obok jej męża.

Hrabia podniósł się i powitał Konrada i Gadda, wyrażając ubolewanie z powodu przykrej przygody, jaka ich spotkała. Potem usiadł, dając znak grajkom i wesołkom.

Gdy słudzy zaczęli nalewać wina, Turek zwrócił się w stronę Konrada: „Panie, zanim się wam przedstawię i rozproszę wasze zdumienie na mój widok, pozwólcie iż wyrażę wam moją dozągonną wdzięczność za szlachetny gest, jaki raczyliście uczynić względem mnie. Na zawsze pozostanie on w oczach Boga i w mojej pamięci”.

Wypowiedział to doskonałą francuszczyzną, co Konradowi, który i tak milczał, całkiem odebrało mowę.

„A teraz pozwólcie, że się przedstawię — ciągnął mężczyzna, tym razem w języku gospodarzy. — Nazywam się Mohamed Ben Yussuf Ibn Harudne i jestem szóstym synem kalifa Bagdadu. To Szymon Visconti zapłacił za mnie okup i gości mnie u siebie do czasu, gdy wsiądę na statek i odpłynę do ojca”.

„Widzę, iż Szymon Visconti zachowuje się jak godny wasal cesarza Fryderyka i naśladuje jego zwyczaje!” odparł kwaśno Konrad.

Turek roześmiał się: „Tak, wiem że cesarz wasz lubi się otaczać filozofami i matematykami, choćby byli wyznawcami Proroka. Podobno urządził swoje komnaty wedle naszych obyczajów. Wiem również, że to wszystko nie jest dobrze widziane przez wielu, w chrześcijańskich królestwach. I, szczerze mówiąc, nie mogę mieć wam tego za złe. Nie wiem,

jak sam bym postąpił, gdyby mój ojciec zaczął się nadmiernie interesować waszą kulturą, albo tym co, dajmy na to, wypływa z uniwersytetu paryskiego”.

Rozmawiali tak o tym i owym, dbając uprzejmię, by unikać problemów — a było ich niemało — które przypominałyby o niewygasłej wrogości między ich narodami.

W pewnej chwili jakiś pstrokato ubrany kuglarz wystąpił na środek komnaty i zaczął śpiewać frywolną pieśń wesołków:

„Jam młody i żalem nie żyję ni trwogą,
najlepszy żywot mam jeszcze przed sobą,
a jeśli nawet duszę swą zatracę,
użyłem życia i za to zapłacę.
Oto i sposób najpewniejszy macie,
by wieść rozkoszne, wygodniejsze życie!”

Gaddo z Konradem uśmiechali się z przymusem, wymieniwszy przedtem zakłopotane spojrzenie (w końcu byli mnichami), podczas gdy inni współbiesiadnicy śmiali się nieprzystojnie z dowcipów igrca. Ten zaś zaczął fikać koziołki, które wzbudzały jeszcze większą wesołość.

Nagle jednak Konrad spowaźniał. Ostatnie słowa piosenki układały się w dziwny rym z niedawnym, obsesyjnym wspomnieniem: „wygodniejsze!... men dura!... en dura... Endura!” Ten wyraz rozbrzmiewał w jego umyśle coraz głośniej, coraz uporczywiej.

Nie tylko to słowo, lecz jeszcze coś innego, coś, co usłyszał tego samego wieczoru, co — nie wiadomo jak — wiązało się z owym wyrazem; ale co to było, co?

Tymczasem kuglarz, po ostatnim piruecie, stanął prosto na nogach. Zamaszystymi gestami poprosił o ciszę i zapowiedział, że — z racji niesłychanych umiejętności — wyrecytuje te samą pieśń na wspak, rozpoczynając od ostatniego słowa.

Kiedy zamilkł gwar podziwu po takiej zapowiedzi, kuglarz rozpoczął: „Arud nem ativ al raf rep...”. I ciągnął aż do końca, który zwińczyły gorące owacje.

Lecz Konrad, usłyszawszy już pierwsze słowo, pobladł: „Arud nem... Arudne! Harudne... Endura!” Imię Turka było odwrotnością słowa Endura! To Endura czytane od końca!

Mohamed Ben Yussuf spostrzegł, że coś dziwnego dzieje się z jego sąsiadem.

„Przyjacielu, może zachłysnęliście się winem?”

„...ttak, — odparł Konrad biorąc się w garść. — Tak, wino... właśnie wino”.

Uspokojony Turek powrócił do oglądania przedstawienia.

Konrad zastanawiał się gorączkowo. Czy to właśnie miało nieść znaczące przesłanie? Katarzy nie mają tu nic do rzeczy? Czy w tę sprawę był wplątany Turek? A może to zwykły zbieg okoliczności? Czy może to jego umysł, pragnący rozwikłać tę zagmatwaną sprawę, daje upust zbyt wielkiej fantazji i chwyta się pierwszej lepszej, nawet niezbyt logicznej, przesłanki? Kim naprawdę jest ten człowiek i jakie są jego prawdziwe powiązania z Szymonem Viscontim?

Nad tym wszystkim głowił się Konrad, niosąc do ust kęsy jedzenia. Wątki mozaiki rozsypywały się w jego umyśle i ponownie układały w nedorzeczne kombinacje, bez ładu ni składu, jedna mniej prawdopodobna od drugiej. W końcu musiał sam przed sobą przyznać, że znajduje się w punkcie wyjścia, że ze wszystkiego razem nic nie wynika.

Wreszcie — Bogu dzięki — kolacja dobiegła końca. Grajkowie, zonglerzy oraz kuglarze pokłonili się i wycofali, zaś hrabia, powstawszy, życzył dobrej nocy swoim gościom i opuścił komnatę wraz z małżonką.

Pozegnali się także Konrad i Gaddo. Pokłonili się obecnym i oświadczyli, iż pilne sprawy wzywają ich do Pizy, toteż nazajutrz wyruszą wczesnym rankiem.

★ ★ ★

Kiedy zostali sami w przeznaczonej dla nich komnacie, Konrad opowiedział konfratrowi o tym, co mu przyszło do głowy. Gdy mówił, na twarzy Gadda malowały się wszystkie odcienie zdumienia, pod koniec jednak parsknął śmiechem, aż tamten zdębiał.

„Ki diabeł każe ci teraz się śmiać? — zawołał ostro Konrad. — Czyżbyś był histerykiem?”

„Nie, nie, wybac mi, — rzekł Gaddo, uspokajając się. — To dlatego, że to wszystko zdaje mi się takie... takie... no, nawet nie wiem jak to wyrazić. A jednak może tak być! Tak, tak, to może być trop! Być może to Turek zabił Beatrice!”

„A kiedy miał to zrobić, skoro do wczoraj był zakuty w kajdany i jedną nogą na tamtym świecie! Zaś przesłanie na strzale miało być łamigłówką dla głupich dzieci?”

„Bez wątpienia, jest to istotnie ciekawa zbieżność!”

„I tego się boję: że to nic innego, jak tylko głupia, banalna zbieżność, której wszakże nie mogę zaniedbać”.

„Czy mamy śledzić Turka?”.

„A wiesz, jak przejść niezauważenie!”

„A więc?”

„Nie wiem! Nie wiem! Nie wiem!”, zasyczał przez zęby Konrad, drapiąc się z wściekłością w kark. I dodał ze zmęczeniem: „Posłuchaj, kładźmy się do łóżka. Okrutniem znużony, wykonałem dzisiaj, między innymi, pewne ćwiczenie fizyczne. Noc przynosi radę, tak przynajmniej mówią. Pomyślimy o tym jutro”.

Rozebrali się i wsunęli do łóża.

Gaddo, stojąc jeszcze jedną nogą na podłodze, zapytał: „A jeśli jutro już nie zastaniemy Turka?”.

„A niech go diabli porwą!” krzyknął Konrad, gasząc dłonią świecę.

★ ★ ★

Wracali w milczeniu na dwu wierzchowcach, które dał im hrabia. Dopiero przy bramach Pizy Konrad przerwał milczenie: „Wypuść czarownika”.

„Jakże to! — wykrzyknął Gaddo — Już jesteś pewny, że to nie on jest winien?”

„Nie — odrzekł Konrad, wpatrzony wciąż w drogę. — Jednak wedle dekretów inkwizycji nikt nie może być więziony, jeśli mu się nie wykazało winy. Wydobądź go stamtąd, zanim nie przypomni sobie o tym i nie zażąda odszkodowania”.

„A jeśli ucieknie?”

„Postarajcie się znowu go zaarrestować”.

„A jeśli już go nie odnajdziemy?”

„Posłuchaj, — wybuchnął zniecierpliwiony Konrad, — jeżeli zdołam wykazać, że to był on, będą go ścigać wszystkie zbiry Viscontiego i odnajdą go nawet w mysiej dziurze! Bądź spokojny, będą mieć pizańczycy coś do przypieczenia!”

„Dobrze, dobrze! Nie ma się czym irytować! Już pędzę!”.

Rozdzielili się więc i Konrad ruszył w stronę kurii.

Przybywszy do swej komnaty, nalał wody do szklanki, usiadł i usiłował uporządkować myśli.

Ucisk, jaki poczuł siedząc, uświadomił mu, że na stołku pozostała strzała sprzed dwu wieczorów. Wziął ją do rąk, obserwując z roztargnieniem.

Potem jednak coś przyszło mu do głowy. Podniósł się i podszedł do ściany, w której w pierwszą, bezsenną noc utkwiał grot. Szukał w drewnie wgłębienia i znalazł je. Wsunął strzałę w otwór, następnie uważnie obserwował kąt, pod jakim się wbiła. Podszedł do okna, w które wstawiono już szybki, i otworzył je. Wrócił do strzały i, wyciągając szyję, przyłożył do niej twarz, śledząc linie jej lotu, by dostrzec, z jakiego miejsca została wypuszczona. Zdziwił się niepomniernie spostrzegłszy, iż pióra bełtu wskazywały wyraźnie na gołębnik kurii.

Rzucił się więc do okna, by przyjrzeć się dokładniej, ale nie było wątpliwości: pałac załamywał się pod kątem a na końcowym skrzydle, w górze, znajdował się gołębnik.

Wybiegł z komnaty; potem stanął, zawrócił, wyjął strzałę ze ściany i położył ją na krześle; następnie pospiesznie wyszedł, zaczepił napotkanego sługę, pytając jak dojść do gołębnika.

Otrzymaawszy odpowiedź, odwrócił się od zdziwionego mężczyzny, zszedł ze schodów, zakręcił, tym razem wszedł po stopniach w górę, znowu zszedł i ponownie wspiał się aż wreszcie dotarł na miejsce.

Podszedł do drzwi, przekręcił kluczyk i znalazł się pośród niespodziewanego furkotu skrzydeł, smrodu ptasich odchodów i rozsianych wszędzie piór.

Zakrywając twarz, doszedł do okna i popatrzył w kierunku komnaty, z której przyszedł. Ujrzał swoje okno, otwarte tak, jak je zostawił, łoże oraz, w głębi, wyłożoną drewnem ścianę.

Obrócił się, rozglądając się wokoło. Gołębie uspokoiły się i obsiadły grzędę bacznie go

obserwując. Wtedy przyjrzał się oknu gołębnika. Było niziutkie, raczej otwór niż okno, pozwalający ptactwu wylatywać i powracać.

Zaczął przyglądać się pomieszczeniu, chociaż sam nie wiedział, czego szuka. Uważnie obejrzał ściany, klatki, podłogę.

Nagle coś zwróciło jego uwagę. Znajdowało się na ziemi, pośrodku gołębnika.

Schylił się, odrzucił łajno i przyjrzał się uważniej: była to czerwona plama ze skrzepłego wosku. Nie można by jej było odróżnić od nieczystości, gdyby nie spojrzeć z bliska.

Podniósł się z posepną miną, powoli zamknął za sobą drzwi i wrócił tą samą drogą.

W komnacie dokończył pić wodę ze szklanki, potem wyciągnął się na łożu, usiłując znaleźć jakiś układ mozaiki z tym nowym elementem.

Wkrótce jednak zdał sobie sprawę, że szkoda fatygi. Do dwu rozbieżnych tropów, katarów i Turka, doszedł teraz trzeci, żeby wszystko skomplikować.

Spróbował zamknąć oczy, by wyciszyć myśli.

Koniecznie musiał oderwać się, odpocząć.

Postanowił więc, że jeśli nie można zrobić jednej rzeczy, należy zrobić inną. W gruncie rzeczy nigdy nie widział Pizy. Krótki spacer po mieście to było to, czego pragnął, by uwolnić umysł, przynajmniej na trochę, od dręczących myśli.

Pospiesznie skreślił dla Gadda dwa słowa na kartce, którą zostawił na widocznym miejscu stołu, i wyszedł

IX.

Ranek był naprawdę piękny, ciepły i słoneczny. W żywym blasku tej wspaniałej długiej jesieni kolory miasta i ludzi zdawały się jakieś inne, jaskrawsze.

Konrad poszedł w stronę katedry, by dokładniej obejrzeć tę dziwną wieżę, nigdy niedokończoną, której sława obiegała już cały świat. Stał pod nią i uniósł wzrok: o, tak, istotnie była dziwna!

Pewien prałat w kurii, w Rzymie, opowiedział mu niegdyś jej historie. Zaledwie zaczęto ją wznosić, gdy nagle się przechyliła, więc przegnano precz architekta. Jednak zdaje się, że nowi budowniczowie chcieli, by została taka, jaką była.

A dlaczego by nie? — myślał Konrad, obserwując niezwykłą budowlę od dołu do góry — dlaczego nie?

Pomysł wzniesienia jej, z wyprostowaniem nieco nachylenia każdego nowego sztyku kolumn mógł się okazać genialny. Co powiedzą przyszłe pokolenia o tej wieży? — zastanawiał się. — Czy, że nie potrafili zbudować jej prosto, czy też, że byli tak zuchwali, że zbudowali ją krzywo?

Powierzywszy wieżę sądowi przyszłości, zwrócił uwagę na katedrę, kierując się ku głównemu wejściu.

Ale nie wszedł do środka. Nie miał za dużo czasu. Uniósł oczy, by popatrzeć na budowlę i uznał, że jest wspaniała. Och, nie po raz pierwszy, oczywiście, widział katedrę, widywał nawet bardziej okazałe i oryginalne. Za każdym jednak razem doznawał tego samego odczucia, mieszaniny skupienia i zdumienia.

Tak, chrześcijańska katedra była istotnie jak modlitwa, nieustanna modlitwa ludu, hymn w kamieniu do Boga.

Wszystko tu mówiło o boskości i jej stosunku do ludzi: drzewo ustawione na krzyż i drzwi umieszczone zgodnie z biegiem słońca, tym symbolem śmierci i zmartwychwstania; idealne linie tworzące kwadraty, symbol człowieka, albo trójkąty, znak Trójcy i koła, znak doskonałości i powracania; biblijne liczby, zawsze się powtarzające, cztery, trzy, siedem, dwanaście; a także delikatne kamienne koronki, prawdziwe cuda cierpliwości; faliste linie posągów, pomalowanych, żeby nie zmieniły wyrazu pod wpływem oświetlenia, pod żadnym kątem; ogromne freski, z kompozycjami wyrażającymi już to siłę, już to słodycz, albo

cierpienie, spokój, groźbę, łagodność.

A jeszcze gra światła w środku, otwory tak ustawione, by słońce padało na określony ołtarz o określonej porze, lub też kiedy indziej na inne malowidło. A gwałtowne falowanie naw — pośród których oko gubiło się, nigdy wszak nie czując znużenia — z wysmukłymi kolumnami, tak delikatnymi, że można by prawie wątpić w ich wytrzymałość, gdy tymczasem stawiały czoła wiekom.

Zaś w głębi zasada i zwieńczenie wszystkiego — Chrystus Pantokrator, Władca wszechświata, najwyższy Król, ogromny, łagodny, uroczysty.

Ta olbrzymia postać nie wzbudzała jednak lęku wszechmocą, przeciwnie: obdarzała ufnością i nadzieją znikomego człowieka, który, uwolniony od ciężaru codziennego krzyża przychodził do katedry i spoglądał w górę.

Konrad nie wstąpił do kościoła. Widział go już, choć stał na zewnątrz. Na chwilę zamknął oczy i w myślach przeniósł się w poblizsze tabernakulum, które, o czym wiedział, znajdowało się wysoko nad ołtarzem, daleko od heretyckich i profanatorskich dłoni.

Spostrzegł w nim małe drzwiczki i adorował tę cierpliwą i milczącą Obecność, która każdego dnia czekała na odwiedziny ludzi.

Trwał tam kilka chwil, potem otworzył oczy, zwracając je w drugą stronę. Następnie ruszył w stronę miasta.

Zagłębił się w ulice, których nazw nie znał, lecz mógł je łatwo odgadnąć po rodzaju sklepików, jakie je obsiadły. Ulica Szewców, Grzebienników, Złotników, Płatnerzy, Ostrogarzy i tysiący innych zawodów, od najbardziej codziennych do najdziwniejszych.

Taki rozkład był zresztą czymś normalnym. Statuty cechów rzemieślniczych nakazywały swoim członkom mieć sklepy na jednej, jeśli to możliwe, ulicy. Pozwalało to Zaprzysiężonym Mistrzom na dokładniejszą kontrolę i sprawiało, że ceny nie przekraczały maksymalnej granicy. Jeśliby jakiś rzemieślnik podniósł o jednego solda cenę za swój towar, klient poszedłby do sąsiedniego sklepu. W ten sposób jedyna możliwa konkurencja mogła się dokonywać w zakresie jakości towarów.

W każdym przypadku władze czuwały nad równowagą ceny, tak by była zarazem opłacalna dla sprzedającego i niezbyt wygórowana dla kupującego.

Rozmyślał nad tym Konrad, spoglądając na stoły wypełnione towarami i uznał, że i ta handlowa mądrość była dziełem chrześcijaństwa. A także Kościoła, który pracę z przekleństwa uczynił sposobem wyzwolenia.

I pomyślał o tysiącletnim dziele teologów i moralistów, z prostej ewangelii wyłuskujących cierpliwie wszystkie zasady tej cywilizacji, która zwała się chrześcijańską we wszystkich możliwych dziedzinach.

Gospodarka, z wyzysku, przekształciła się w etykę słusznej ceny; wojna, ze ślepej masakry, jaką była w czasach pogańskich, usiłowała przemienić się w rycerskie współzawodnictwo; prawo stało się jednakie dla wszystkich, różnicując się względem

każdego, a to samo przestępstwo było karane piętnastokrotnie bardziej, jeśli popełnił je szlachcic.

Nowy duch przyniósł ze sobą mnogość praktycznych wynalazków, które w istotny sposób ułatwiały życie ludziom, a zwłaszcza kobietom, uwalniając je od odwiecznych i upokarzających trudów. Magiczne słowo nieznanego cieśli wymazało tysiąclecia bezruchu, przerażających i nieużytecznych budowli wznoszonych na krwi pokoleń niewolników, w świecie uwięzionym w spirali reinkarnacji lub nicości. W świecie, w którym każdy nowonarodzony musiał trzykrotnie dziękować gromadzie obojętnych bóstw: po pierwsze, że rodzice nie wydali go na śmierć, po drugie, że urodził się wolny, po trzecie, że nie urodził się niewiastą.

Wszystko to sprawiło chrześcijaństwo, nauczając zwłaszcza nowego sposobu pojmowania międzyludzkich stosunków: uprzejmości, wywodzącej się w prostej linii z miłosierdzia.

Czy kiedykolwiek i gdziekolwiek niewiasta mogła w takim stopniu być panią swego życia? Na pewno nie w islamie, gdzie co najwyżej mogła marzyć o dokończeniu życia w bogatym haremie. Kto kiedy widział, by stojący najniżej na drabinie społecznej wezwał przed sąd swego pana, a nawet króla, i uzyskał zadowolający wyrok? Gdzie, jeśli nie w chrześcijaństwie, dzieci mogą się cieszyć tymi samymi prawami co dorośli, między innymi prawem do życia? Gdzie indziej, w całej historii, widział kto szpitale, przytułki, jadłodajnie i wszelkie środki zaradcze, jakie wymyśliło chrześcijaństwo, by wspomóc odrzuconych?

Był jednak ktoś, kto pragnął wszystko to diabolicznie zniszczyć, myślał Konrad, i uwaga jego zwróciła się znowu w stronę fatalnego wypadku, który miał za zadanie wyjaśnić.

Z takich myśli gwałtownie wyrwało go szarpnięcie za habit.

Obrócił się, spojrzął w dół i spostrzegł, że człowiek, który w ten sposób zwracał na siebie uwagę, był nikim innym, jak krzyżowcem żebrakiem, którego spotkał w dniu swego przyjazdu do Pizy.

„To ty! Cóż ty jeszcze tu robisz? Myślałem, że jesteś już w Altopascio!”.

Starzec dał mu znak, by przystanął i Konrad usiadł obok niego.

„Zostałem, panie, bo miałem neodparte wrażenie, iż mógłbyś mnie potrzebować”, rzekł tamten z przebiegłą miną.

„A potrzebuję cię?”.

„Gdybyś cierpliwie poczekał kilka chwil, przekonałbyś się, że mogę ci być użyteczny”.

Konrad spojrzął uważnie na mężczyznę i skinął potakująco głową. Stał na stronie i przyglądał się żebrakowi, który podsuwał swoją miseczkę temu lub tamtemu przechodniowi.

W pewnym momencie stary dał mu znak i Konrad skierował wzrok w stronę tego, co tamten wskazywał mu głową.

Dwaj mężczyźni, idący zadaszonym korytarzem zbliżyli się do siebie i, nie patrząc na siebie, zanim się minęli, po kryjomu wymienili się czymś bardzo małym, co mogli się

zmieścić w zagłębieniu dłoni.

Konrad zauważył, który z nich otrzymał przedmiot i zaczął iść za nim. Jednak rzut oka na własny strój rychło zakłócił jego plany: mnich nie mógł krążyć po mieście o każdej porze, gdyż, zgodnie z Regułą, w pewnych porach musiał być w klasztorze, odprawiając nabożeństwa. A właśnie nadeszła akurat taka pora. Zdarzały się, oczywiście, wyjątki, lecz w każdym razie rzucało się to w oczy.

Stary krzyżowiec wszakże, w widoczny sposób przewidział i to także. Szybko zdjął z siebie dziurawą pelerynę i podał ją Konradowi, który zrećnie zarzucił ją sobie na ramiona i rozpoczął tropienie tajemniczej postaci.

Mężczyzna raz przemierzał opustoszałe wąskie uliczki, to znowu tłumne ulice, tak że Konrad kilkakrotnie omal nie stracił go z oczu. Ponadto tamten co chwili odwracał się jakby sprawdzając, czy nikt za nim nie idzie i Konrad udawał, że zajmuje go jakiś towar na straganie albo kupował od woziwody szklanek wody, której nie pił. W pewnej chwili musiał też zatrzymać się, by było widać, że oddaje mocz przy murze, gdyż ulica była pusta a tamten wciąż się oglądał.

Wreszcie obserwowany nieznajomy wśliznął się do jakiejś bramy i zniknął.

Konrad rozejrzał się dookoła. Powrócili niedaleko punktu wyjścia, co znaczyło, że mężczyzna zatoczył wielkie i zagmatwane koło, żeby zmylić ewentualne śledzenie.

Mnich pomyślał, by otworzyć bramę i wejść, lecz nie wydało mu się to rozsądnym wyjściem. W końcu, cóż takiego zobaczył? Mężczyznę o podejrzanym wyglądzie. Ale to nie wystarczy, by zostać o cokolwiek oskarżonym. A poza tym, jeżeli za tą bramą kryje się istotnie coś podejrzanego, jaka była szansa wyjścia stamtąd żywym? On był sam i bez broni. To prawda, że znał sztukę walki, lecz nie na wiele to by się zdało wobec zdradzieckiego ciosu sztyletem.

W każdym razie, teraz znał przynajmniej miejsce.

Zawrócił więc i poszedł tam, gdzie pozostawił żebraka. Oddał mu zaraz pelerynę i usiadł przy nim.

„Musimy sobie pogawędzić”, rzekł.

„Wiedziałem, że wcześniej czy później poprosisz mnie o to, panie”, poskarżył się lękając się tego, co go czeka po tej «pogawędce» z inkwizytorem.

„Wiesz, kim jestem, prawda?”.

„Tak, panie. Domyśliłem się zaraz po tym, jak rozmawialiśmy za pierwszym razem. Po twojej mowie poznałem, że jesteś mnichem. A poza tym twoja twarz była nowa w Pizie. Nie umknęło mi także twoje zainteresowanie zbrodnią, o której ci opowiadałem. Tylko że nie sądziłem, by Ojciec Święty przysłał człowieka tak młodego”.

„Kim byli ci dwaj, których mi wskazałeś?”.

„A więc nic nie odkryłeś?”.

„A co miałem odkryć?”.

„Panie, ci dwaj to katarzy. Katarzy, pojmujesz?”

„Skąd ty o tym wiesz?”

„Często spotykają się w miejscu, które ci wskazałem i udają, że się nie znają. Wymieniają się przesłaniami albo znakami i rozchodzą się”.

„Dobrze, lecz skąd wiesz, że to właśnie katarzy?”

„Kiedy ich pierwszy raz zauważyłem, dawali sobie znak dłonią, na pewno żeby się rozpoznać”.

„Jaki znak?”

Starzec schował dłoń za plecy, by ukryć ją przed wzrokiem przechodniów, potem złączył czubki palca wskazującego i kciuka, opuszczając w dół mały palec, a dwa pozostałe trzymając rozstawione.

„Skąd wiesz, że jest to znak katarów”, zapytał, przyjrząwszy mu się, Konrad.

Niepokój i drżenie przebiegły oblicze starca, lecz patrzył rozmówcy prosto w oczy.

„Panie, przysięgnij mi na Najświętszą Panienkę i na świętych, że jeśli ci powiem, nie zdradzisz mnie!”

Konrad popatrzył na niego pytająco i rzekł:

„Zgoda, przysięgam”.

Stary krzyżowiec spuścił oczy, które napełniły się łzami i zaczął mówić.

„Wiele lat temu ja też byłem katarzem”, zaskomlił.

„Mów dalej”, zachęcał po cichu Konrad.

Żebrak zaczął swą opowieść, wpatrując się w dno swej miseczki. Może ściągnął na siebie potępienie, odsłaniając wszystko, lecz czuł, że teraz jest mu wszystko jedno. Pragnął jedynie raz na zawsze zrzucić ten ciężar z serca, jakby wyznając go, mógł mieć przynajmniej złudzenie, iż spłacił dług wobec Boga i ludzi. Ale ten mnich budził w nim zaufanie. A poza tym, czyż nie wyświadczył mu przed chwilą przysługi?

„To się stało, kiedy wróciłem z Ziemi Świętej. Byłem zmęczony. I zawiedziony. Widziałem najróżniejsze nikczemności popełniane przez osoby, uważające się za wierzące. Och, byli ludzie świeci, tak, byli! Okrutne wszakże prawo natury chce, by źli byli liczniejsi aniżeli dobrzy. Słowem, kiedy wróciłem, czułem niesmak.

„Nie miałem rodziny, ani żony. Wyruszyłem do Palestyny jako chłopie. Pociągał mnie tylko ideał. I tak, po wielu przygodach, którymi nie będę cię zanudzał, znalazłem się we Francji, twojej ziemi ojczystej, i zamieszkałem w Tuluzie. To tam poznałem doskonałych.

„To było niesłychane, — ciągnął wpatrzony przed siebie i potrząsając głową. — Wywierali niewytłumaczalny, magnetyczny urok. Niezwykle surowych obyczajów, nigdy nie tykali mięsa i większą część roku pościli. Po zepsuciu, jakie oglądałem wśród ludzi Kościoła, tamci zdawali się ucieleśniać prawdziwą naukę ewangelii.

„I tak poprosiłem o chrzest i zostałem wiernym. Raz na miesiąc zbieraliśmy się w domu jakiegoś doskonałego, gdzie przychodzili wędrowni święci: biskup, starszy syn, młodszy syn,

diakon.

„Musieliśmy oddawać im sprawiedliwość, to znaczy czcić ich, padając przed nimi na twarz i mówiąc: *Benedicite nos, boni christiani!* Potem oni doskonalili nas w nowej nauce. Mówili nam, że Bóg jest dobry, że nie mógł stworzyć świata, który jest zły. Że stworzył go Szatan oraz, że wszystko, co służy zachowaniu świata, jego wzrostowi i ulepszaniu jest dziełem diabelskim. Ale nie mówiono o tym wszystkim jednocześnie, nie, nie. Dawali nam «prawdę» stopniowo, by nas uwolnić po trochu”.

„Czy nigdy nie miałeś żadnych wątpliwości?” przerwał mu Konrad.

„Och, tak. Często. Kiedy na przykład twierdzili, że rodzenie dzieci jest dziełem szatańskim, gdyż uwiecznia się grzech. «*Matrimonium est meretricium*», mówili. Biada niewieście, która zmarła będąc w ciąży, «*quod si decederet praegnans non posset salvari!*» Już lepsze przypadkowe związki, lepsza sodomia! A zresztą mówili nam także, że doskonały jest ponad grzechem, że nawet gdyby zrobił cokolwiek, to nie grzech. Mój Boże! Doszliśmy do tego, że wszystko było dozwolone: kradzieże, kazirodztwa, homoseksualizm...”.

Na wspomnienie tego wszystkiego, starzec zakrył twarz dłonią. Potem otarł łzy i ciągnął dalej: „Podkreślali, że doskonały jest całkowicie wolny, tak jak wolny jest Bóg na niebie. Doskonały nie ma zobowiązań wobec nikogo i nikomu nie może podlegać. Nikt nie ma do niego żadnego prawa, nawet sprawiedliwość, gdyż jedyna sprawiedliwość, to przynależność do prawdziwej wiary.

„To dawało nam poczucie nigdy nie znanej wolności i mocy. Możliwość robienia wszystkiego, czucia się ponad grzechem była... była zachwycająca! Swoboda zmysłów, oswobodzenie od władzy, oswobodzenie od prawa!

„Wszystkie nasze dobra składaliśmy u stóp «świętych», oni zaś zatrzymywali większą ich część dla siebie, rozdzieliwszy między pozostałych tylko tyle, ile było konieczne. Ale mogliśmy mieć wszystkie niewiasty, jakie chcieliśmy i często nasze zebrania kończyły się prawdziwymi orgiami, podczas których jęki rozkoszy mieszały się z wysławianiem Boga”.

Na te słowa Konradem wstrząsnął odruch obrzydzenia, ale zapanował nad sobą i dalej słuchał uważnie opowiadania starego.

„Słusznie, panie, że to wszystko napawa cię wstrętem. Ja również stopniowo zacząłem czuć obrzydzenie”. Pomilczał chwilę. „Popełniłem błąd — podjął, wzdychając, — zakochując się w pewnej delikatnej dziewczeczce.

„Była śliczna jak wiosna i czysta jak anioł. Zaczęliśmy się spotykać; chodziliśmy po łąkach trzymając się za ręce, śmiejąc się bez słów. Spostrzegłem, że chciałbym ją mieć tylko dla siebie, poślubić i mieć z nią dzieci.

„Pewnego dnia podsłuchali, gdy snuliśmy nasze marzenia i donieśli na nas do biskupa. Ja zostałem uroczyście potępiony podczas zgromadzenia, ją zaś, by «zadośćuczyniła», zmuszono do cielesnych igraszek z wszystkimi obecnymi doskonałymi. Na moich oczach. Nie zbuntowałem się, z tchórzostwa. Od dawna wiedziałem, jak kończą ci, którzy wyrzekną

się kataryzmu. Bałem się, i wszystko zniosłem. Toteż zrobiłem karierę i stałem się, ja również, tak samo doskonały. Wtedy dali mi chustkę.

„Każdy doskonały nosi zawsze chustkę. Wiesz dlaczego?”

„Jak wiesz, *consolamentum* można otrzymać tylko raz w życiu. Po czym pytają tego, kto je otrzymał: Czy chcesz być zaliczony w poczet wyznawców, czy też męczenników? Jeśli wybierze to pierwsze, musi popełnić samobójstwo. Jeśli zaś wybierze drugie, zostaje uduszony chustką. Bóg wszechmogący okazał litość dla mego szaleństwa i nigdy nie przytrafiła mi się okazja zgładzenia kogoś. Wiedziałem jednak, że inni to robili i cały czas milczałem ze strachu”.

Starzec już nie płakał. Patrzył przed siebie pustym wzrokiem i mówił, bez przerwy mówił.

„Dłużej już nie mogłem. Z czasem i lęk słabnie, i w końcu nie wie się już, czy bardziej ciąży lęk przed tym, czego się boimy, czy nieustanne poczucie strachu. Niewymownie tęskniłem za swą dawną wiarą, której prawdziwą dobroć dopiero teraz umiałem docenić. Zastanawiałem się, czym byłoby moje życie, gdybym nie spotkał tej okropności. Mógłbym się ożenić, mieć rodzinę, uczciwą pracę i pędzić dni w pokoju z Bogiem i z ludźmi. Wciąż byłem katarzem, lecz w duszy nie byłem nim od dawna”.

Przerwał, czując ucisk w gardle. Przełknął z trudem, i podjął:

„Lecz pewnej nocy... pewnej nocy... och, Boże! Pamiętam, jakby to było teraz, i śni mi się to prawie zawsze, gdy uda mi się zasnąć! Obudzili mnie znienacka. Powiedzieli, że kilku naszych zabiło inkwizytorów, brata Stefana z San Tiberio i brata Wilhelma Arnaldiego, oraz że hrabia Rajmund rozkazał wymordować wszystkich katarów z Tuluzy.

„Uciekliśmy tak, jak staliśmy, pośród krzyków i pożarów. Kilku najemników hrabiego widziało, jak uciekaliśmy i ruszyło za nami. Strzała z kuszy utkwiała mi w nodze, lecz gnałem naprzód. Innych schwyтали. Udało mi się wyrwać strzałę, ale zrobiłem to niezręcznie. Schroniłem się na wsi, u przyjaciół; przez wiele dni majaczyłem w malignie.

„Kiedy oprzytomniałem, już nie miałem nogi, musieli mi ją amputować, żeby zatrzymać gangrenę. Ukrywałem się przez pewien czas, a potem dotarłem do portu i wsiadłem na statek pizański. Ubrany byłem w mój stary strój krzyżowca, więc pozostałem niezauważony.

„A teraz, panie, żyję tutaj oplakując mą przeszłość i utrzymując się dzięki miłosierdziu ludzi, których niegdyś zwalczałem”.

Umilkł i zwiesił głowę. Konrad długo patrzył na niego, odczuwając dlań głęboką litość. Podniósł więc rękę i rzekł: „*Ego te absolvo a peccatis tuis, in nomine Patris, et Filii et Spiritus Sancti*. Pokój z tobą, bracie. Bóg ci przebaczył”.

Żebrak wybuchnął niepohamowanym płaczem, wstrząsany zduszonym szlochem mocno przywarł do Konrada, który przycisnął go do piersi, głaszcząc po sklejonych z brudu włosach.

Trwali tak przez pewien czas, nic nie mówiąc. Potem mnich wysunął się delikatnie z uścisku i odszedł, pozostawiając starego krzyżowca wpatzonego weń z wyrazem

niezmiernego znużenia w oczach.

X.

„Podobała ci się Piza?”, zapytał Gaddo Konrada, który napełnił szklankę wodą.

„Piękne miasto”.

„Widziałeś wieże dzwonnicy? Widziałeś ją? Pomyśl, to jedna z niewielu na świecie okrągłych dzwonnicy! Wywiera wrażenie, prawda? Powiedz, co o tym sądzisz?”.

„Zdaje mi się nieco krzywa”.

„Zdaje ci się nieco krzywa? I to wszystko, co masz do powiedzenia? Przecież na tym polega jej genialność, nie pojmujesz? Czy wiesz, że są ludzie, którzy przemierzają wiele mil drogi tylko po to, by ją ujrzeć?”.

Konrad wypił wodę i napełnił sobie drugą szklankę, nie przejmując się entuzjazmem przyjaciela.

„Czy ciębie nic nigdy nie porusza? — dopytywał Gaddo. — I dlaczego wciąż pijesz tę wodę?”.

„A czemuż to mam być poruszony? — zapytał ze spokojem Konrad. — Z powodu nieudanej budowli, która stanie się budą jarmarczną dla próżniaków?... Dlatego chce mi się pić!”.

Gaddo roześmiał się i sobie również nalał wody do szklanki.

„Przez ciębie i mnie zachciało się pić”.

„Kiedy obiad?”, zapytał Konrad.

Gaddo odstawił szklankę i popatrzył na przyjaciela z miną zdziwioną, zaciekawioną i sarkastyczną zarazem.

„Chcesz, bym naprawdę uwierzył, że tego ranka wyszedłeś tylko po to, by zwiedzać Pizę? A teraz z całym spokojem oświadczasz mi, że chce ci się jeść i pić?”

Konrad spokojnie odwrócił się w jego stronę. „A jak mam ci o tym powiedzieć, z całym niepokojem? I owszem, jestem głodny”.

Potem zaczął się śmiać i pacnął Gadda serdecznie, ale niezbyt lekko, w łysinę.

„Odkryłem, gdzie zbierają się katarzy”, rzekł znięcka, tonem takim, jakby oświadczał, że idzie do latryny.

Gaddo, słysząc to omal nie zakrztusił się wodą, którą przełykał.

„Na brodę Proroka! Ale... ale...”.

„Ale, nic! I bacz, iż muzułmańskie przekleństwa niezbyt przystoją chrześcijańskiemu mnichowi. Tak, wiem, gdzie to jest. Pójdziemy tam dziś w nocy”.

„Co... co takiego? Pójdziemy, zgoda, lecz wezmę setkę ludzi od konsulów!”

„Nie”.

„Och, posłuchaj! Iść nocą na cmentarz to jedna sprawa, lecz to, co mi proponujesz, to po prostu męczeństwo, a ja uważam, że mam inne powołanie!”

„Nie, — spokojnie przerwał mu Konrad. — Chcę tylko zobaczyć kim są i co robią, nie przeszkadzając im. Do tego jesteś mi potrzebny ty, inaczej poszedłbym sam”.

Zirytowany Gaddo zaczął krążyć wielkimi krokami wokół stołu, pod nieruchomym spojrzeniem przyjaciela. Potem zatrzymał się nagle, zwrócił ku niemu twarz i rzekł: „Zgoda”.

„Ach!” — ucieszył się Konrad. — Wiedziałem, że zrozumiesz!”

Tamten zaś, sztywniejac, dokończył: „Nie, zgoda na obiad. O reszcie muszę jeszcze pomyśleć”.

„Dobrze, — roześmiał się Konrad, — posiłek przynosi radę. Powiem ci też, co uczynię zaraz po nim: ponieważ przypuszczam, że niewiele będziemy spać tej nocy, utnę sobie małą drzemkę.

„Ach, jeszcze jedno. Zwykle nie sypiam po południu, bo potem boli mnie głowa. Wszak jeśli i tym razem wstanę z głową ściśniętą jakby obręczą, znowu się przejdę po Pizie, zanim odprawię mszę. Spostrzegłem, że moje spacerowanie przynosi korzyść. Nie, nie mów nic. Postaram się unikać kłopotów. A wiesz, co zrobię? Odwiedzę naszego patrona, świętego Sykstusa. Słyszałem, że to jeden z tych patronów, którzy na serio pełnią swe obowiązki.

„W tym czasie ty pokaż się arcybiskupowi. Lepiej, byś go powiadomił o naszych nocnych zamiarach. Powiedz mu, by był spokojny, że nic złego cię nie spotka. Katarzy nie mają ochoty nas zabić, by nie ściągnąć sobie na kark jakiejś krucjaty. Nie, jeśli nas odkryją, co najwyżej umkną i zmienią miejsce spotkań. Spokojnie, Gaddo! Zdaje się, że w tym mieście wszystkim zależy, byśmy się dobrze mieli, przynajmniej chwilowo”.

Gaddo uniósł ręce do góry. „Zupełnie cię nie rozumiem! — zawołał. Poprzednio omal nie obdarłeś mnie ze skóry za to, że powiedziałem arcybiskupowi, teraz zaś chcesz, bym go o wszystkim powiadomił!”.

„Poprzednio, to było poprzednio”.

„Tak. A gdybym się nie urodził mężczyzną, byłbym niewiastą!”.

„...albo osłem. Posłuchaj uważnie: do tej pory wiadomo, że wszyscy wiedzą wszystko, jednak wolę zachować przynajmniej pozory, że to ja mówię temu, komu chcę, by wiedział. A jeśli nie chwytasz różnicy... chwyć chociaż to!” I śmiejąc się, cisnął ciężką poduchą w Gadda, który zaskoczony nie zdążył się uchylić.

★ ★ ★

Ogień trzaskał żywo, chociaż krzyżowiec mający za zadanie podsycać go, chwiał się, wsparty na tarczy. Reszta niewielkiego oddziału spała, jeden wsparty na siodle, inny okryty płaszczem, rozproszeni wokół ogniska. Konie stały uwiązane z jednej strony, zaś tabor ustawiono wokół niewielkiego obozowiska, w celu obrony.

Konrad zdusił ziewnięcie, poprawił hełm i oparł włócznię o drugie ramię. Nocą pustynia, pomyślał, jest naprawdę lodowata. Nie wiadomo, jak sobie radzili Beduini z tymi skokami temperatury, spiekota za dnia i ziąb nocą; wielu krzyżowców umierało z tego powodu na zapalenie płuc, zanim jeszcze wzięło broń do ręki.

Ta zmiana warty nie miała końca. Na chwilę zatrzymał się przy ognisku, by rozgrzać zgrabiałe dłonie, potem rozpoczął kolejny obchód obozowiska.

Nagle zatrzymał się. Szelest. Cisza. Znow szelest. Znow cisza.

Konrad stał się czujny, ale szedł dalej. Zbyt często nocą nie można było uskładać nawet kilku godzin snu z powodu fałszywych alarmów. Po zachodzie słońca pustynię wypełniały ciche odgłosy: zwierzątka, pękającej z zimna skały, wreszcie wyobrażenia niewyspanych i byle czym wystraszonych wartowników.

Konrad nerwowo uniósł rękę do gardła.

I ten gest go ocalił.

W tym samym momencie zaświstał w ciemnościach sznur i owinał mu się wokół szyi; ale napotkał jego dłoń.

„Do broni! Do broni! Do broni!”, zaczął krzyczeć co sił w piersi, starając się uwolnić od sznura.

I w jednej chwili zaczął się koniec świata.

Z diabelskim i nieludzkim wyciem, przesadzając krąg i wyciągając sztylety i bułaty, czarnolicy mężczyźni w białych turbanach rzucili się na krzyżowców.

Jednak krzyki Konrada zapobiegły zaskoczeniu. Chrześcijanie zerwali się na nogi, gotowi do walki.

Zamieszanie przerodziło się nagle w okrutną walkę na śmierć i życie, w której używali wszystkiego: broni, noży kuchennych, pogrzebaczy, gołych pięści, zębów.

Coś zważyło się prosto na plecy Konrada, który bronił się jak mógł.

W pewnej chwili w zwarciu, twarz napastnika znalazła się o piędź od jego twarzy. Była przerażająca. Wykrzywiona nienawiścią i okrucieństwem, a jej rysy przypominały bestię z powodu śliny ciekącej z zaciśniętych zębów oraz źrenic, rozszerzonych pod wpływem narkotyków i szaleństwa. To byli asasyni! Straszliwi zjadacze haszyszu, których krzyżowcy lękali się bardziej niż czegokolwiek!

Tych fanatyków nasycano przeklętą substancją, a następnie rzucono do błyskawicznych samobójczych ataków, na ogół nocą. Narkotyki czyniły ich jakby szalonymi i nieczułym na zmęczenie i ból. Stanowili prawdziwą plagę dla wszystkich chrześcijańskich osiedli w Ziemi Świętej.

Potężnym kopniakiem w dół brzucha Konrad zdołał odepchnąć napastnika; ten jednak, jakby nic się nie stało, znowu siedział mu na karku. Turlali się jeszcze ze sobą w pyłe ziemi szepieni. Konrad usiłował odsunąć napastnikowi głowę do tyłu, ciągnąc ją za włosy, lecz tamten zdawał się nic nie czuć. Krzyżowiec ciągnął z taką siłą, że został mu w rękę kawałek owłosionej skóry, z kroplami krwi, ale mimo to ucisk zabójcy stawał się coraz silniejszy.

Konrad z wysiłkiem zdołał sięgnąć stopą jego piersi i odrzucić go od siebie. Tamten potoczył się, ale zaraz powstał w jakimś małym tańcu. W tejże chwili strzała utkwiała mu w piersi. Ktoś przyszedł z pomocą.

Mężczyzna zatrzymał się, spojrzął na grot tkwiący w szacie, potem wściekłym gestem wyrwał go, nie bacząc na strumień krwi, wytryskujący z rany.

Dosięła go druga strzała, lecz asasyn zabójca ciągle zbliżał się do Konrada, który patrzył na niego przerażony.

Strzała w udo, i jeszcze jedna w ramię; tamten jednak doszedł do skamieniałego ze strachu krzyżowca, uchwycił go za szyję i zaczął dusić.

Powoli, nieubłaganie, uścisk pozbawiał mnicha oddechu. Krzyk przerażenia wyrwał mu się z piersi, starając się precyzyjnie przez zduszone gardło, ale na próżno... na próżno!

„Aaaaaach!”

„Konradzie! Konradzie! Co ci? Co ci? Obudź się, Konradzie! Obudź się!”

Konrad otworzył powieki i zdumiał się, widząc twarz Gadda zamiast twarzy zabójcy.

„Uspokój się, Konradzie! Spokojnie! To była senna mara! To tylko mara!”

Gaddo szarpał go za ramiona, starając się całkiem go rozbudzić.

Konrad otarł pot z twarzy, potem usiał na łóżku, trzymając głowę w dłoniach.

„Tak, tak, obudziłem się, obudziłem. Nic się nie stało”. I po przerwie dodał: „Mówiłem ci, że poobiednia drzemka wywołuje u mnie ból głowy”.

„Chcesz szklanek wody?”

„Jeszcze się pytasz? — odparł z uśmiechem. — Tak, daj mi wody, również do obmycia twarzy”.

„Chcesz odprawić mszę?”

„Nie, nie teraz. Wyjdę na ten spacer, o którym ci wspominałem. Przy okazji w pełni otrząsnę się ze snu. Od kiedy tu jestem, muszę mieć spokojny umysł, by odprawić mszę. O wszystkim myśl ty. Odprawimy za godzinę, dobrze?”

„Dobrze, — rzekł Gaddo wychodząc, — jak chcesz”.

„A przy okazji, czy twoim zdaniem, warto pogawędzić z kimś z rodziny Sciancatic?”

Gaddo przystanął w drzwiach. „Nie, nie warto”.

„Dlaczego?”

„Dlatego, że wyjechali”.

„Wyjechali?”

Gaddo zawrócił i oparł się ramieniem o drzwi. „Beatrice Sciancati była sierotą. Cała jej

rodzina to stary wuj i jego żona, którzy ją wychowywali. Wielkiej zacności ludzie, którzy ze wstydu prawie nie wychodzili z domu. Mówiłem ci, że Beatrice była kochanką możnych panów i nikt nie mógł jej niczego zabronić. Dysponowała pokaźną rentą osobistą, pozostawioną jej przez rodziców i starzy wujostwo nie mieli na nią żadnego wpływu. Nie przyszli nawet na pogrzeb. To znaczy, nikt nie przyszedł na pogrzeb. Za karawanem szedł tylko ksiądz. Sprzedali wszystko i udali się do sanktuarium w Compostelli. Wyruszyli wkrótce po śmierci siostrzenicy”.

„Rozumiem. Kto wie, gdzie się teraz znajdują. Dlaczego jednak arcybiskup ich nie zatrzymał?”

„A jakim prawem? Nie, Witalis znał dobrze tych dwoje biednych staruszków. Gdyby wiedzieli o czymś, co posłużyłoby dochodzeniu, powiedzieliby mu to. Dla nich koszmar się skończył. Nie odeszli wcześniej tylko dlatego, że obiecali rodzicom Beatrice, że będą się nią opiekować. Tak jakby ona tego potrzebowała! Nie, miłosierdzie nakazywało, by pozwolić im odejść. I zapewniam cię, że nie odkryliby niczego, o czym byśmy już nie wiedzieli”.

„Niechże tak będzie. Koniec i kropka. Zobaczymy się później”.

Gaddo otworzył drzwi i wyszedł.

XI.

Kościół patrona Pizy, świętego Sykstusa. Jego opieka nad tym miastem była do tej pory doprawdy skuteczna, skoro najświetniejsze zwycięstwa Republiki Pizańskiej na ziemi i na morzu zdarzały się — przedziwnym zbiegiem okoliczności — zawsze właśnie w dniu świętego Xysta, w poświęconym mu dniu sierpniowym.

Lecz wewnątrz kościoła tego zwycięzcy było ubogie. W słabym świetle świec ujrzał Konrad garść biedaków na kolanach, mamroczących pokorne modlitwy do świętego Józefa lub do Najświętszej Panienki.

Zapomniał przyklęknąć i przeżegnać się wodą świeconą, stał tylko w milczeniu i przyglądał się tej gromadzie bankrutów, pokonanych, wiecznych przegranych, przychodzących błagać wykute w marmurze bóstwo o wielką łaskę zdjęcia choć na chwile z ich ramion codziennego krzyża.

Nigdy żadnego z nich nie widział, lecz znał wszystkich.

Była tam staruszka, którą obumarli mąż i syn i teraz, sama jak palec, przychodziła rozmawiać z Jedynym, który słuchał jej tak długo, jak długo chciała. Był cierpiącym, którego dosięgła kolejna choroba i który ukazywał tabernakulum setki blizn oraz skórę poparzoną kataplazmami. Była nieszczęśliwa małżonka, w małżeńskim pożyciu zaznająca jedynie goryczy i upokorzeń, jeśli nie razów, która przychodziła prosić o nawrócenie męża lub dzieci, albo przynajmniej o ich opamiętanie. Był tu także taki, któremu nigdy w życiu nie poszczęściło się i który trawił swe lata w oczekiwaniu na jedną jedyną dobrą okazję, nigdy nie spełnioną a życie całe spędził zazdroszcząc tym, którym szczęście bezustannie sprzyjało.

Był wreszcie taki, który w życiu zaznał wyłącznie zła, który nie potrafił skłęcić choćby jednej modlitwy, nie kończącej się pełnym zawodem i urazy bluźnierstwem.

I Konrad powoli ugiął kolana. Klękając przy kolumnie, zaczął rozmawiać z Bogiem.

Słowa cisnęły się same i wszystkie tkwiły w nim już od dawna. Jak to się stało, że wcześniej tego nie spostrzegł? Wystarczy na chwilę uchylić drzwi umysłu, by runęły niczym lawina na wykutego w kamieniu Ukrzyżowanego, który, skręcony z bólu wisiał w głębi kościoła.

„Tak chciałbym kiedyś porozmawiać z Tobą sam na sam, bez pośrednictwa aniołów i świętych. I chciałbym rozmawiać bez ceremoniałów i czołobitności, jak mężczyzna z

mężczyzną, bo i Ty miałeś ciało i nerwy jak ja. Posłużę się własnym językiem, który znasz, by łatwiej mi szło. I pozwól, że czasem nie okażę Ci należytego szacunku, gdyż tak postępowałbym z przyjacielem.

„Czy wiesz, ile razy zastanawiałem się, po czyjej stoisz stronie? Tak, bo my — a do nich i ja należę — którzy staramy się pełnić Twoją wolę, mamy tysiące nieprzyjaciół: demony, złych ludzi, naszą słabość... Już tego by wystarczyło. Ale jeszcze jesteś Ty, który napełniasz nasze życie krzyżami; różnymi, małymi, dużymi, uciążliwymi, nieznośnymi.

„Zgoda, to dla naszego dobra. Ale jakiego? Wiesz, że w większości wypadków nie rozumiemy tej historii z naszym dobrem. I jest to jeden krzyż więcej. Tak, wiem, że dobry ojciec rozdziela kije i słodycze, wszakże wydaje mi się, iż kije są ciągle dla jednych, dla drugich zaś — ciągle słodycze.

„A kim są ci drudzy? To ludzie bez przerwy bluźniący Twemu imieniu, a przynajmniej Cię nie szanujący.

„Zgoda, później pošlesz ich do piekła; lecz co to mnie ma obchodzić, że oni na koniec pójdą do piekła? Czy wiedząc, że oni są w piekle, ja będę miał się lepiej? I wreszcie, czemu służy ta absurdalna przymusowa pedagogia, zmuszająca niektórych, by na siłę byli święci? Co obchodzą Twoje kosmiczne zamysły ludzi masakrowanych, torturowanych, cierpiących na ciele albo, co gorsza, na umyśle? I wreszcie, gdzież w tym wszystkim logika?. Nie ma nawet jakiejś nici przewodniej, by się jej uchwycić, czegoś, co mogłoby posłużyć za zaczepienie dla inteligencji, by zdołać zachować wiarę.

„Są ludzie źli, którym wszystko idzie dobrze oraz ludzie źli, którym się nie układa i są ludzie dobrzy, którym wszystko idzie źle oraz ludzie dobrzy, którym się dobrze układa. Jakaś matka modli się do Ciebie lata całe, prosząc o nawrócenie syna rozpustnika i obiboka. I nie otrzymuje tego, o co prosi. Niektórzy święci zagłodzili się na śmierć, poszcząc w intencji uwolnienia kogoś od diabelskiego opętania, a potem wystarczył jeden arabski poganiacz wielbłądów, by pociągnąć miliony ludzi na wojnę z chrześcijaństwem i w krótkim czasie zamienić w ruinę najwspanialsze kościoły świata. Muzułmanie, krwiożerczy i bezlitośni, chociaż tkwią w błędzie, odnoszą zwycięstwo. A my, noszący Twój znak na płaszczach — nie. Jak to mamy rozumieć? Czego od nas chcesz? Mówię w imieniu tych, którzy, tak jak ja, czasem czują się znużeni polowaniem na cienie, znużeni nieustannym modleniem się i medytacją, i rozważaniem, i poszczeniem, i modleniem się znowu, w oczekiwaniu chwili, kiedy niebo powinno się otworzyć, a znak potwierdzić: Nie, nie jesteś durny, to jest właściwa droga! Ale ten znak nigdy nie nadchodzi i wciąż się oddala: Odwagi, bracie, bądź uparty, trwaj, zobaczysz! Co zobaczysz? Co?!

„Odpowiesz mi, że i święci tak postępowali; lecz, Chryste, ja nie jestem święty i nawet nie wiem, czy mi zależy, by nim zostać! Jestem tylko biednym nieszczęśnikiem, który ma już wszystkiego dość i pragnie jedynie przeżyć w spokoju te lata, które mu zostały, bez ściskającej go za gardło boskości Boga zmuszającego, by cierpiał, cierpiał, cierpiał! Boga,

który do tego uważa, że jest ojcem, dobrym, miłosiernym.

„Och, dosyć! Zmęczony jestem również tym głędzeniem, bo Ty i tak nie odpowiadasz. Albo odpowiesz później, kiedyś tam, może za kilka lat, lub w chwili śmierci. Lub nie odpowiesz wcale, taki jesteś świątobliwy.

„Wścieka mnie to, że nic Cię nie porusza, nic co mogę powiedzieć czy uczynić nie może w najmniejszym stopniu zmienić Twoich niezmiennych dekretów! Wiem, że wyjdę stąd takim samym idiotą, jakim wszedłem, i że wszystko potoczy się tak, jak przedtem. No, dobrze. Muł, który buntuje się na wędzidło i juki, może tylko zranić sobie pysk a także, na dokładkę, dostać cięgi.

„Lecz jeśli jestem mułem, dlaczego zwiesz mnie synem? Nie, nie, nie! Nie mogę Cię kochać, nie mogę. Chryste, obym mógł! Wtedy wszystko stałoby się łatwiejsze i spokojniejsze. Tymczasem nie.

„Wierzę w Ciebie, wiesz o tym. Wierzę, że chrześcijaństwo jest tym, czego człowiekowi potrzeba, wierzę w jego doskonałość, w jego wyższość nad wszystkimi innymi religiami. Wierzę, że gdyby ludzie stosowali się naprawdę do jego zasad, byłibyśmy wszyscy nieco szczęśliwsi na ziemi. Wierzę w Twoje istnienie tak, jak tego uczy katolicka wiara, wiara w genialność Twojego orędzia, wierzę też w cuda, w demony i w aniołów stróży.

„Wszystko to jednak tkwi tylko w mojej głowie i nie może nigdy sięgnąć serca. I tak moja wiara to tylko dziki wysiłek, który donikąd nie prowadzi, a ja Cię nie kocham.

„Nie kocham Cię, nic mnie nie obchodzi Twoja chwała i Ty sam; chcę tylko mieć spokój, nie rozumiesz tego?

„Nie rozumiesz?

„Nie rozumiesz?

„Nie rozumiesz?”

Długo powtarzał w duchu te ostatnie słowa, szlochając histerycznie, wciśnięty w kąt u stóp kolumny, w cieniu tego mrocznego i cichego kościoła, a płomienie świec wznosiły się proste i nieruchome przed kolorowymi posągami. Tabernakulum było zamknięte.

To w nie zdawały się uderzać łkania Konrada, które odbijały się coraz słabszym echem od sklepienia, od kapiteli, od posadzki.

XII.

Światło księżyca rzucało na dzielnice Kinseca cienie ostre i wyraźne. Z fasad, w które uderzał blask, wydobywał się kontrast między błękitną barwą kamienia a gęstym i czarnym cieniem trawersów.

Dwaj przyjaciele, skryci w cieniu, szli ostrożnie i w milczeniu w stronę domu, do którego, jak zauważył Konrad, zaszedł katar.

„Jesteśmy”, wyszeptał w pewnej chwili Francuz i wskazał na ciężką bramę, nabijaną żelaznymi gwoździami.

„W jaki sposób chcesz wejść?” zapytał cichutko Gaddo.

„Podaj mi sznur”.

Gaddo wyciągnął spod płaszcza zwinięty powróż i podał go przyjacielowi, rozejrzawszy się dokoła.

Wziąwszy sznur, Konrad cofnął się o dwa kroki i zadarł głowę, by obejrzeć wznoszący się przed nim budynek. Był to dom — wieża, typowa budowla pizańska, niezbyt wysoka. Na drugim piętrze odnalazł to, czego szukał: okno, opatrnościowo otwarte, zakończone występem muru.

Zawiązał pętlę na jednym końcu powrozu, potem solidnie zacisnął węzeł.

„O, teraz zobaczymy, czy jeszcze coś potrafię”.

Rzucił sznur w stronę okna i już za pierwszym razem pętla zaczepiła się o występ.

„No i co?” rzekł Konrad uśmiechając się, dumny, że mu się udało, a potem dodał: „Teraz wyobraź sobie, że to mury Damietty. Tu przynajmniej Turcy nie leją ci wrzącego oleju na głowę. Idę pierwszy”.

I zaczął się wspinać.

Postawiwszy stopę na parapecie okna zajrzał do środka; na szczęście był to tylko jakiś skład, w przeciwnym razie wyprawa zakończyłaby się zanim by się jeszcze zaczęła. Wskoczył do środka i przywołał gestem Gadda.

Kiedy i on się wdrapał, Konrad wciągnął sznur, zwinął go i położył na podłodze, blisko okna.

„Gdybyś go pozostawił tak jak zwisał, byłby w razie ucieczki gotowy”, rzekł Gaddo półgłosem.

„A gdybyś był nocnym Markiem, co byś powiedział, widząc sznur, opadający z okna?”

Gaddo pomyślał chwilę i odrzekł: „Nie wiem!”

„Ha, ja też nie. Dlatego właśnie go zdjąłem. Teraz cicho i ruszamy”

Przeszli ostrożnie przez pomieszczenie, omijając zydle, skrzynie i starą uprząż. Powolotku uchylili drzwi i przez szczelinę przecisnęli się na podest nieoświetlonych schodów.

Stopnie wiodące w dół ginęły w ciemnościach; zaś prowadzące do góry dochodziły do drzwi, przez które sączyło się blade światło.

Poszli więc do góry, stanęli obok drzwi i w milczeniu przywarli do ściany.

Konrad przykucnął i zajrzał przez dziurkę od klucza. Ujrzał pusty korytarz. Delikatnie otworzyli drzwi i weszli.

Korytarz był długi i pusty. Prawa ściana była pusta, lewą zaś zdobiła cała seria arkad, które otwierały się na wielką, oświetloną komnatę. Arkady wspierały się na parach kolumn. Ukryci za jedną z takich par, mnisi zerknęli do środka.

Sala znajdowała się w dole, a kolumnada opasywała całą jej górną część, tak że zdawało się im, iż pochylają się nad jakimś kwadratowym amfiteatrem. Cztery koksowe piece, rozstawione wokół sali oświetlały czerwonymi błyskami dziwną scenę: jakieś piętnaście osób, owiniętych w płaszcze, z kapturami naciągniętymi na twarze, słuchało mężczyzny, stojącego u szczytu sali otoczonego przez dwóch innych. W absolutnej ciszy słyhać było tylko głos mężczyzny i trzaskanie iskier w piecach.

Nagle, z grupy obecnych, którzy siedzieli tyłem do szpiegujących ich z ukrycia, wyszła jakaś postać w czerni i szepnęła kilka słów do ucha przemawiającego. Czyniąc to człowiek ów musiał obrócić twarz w stronę ukrytych w cieniu. W tejże chwili Konrad przykrył dłonią usta przyjacielowi, by nie wydostał się z nich jakiś zduszony okrzyk, gdyż i Gaddo rozpoznał mężczyznę.

To był Szymon Visconti.

Upewniwszy się, że ze strony towarzysza nie zdarzą się nieoczekiwane reakcje, Konrad zaczął znowu śledzić wydarzenia na dole.

Tymczasem Visconti, wymieniwszy kilka zdań z drugą postacią, skierował się do wyjścia, przeciskając się między zgromadzonymi. Zaś mówca podjął swe przemówienie.

„...i pamiętajcie, bracia, iż teraz jesteście świeci. Nie masz więc w waszym sercu żadnej wątpliwości co do tego, że wasze czyny są dobre. Sam fakt, iż tu dzisiaj jesteście, świadczy, że wcieliły się w was dobre anioły. To wy jesteście tymi aniołami, jesteście czyści i oczyszczacie wszystko, czego dotkniecie. Zaklinam was przeto, byście nie dali się sprowadzić na manowce potępionym, tym którzy czczą te przeklętą rzymską szubienicę, bo wiecie, że do niej został przybity demon.

„Chrystus miał tylko pozór ciała, zatem nie mógł umrzeć.

„Pozwólcie, by inni wierzyli w bajki o wcieleniu Boga. Dzieje się tak, gdyż są oni już

potępieni i nie znają prawdy. Wierzą oni, iż Bóg, przyjmując ciało, uświęcił ciało i świat; dlatego dzielą czyny na dobre i złe, szanują władze, dotrzymują przysięg, wynoszą do rangi sakramentu związek mężczyzny z kobietą, starają się jak mogą, by polepszyć warunki życia na tej ziemi.

„Nie wiedzą jednak, w swej bezmyślności, że wszystko to czynią na próżno, gdyż ich nieuniknionym losem jest potępienie. Świat jest zatracony i przeklęty z powodu jedyne, nieodwracalnego grzechu pierworodnego: upadku zbuntowanych aniołów. Zbawią się tylko sprawiedliwi, bowiem w nich wcielili się dobrzy aniołowie. Powtarzam, wy jesteście tymi aniołami, gdyż przyjęliście prawdziwą wiarę.

„A skoro jesteście święci, czymże jest dla was grzech? Niczym! Bowiem cokolwiek uczynicie, wszystko tylko powiększy waszą świętość.

„Wyzwólcie się zatem z wszelkiego poczucia winy, tego spadku po czasach, gdy wasze oczy były zamknięte. Biercie więc, co wam posłuży, gdyż Bóg bierze nie prosząc. Nikomu nie przysięgajcie, gdyż jakkolwiek związek ze światem skalałby waszą czystość. Miłujcie braci i siostry, gdyż Bóg miłuje bez względu na płeć. Nierząd, kazirodztwo i sodomia to słowa wymyślane przez nikczemników, aby zmusić do jedyne, prawdziwego grzechu który podtrzymuje ciągłość ich przeklętej rasy: do rozmnażania się.

„Naszym zaś celem musi być jak najrychlejsze wyzwolenie świata od diabłów wcielonych, od potomków tych niegodziwców, którzy zdradzili przykazanie apostołów i sprzedali się światu, akceptując dary Konstantyna.

„Kiedy więc na ziemi pozostaną tylko czyści, wtedy wszystko się spełni, aniołowie uwolnią się od więzów ciała i powrócą do Boga.

„Nie obawiajcie się, że na razie musimy się jeszcze ukrywać. Bliski jest dzień naszego wyzwolenia. Jest nas wielu i jesteśmy wszędzie. Nie ma na świecie miejsca, gdzie byśmy nie spotkali braci. Ja sam, w moich pielgrzymkach, spotkałem świętych również tam, gdzie wydawałoby się, że ich nie ma. Nie ma miasta, nie ma wsi, gdzie by nas nie było. Nie ma pałacu możnowładcy, nie ma królewskiego dworu, gdzie nie byłoby świętych, którzy czekają na odpowiedni moment, by w jakiś sposób wesprzeć braci.

„Słyszeliście, jaki koniec spotkał biskupa Mantui, który nas prześladował. I tak jest wszędzie. Gdziekolwiek znajduje się wróg prawdziwej wiary, tam w mroku czai się ostrze, przeznaczone dla niego. Zatem powtarzam wam: nie lękajcie się. Chodźcie nawet do ich kościołów, bierzcie udział w ich obrzędach. Jeśli was schwytają, udawajcie, że wypieracie się swoich przekonań. Nie ma takiego kłamstwa, nie ma takiej zdrady, która nie byłaby uświęcona dla celu, dla którego istniejemy.

„Mnie samego pochwyliła i sądziła inkwizycja. Złożyłem przysięgę przed ich fałszywymi obrazami. Z głębi swej bezdennej głupoty wybaczyli mi i kazali przez trzy lata odmawiać ich psalmy pokutne. Jaką wartość ma przysięga, złożona Nierządniczy? Żadnej. Natomiast uchronienie siebie, by dalej szerzyć prawdziwą wiarę tylko wzmocniło moją

świętość. Uwolnijcie się przeto od wszelkiego lęku, bowiem bliski jest dzień naszego triumfu”.

I dalej mówił w tym tonie. Lecz Konrad usłyszał wystarczająco dużo. Zresztą ani jedno słowo z tego, co powiedział mężczyzna, nie było mu obce.

Zwrócił się do Gadda pytając z cicha: „Znasz go?”.

„Nigdy go nie widział, — odparł tamten. — To musi być, jakeś rzekł, jeden z ich wędrownych biskupów”.

„I ja tak myślę. A tamci? Czy jest jakaś znana postać?”.

„Stąd widzę niewyraźnie... Nie, nikogo nie rozpoznaję od tyłu.

A zresztą, nawet gdyby się odwrócili przodem, i tak mają zakapturzone twarze...”

„Dobrze. Wobec tego możemy odejść”.

Po cichu przemierzili z powrotem tę samą drogę i wrócili do okna. Tu Konrad owinął jego środkową kolumnkę podwójną pętlą, tak że kiedy stanęli na ziemi, z łatwością pociągnęli ją i ściągnęli w dół.

Zdjąwszy sznur, zanurzyli się w nocnym mroku.

Gaddo, ledwie dotknął łóżka, zapadł w sen.

Konrad natomiast nie mógł zasnąć. Myślał o tym, co zobaczył i usłyszał; w pamięci wirowały mu słowa biskupa katarów.

Jako dobry inkwizytor wiedział wszystko, co trzeba było wiedzieć o heretykach, lecz nigdy nie przestawał się dziwić.

Katarzy to była prawdziwa plaga, trujące zielsko nie do usunięcia. Papież Innocenty wymienił aż czterdzieści odgałęzień tej sekty. Ale jakkolwiek się zwały, to byli zawsze oni: katarzy. I bardziej niż wrogami Kościoła, byli rzeczywistymi wrogami całego rodzaju ludzkiego. Bowiem ich ostatecznym celem było nie co innego, jak kolektywne samobójstwo. Było to sprzysiężenie, powolne, głuche, podziemne, wszechobecne, dążące do zniszczenia każdym sposobem olbrzymiego wysiłku chrześcijańskiej ludzkości, pragnącej zbudować życie doczesne na nadprzyrodzonych zasadach.

„Gdyby oni zwyciężyli — rozmyślał Konrad, — nastaloby barbarzyństwo. Mogą je przywrócić, gdyż nie pętają ich moralne okowy, które my mamy. Nie jeden raz szukali porozumienia z muzułmanami przeciwko chrześcijaństwu i są silni nieoczekiwanymi wsparciami i biernym współudziałem. Wielu szlachetnie urodzonych sędzi, że posługuje się nimi w grabieniu ziemi ludziom Kościoła. Wszyscy gibelini, gdziekolwiek by byli, darzą ich na ogół sympatią, z nienawiści do papieża. Sam Rajmund z Tuluzy trzymał kilku z nich w swojej świcie, aby móc otrzymać consolamentum w razie nagłej śmierci”.

Nic jednak nie przeszkadzało «przyjaciółom» katarów zmienić front zależnie od obrotu polityki i przemienić się w zaciekłych «obrońców wiary». Już Bernard z Clairvaux ubolewał nad krzywdami, jakie w jego czasach czynili katarzy chrześcijanom. Wielu, ze strachu, nie spełniało religijnych obowiązków, a nawet nie chrzcilo dzieci. Iluż świętych inkwizytorów,

iluż biskupów zostało zabitych pełniąc swe obowiązki! Może warto było zostawić tych niegodziwców w rękach ludzi takich, jak cesarz Fryderyk i nie zajmować się ich losem: odcinanie języka, stos, konfiskata dóbr i tak dalej.

Lecz nie, nie. Król, cesarz, burmistrz mieli wszelkie racje, by usiłować bronić samych fundamentów życia obywatelskiego; ale Kościół nie mógł dopuścić, by do przestępstwa doszło nadużycie i niesprawiedliwość, a tym bardziej nie dać możliwości tym nieszczęśliwcom, którzy zostali wciągnięci do herezji ze strachu, z oczarowania lub chwilowego zaślepienia. Zwłaszcza kara cywilna konfiskaty mienia rodziła obawę, że sprawiedliwość działa, delikatnie mówiąc, niezbyt dokładnie.

Nie, tylko Kościół miał prawo ustalać, kto jest heretykiem. Tylko Kościół mógł być zainteresowany przebaczeniem temu kto, prawdziwie skruszony, pragnął powrócić na jego łono. Właśnie dzięki tym zasadom łagodności mnóstwo ludzi, po życiu zaplątanym w herezje, dokończyło w święty sposób swoich dni, niektórzy nawet przywdziawszy wpiery duchowny habit.

W tym celu Kościół bezwzględnie żądał od swoich inkwizytorów najwyższej surowości wiary i obyczajów, aby mogli oprzeć się pokusom i groźbom. Dlatego też inkwizycje powierzono dwóm zakonom żebraczym, jedynym które mogły przeciwstawić prostotę prostocie, brak dóbr brakowi dóbr.

Żelazne reguły obowiązywały inkwizytora. Musiał mieć ponad czterdzieści lat i cieszyć się dobrą i wypróbowaną sławą solidnej cnoty; musiał być obcokrajowcem, by był wolny od jakiegokolwiek stronniczości i nie mógł mieć kompetencji prawnej względem kogoś, kto w ten lub inny sposób wyrządził mu krzywdę.

Przede wszystkim jednak powinien kierować się, gdzie to możliwe, miłosierdziem; nierzadkie bywały przypadki inkwizytorów pozbawionych swego zadania lub nawet uwięzionych za stosowanie nadmiernej surowości.

Robert Bułgar, najpierw katar a potem inkwizytor, zapłacił więzieniem za swoją zawziętość.

Konrad wiercił się w łóżku, nie mogąc zasnąć.

„Jak się zakończy — zastanawiał się, — ta, tak zagmatwana i zawikłana sprawa? A ja, ja... Co ja tutaj robię? Dlaczego ja, a nie ktoś inny! Dlaczego wydarzenia pozwalają jednemu spędzać czas w spokoju, a innemu nie dają spać w nocy? Dlaczego Bóg wie dzie jednych na zielone pastwiska i do spokojnych wód, a innych nieprzebytymi ścieżkami, pełnymi ciernistych krzewów? Dlaczego dla jednych radość i pogoda ducha stanowią niezmienną regułę, zaś inni znają jedynie wewnętrzną udrękę i zgryzotę zwątpienia? Dlaczego wreszcie jedni żyją dobrze nie zadając sobie pytań, zaś inni zadręczają się nieustannym stawianiem ich sobie?”.

Czego nie mogło dokonać zmęczenie, sprawił smutek. I Konrad, z sercem ciężkim od tych myśli, wreszcie zasnął.



„I co teraz zrobimy?”, zawołał arcybiskup.

Potem podniósł się i zaczął nerwowo przechadzać się po komnacie, splótłszy dłonie za plecami.

Konrad i Gaddo stali przy biurku. Opowiedziawszy szczegółowo o wszystkim, co odkryli, czekali na opinię Witalisa.

„Od dawna dochodziły mnie głosy stąd i zowąd, dlatego ta sprawa wcale mnie nie dziwi. Potwierdza i uzupełnia między innymi sprzeczne wieści, dostarczone mi przez zaufanego człowieka, którego wysłałem do getta, by zebrał informacje. Jak wiecie, katarów łączą z Żydami stosunki nienawiści i miłości. Jedni drugich uważają za potępionych, lecz są jednomyślni w nienawiści do nas”.

Arcybiskup krążył po komnacie, mówiąc bardziej do siebie niż do nich, oni zaś zachowywali stosowne, pełne szacunku milczenie.

„Wszakże nie wiem, co czynić, — ciągnął. — Mógłbym zwołać coś w rodzaju krucjaty przeciwko nim; wpłynęłoby to na uśmierzenie rywalizacji w mieście i zjednoczenie dusz we wspólnym celu.

„Ale nie można tego zrobić. Oni, oczywiście, mają w mieście znajomości. Prześladowanie ich spowodowałoby ujawnienie zamieszanych w to ludzi. Zatem krucjata, zamiast łączyć, podzieliłaby. A Bóg jeden wie, że temu miastu nie trzeba kolejnych podziałów.

„Udawać, że nic się nie dzieje i dalej postępować jakby nigdy nic? Nie, oni nie są jak Żydzi, którym wystarcza, by mogli handlować i zajmować się lichwą; tamci uspokoją się dopiero wtedy, gdy wszystkim poderzną gardła”.

Tu arcybiskup przystanął i zwrócił się do obu mnichów. „Co mi sugerujecie?”.

Odezwał się Konrad: „A Visconti?”.

„Ten jest katarzem tak jak ja Mongołem. Nie mam zielonego pojęcia, dla jakich podejrzanych celów kontaktuje się z sektą, ale jedno jest pewne: chodzi o interesy czysto materialne.

„Ten człowiek to szczwany lis, on ma spiskowanie we krwi. Rozpusta i władza: oto jedyne cele Szymona Viscontiego. Naprawdę wierzycie, że chce zabić Ugolina, by pomścić swą kochankę? Nie, nie. Kontrola nad Sycylią, władza absolutna w tej Republice — oto jedyne prawdziwe przyczyny jego działań. Dla tego, i tylko dla tego sprzedałby duszę diabłu, przyjąwszy, że w niego wierzy”.

Zamyślony Konrad wpatrywał się przez chwilę w podłogę, potem powiedział: „A więc poczekajmy”.

„Poczekajmy na co?”.

„Widzicie, monsignore, niekorzystne dla nas jest to, że ten kłębek jest coraz bardziej płątaniną elementów, pozornie nie trzymających się razem. Ale jest też coś korzystnego. A korzyść, jeśli tak to nazwiemy, polega moim zdaniem na tym, że te same elementy zdają się być, tak czy inaczej, połączone. Prawdziwy problem polega na znalezieniu początku motka. Gdy go znajdziemy, wystarczy pociągnąć i wszystkie te części ułożą się jedna za drugą, w zrozumiałym porządku”.

Strapiony arcybiskup zastanowił się krótko i westchnął: „Zgoda. Poczekajmy. Teraz już idźcie, moje modlitwy będą wam towarzyszyć.”

Skłoniwszy się z szacunkiem, wyszli.

Zaledwie znaleźli się za progiem, Gaddo zapytał: „A teraz?”.

„Musimy tam znowu pójść. Trzeba się postarać kogoś rozpoznać”.

„Och, Boże! — westchnął Gaddo. — Nie wiem co rzec, ten plan wydaje się prosty, lecz genialny. Uzbrowimy się po same zęby, powtórzymy nocne akrobacje, wskoczmy w środek sali podczas kazania ich herszta i zedrzymy wszystkim kaptury. Potem, gdy oni, osłupiali szybkością naszej akcji, przez chwilę pozostaną bez słowa, my w mgnieniu oka zwiejemy i za jakiś kwadrans zrobimy lulu. Proste, lecz genialne”.

„Dlaczego nie postarasz się o list żelazny do Kukanii, Krainy Szczęśliwości? ...li pais a nom Coquaigne, qui plus i dort, plus i gaigne”. I Konrad wyrecytował przyjacielowi wierszyk: W onej Szczęśliwości Krainie, im słodziej sobie w łożu chrapniesz, tym więcej złota w mieszku znajdziesz.

Gaddo zdawał się nie brać tego do siebie, lecz zainteresowany tematem ciągnął: „Słyszałem, że na Sycylii znajduje się posąg z marmuru, na którego głowie widnieje napis, iż pierwszego maja, o wschodzie słońca, będzie mieć głowę złotą. Wystarczy przyjrzeć się, gdzie tego dnia i o tej godzinie kończy się cień posągu i kopać w tym miejscu. Jest tam skarb, jakiego nigdy nie widziano”.

„A gdzie dokładnie miałyby się znajdować ten posąg?”.

„Tego nikt nie wie”.

„Powiedziałem ci już, Kraina Szczęśliwości jest bliżej”.

„Posłuchaj, Konradzie. Mam tylko jedną skórę. Starawa już ona, i podniszczona tu i ówdzie. Jednak mam tylko ją jedną. Jak będę oddawał Bogu chwałę, jeśli ją stracę?”.

„W najgorszej z hipotez oddasz Bogu chwałę tracąc ją. Oczywiście, mogę też pójść sam”.

„Kiedy wyciągasz swoją ulubioną broń, moralny szantaż, nie mam innego wyjścia, jak ustąpić”, westchnął niepocieszony Gaddo.

Uśmiechając się, Konrad klepnął go zamaszyście w plecy, aż mu dech zaparło.

„No, brawo! Niezwykle cenię widok odwagi i pogardy dla niebezpieczeństwa u ludzi, którzy spontanicznie ofiarują swój udział w ryzykownych misjach! Spokojnie, nie powiedziałem, że pójdziemy tam tej nocy, nie jest też pewne, czy oni gromadzą się co wieczór. Najpierw zrobimy pewną zasadzkę. Dzisiaj natomiast chcę pójść podziękować

Ugolino delia Gherardesca, że uratował mi życie. Wielce niegrzecznie byłoby nie uczynić tego, nie sądzisz, mój poczciwy przyjacielu?”.

„Jeśli o to chodzi, możemy iść choćby zaraz”.

„A więc ruszajmy”.

XIII.

Wielka brama zamknęła się za nimi i znaleźli się w ocienionym wewnętrznym korytarzu, w którym ich kroki odbijały się echem. Z jednej i z drugiej strony odchodziły schody, wiodące na wyższe piętra. Przed nimi rozpościerał się ogród pełen blasku, posągów i drzew owocowych, starannie pielęgnowany, lecz niewidoczny z zewnątrz. Było to typowe dla wielu pałaców możnych panów.

Pod gruszą stał mężczyzna koło sześćdziesiątki, o białych włosach i brwiach, podnosząc aż do zwisających gałęzi kędzierzawego malca. Łatwość, z jaką to czynił ukazywała niespodziewaną siłę, która, w połączeniu ze zdecydowanymi rysami, nadawała mu stanowczości i męskości.

Mężczyzna spostrzegł mnichów, stojących u wejścia do ogrodu, postawił dziecko na ziemi i trzymając je za rękę, ruszył im na spotkanie.

„Kto to?”, zapytał z cicha Konrad, nie odwracając twarzy do Gadda.

„To Gerard, zwany Starym — odparł tak samo Gaddo. — Z linii Donoratico. To on, od lat, za plecami burmistrza i Starszych pociąga nitkami pizańskiej polityki.”

„Ach!”, rzekł Konrad, uśmiechając się, gdyż właśnie nadszedł Gerard Stary i wyciągnął prawicę. Francuz odwzajemnił uścisk, to samo zrobił Gaddo.

„Witajcie w moim domu ojcie Leclerc i ojcie Casalberty — rzekł mężczyzna głębokim barytonem. — Ugolino opowiedział mi o przykrym incydencie, jaki was spotkał. Zapewniam, że uczynię wszystko, co w mej mocy, by postawić przed sądem zleceniodawcę i w pełni wyświecić to zdarzenie”.

„Nie przypominam sobie, bym powiedział waszemu synowi jak mam na imię”, odezwał się Konrad.

„Nie jest moim synem, — uśmiechnął się Stary. — To syn mojego krewnego Gwelfa di Settimo, lecz traktuję go jak swego. Wszyscy z rodu Gherardesca są moimi synami”, dodał, podkreślając słowa szerokim gestem ramion. Potem ciągnął dalej: „W istocie, dobrze sobie przypominacie, ojcie. Lecz gdybyście lepiej wiedzieli, jak się mają rzeczy w Pizie, pojęlibyście, że w tym mieście nie może się zdarzyć nic, o czym bym ja nie wiedział”.

W tym miejscu Konrad uznał za stosowne zmienić temat.

„Przybyłem, by podziękować Ugolino i usprawiedliwić się, że byłem wtedy wobec niego

trochę nieuprzejmy. Byłem wstrząśnięty zdarzeniem”.

„Nie myślcie już o tym, ojcze. A jeśli już o tym mówimy, to gratuluje sposobu walki. Niewielu potrafi zrobić to, co wy zrobiliście, i z taką zimną krwią”.

Powiedział to, żeby Konrad zrozumiał, że nie uwierzył w historyjkę o biednym mnichu, przerażonym wydarzeniem. I Konrad istotnie wyczuł podstęp. Prawdę powiedział Visconti w Ripafratta: wszyscy, którzy mieli interes w tym, by wiedzieć, wiedzieli. Wiedzieli kim był i po co ty przybył.

Postanowił więc, że czas urozmaicić rozmowę.

„Co to za dziecko?”, zapytał i pogłaskał je po główce.

„To jest Gwelf, synek Ugolina oraz narzeczony Heleny, córki króla Enzo i Adelazji di Torres”.

„Nie wiedziałem, że Ugolino jest żonaty i ma dzieci!” rzekł Konrad, piorunując wzrokiem Gadda.

„Och, mogę zrozumieć wasze zdumienie, ojcze. Istotnie, Ugolino wygląda na młodszego niż jest. Jego chłopięca twarz wprowadziłaby w błąd każdego... a otóż i on!”.

Spomiędzy drzew wyszedł Ugolino i zbliżał się do nich. Mały Gwelf wysłiznął się z objęć i pobiegł w stronę ojca. Ten uściśnął dłonie mnichom i wziął dziecko na barana.

„Co słyhać, ojcze? Mam nadzieję, że nikt ostatnio nie zakłócił pobytu ojca w Pizie!”

„Przyszedłem, — rzekł kłaniając się Konrad, — by wam podziękować jak należy, gdyż, nad czym ubolewam, wtenczas tego nie uczyniłem”.

„Głupstwo, ojcze. Każdy na moim miejscu uczyniłby to samo”.

„Być może, ale nie z taką zrećnością”.

„Ugolino zawsze był doskonałym łucznikiem, — rzekł Stary ze źle skrywaną satysfakcją. — Sam go tego uczyłem”.

Ugolino zaprotestował:

„Dosyć już pochwał! Mógłbym wpaść w pychę i zaszkodziłoby to zbawieniu mej duszy. Czyż nie, ojcze?”.

Wszyscy roześmiali się uprzejmie z żartu.

„Pozwolicie wina, panowie? — zapytał Stary. — Właśnie wczoraj przywieziono mi prawdziwy nektar, zobaczycie. Ugolino, wezwij sługi”.

„Wybaczcie, że nie skorzystamy, — odparł Konrad, — lecz trochę się spieszymy. Sporo mamy niestety obowiązków, którym w tych dniach musimy stawić czoła”. Potem, zwracając się do Ugolina: „Panie, uczynilibyście mi przyjemność, chcąc porozmawiać ze mną, kiedy tylko zechcecie. Możecie, jeśli wola, przyjść do mnie do arcybiskupstwa”.

Gdyby chlusnął wiadrem zimnej wody w twarze obu delia Gherardesca, nie zmroziłby bardziej atmosfery. Słowa były niezręczne i natychmiast miał okazję przekonać się o tym.

„Nie macie mi nic do powiedzenia, czego byście nie mogli rzec zaraz tutaj, — warknął Ugolino, ze skamieniałą twarzą. — Wiem, o czym chcecie ze mną rozmawiać. Chcecie się

dowiedzieć, czy byłem kochankiem Beatrice Sciancati i czy to ja ją zabiłem.

„Ta kobieta na jakiś czas odebrała mi rozum, to prawda, ale to nie ja ją zabiłem. Istotnie, była chwila kiedy chciałem to uczynić; a gdybym to zrobił, to pamiętajcie, nikt nie mógłby dostać Ugolina w swe ręce. Nikt. Lecz nie zabiłem jej, chociaż wcześniej lub później ktoś inny na moim miejscu zrobiłby to.

„Dlaczego tutaj przychodziecie wypytywać? Winnicie pójść do Szymona Viscontiego. To on ją zamordował. Wszyscy wiedzą, że miał już dosyć jej ciągłych zdrad, albo «chwilowych rozrywek», jak ona to nazywała. Nie, to nie ja. Gdybym to zrobił wówczas, jak wam rzekłem, nie ukrywałbym tego”.

Powiedziawszy to, odwrócił się plecami i odszedł. Mnisi, po kilku pełnych zakłopotania chwilach, uznali, że pora zniknąć. Wymamrotawszy jakieś okolicznościowe frazesy, pożegnali się ze Starym, który odwzajemnił im się oziębłą wrogością.

Zaledwie znaleźli się na ulicy Konrad schwycił przyjaciela za ramię i napadł na niego:

„I cóż stąd, że cię prosiłem, byś mi opowiedział nawet najdrobniejsze szczegóły!”

Gaddo posmutniał i zgarbił się.

„O, do licha, czego ode mnie chcesz? Jestem mnichem, nie inkwizytorem. Czy dla ciebie ważne jest wszystko, cokolwiek wiem?”

„No, dajmy już spokój i wracajmy do domu. Po drodze wszystko mi opowiesz... Zrozumiałeś?... Wszystko!... O Gerardzie Starym, o synu Ugolina, Sardynii, i tak dalej. Tym razem ja zadaję pytania”.

Szli więc powoli, pozostawiając za plecami pałac della Gherardesca.

„A więc zacznij od objaśnienia mi, kim jest Gerard Stary”, poprosił Konrad, kiedy oddalili się wystarczająco.

„To przywódca swego stronnictwa, od zawsze, — odparł wypogodzony Gaddo. — Teraz wiesz, że dwie rodziny dzielą się rządami nad tym miastem i wszystkimi jego handlowymi i militarnymi powiązaniem, od Sardynii do Korsyki, od Balearów do krain normandzkich, od składów towarowych w Bizancjum do Ziemi Świętej i Egiptu. Ród della Gherardesca to stronnicy cesarza, zaś Visconti są gwelfami, lecz bardziej niż ktokolwiek nienawidzą strony przeciwnej. W istocie, nigdy nie było zgody między Viscontimi i arcybiskupem z powodu wyboru budowniczego katedry. Lecz to nie jest może ważne”.

„Tym razem to ja decyduję, co jest ważne. Mów dalej”.

„W czasach burmistrza Orlando Rossiego oba rody chwyciły za broń, raz zwyciężając, raz przegrywając, czasem trwały prawdziwe walki. Potem, za pośrednictwem burmistrza zawarli i podpisali zgodę w San Giusto. Jednak, jak mogłeś zauważyć, jest to raczej zawieszenie broni, aniżeli pokój”.

„Dalej”.

„Prawdziwe kłopoty zaczęły się w związku z małżeństwem Adelazji di Torre. Kto by ją poślubił, kładł łapę na dochody z Sardynii. Ówczesny papież, Grzegorz, zaproponował

swojego pretendenta, Gwelfa di Ugolino da Porcari, zaś cesarz swego naturalnego syna, Enza. Adelazja wybrała tego ostatniego i ojciec natychmiast ustanowił go królem Sardynii. Następnie przybył tutaj i przekonał władze miejskie, by zatwierdziły statuty zabraniające gwelfom dostępu do urzędów publicznych. A już szczytem stało się to, co słyszałeś: syn Ugolina został przyrzeczony córce Enza i Adelazji. Jak pojmujesz, oznacza to, iż Sardynia zostaje oddana ludziom z rodu delia Gherardesca”.

„A Gerard?”

„To on stoi za wszystkim. To człowiek o wybitnej osobowości. Szybko zrozumiał, że losy tego miasta są powiązane podwójną nicią z losami cesarstwa, więc zaprzął się do wozu Hohenstaufenów. Jednak, moim zdaniem, ich koniec stanie się jego końcem.

„Jak wiesz, papież zwołał do Rzymu sobór, by wykląć Fryderyka, ale pizańskiej flocie udało się przechwycić konwój wiozący duchownych do Ostii. Na pokładzie pizańskich okrętów był też ojciec Ugolina. Z tego powodu wciąż trwa przeciwko Gerardowi kościelny proces, wielokrotnie odraczany dzięki jego znajomościom. Jednym słowem, to jego wina, że Piza została obłożona interdyktem i pozbawiona godności arcybiskupiej, co sprawia, że Witalis umiera ze zgrzyoty. Nie lepiej sprawy się mają z nowym papieżem, Innocentym...”.

„... który jest genueńczykiem: Sinibaldo Fieschi, hrabia Lawanii, — przerwał Konrad. — Który tym razem zwołał sobór w Lionie, na francuskiej ziemi, i uroczyście ponowił ekskomunikę.

„Zatem, ze względu na interdykt Pizy, teoretycznie nie będziemy mogli sądzić nawet czarownika. Wątpię wszakże, by ktokolwiek czynił nam z tego powodu zarzuty, skoro ten nieszczęśnik obojętny jest obu stronnictwom. Paradoksalnie jedynymi, którym leży na sercu jego los, jesteśmy właśnie my.

„Dobrze, mój drogi Gaddo. To znaczy, źle. To, coś mi rzekł, nie wnosi nic nowego do sprawy, którą mamy rozsądzać. Lecz przynajmniej teraz trochę jaśniej widzę powagę sytuacji oraz powód, dla którego arcybiskup potrzebował kogoś z zewnątrz, żeby wyjaśnić zdarzenie. Wiesz, co ci powiem?”.

Gaddo zatrzymał się i popatrzył na przyjaciela czekając na dalszy ciąg wypowiedzi.

„Niech Bóg nam dopomóżel”, zakończył Konrad.

Następnie wziął go pod rękę i skierował w stronę, w którą kroczyli.

Wrócili do siedziby arcybiskupa, ale go nie zastali.

XIV.

Upłynęło kilka dni i nie wydarzyło się nic godnego uwagi. Gaddo oczekiwał na swe sekretarskie zajęcia, zaś Konrad spędzał czas w bibliotece, pogłębiając wiedzę o herezjach, albo chodząc po mieście.

W gruncie rzeczy Piza była pięknym grodem, bogatym we wspaniałe budowle i wybitne dzieła sztuki. Konrad odwiedził groby Raniera i Bony, dwojga godnych dzieci Pizy, których lud już obwołał świętymi. Zwiedził też kościół świętego Pawła na Ripa d'Arno, zwany Starą Katedrą, uroczysty i pełen spokoju, ukryty wśród drzew; obejrzał ciekawą ośmioboczną konstrukcję kościoła templariuszy, pod wezwaniem Grobu Pańskiego, na wprost przesłoniętego wieżami i pałacami wielmożów; dotarł aż do bazyliki św. Piotra na Grado, gdzie wedle legendy miał przybyć apostoł; mógł w spokoju podziwiać potężny pas murów, podobno najgrubszy na włoskiej ziemi; przystanął, by się przyjrzeć, jak pracują cieśle i uszczelniacze spoin, uwijający się wokół galarów i drewnianych kadłubów niczym mrówki krzątające się, by flota Tyrreńskiej Królowej stawała się coraz groźniejsza.

Zarazem poznawał rozkład miasta, uczył się jego ulic, zapamiętywał rozmieszczenie budowli, pytał o miejskie prawa, obyczaje, władze i zarządzanie, o mentalność a czasem o sposoby wyrażania się.

Dowiedział się, co trzeba było wiedzieć o władzach miasta, o Trzech Cechach Kupców, o Siedmiu Sztukach, o konsulach Morza, o takich kompaniach handlu zamorskiego, jak potężni Vermigli, czy Umili w Syrii. Dowiedział się o Turnieju na Miecze i Tarcze i o sierpniowym jarmarku na święto Panny Maryi, na który ściągali kupcy z całego świata. Poznał też nazwy czterech dzielnic: Borgo, Ponte, Foriporta i Kinseca i nauczył się po nich poruszać. Nieobce były mu także nazwiska najznamienitszych rodzin: Buonconti, Pandolfini, Rainaldi, Lanfranchi, Galgauri, Sismondi, Buonaccorsi, Sigeri, Orlandini, Gualandi, Wlani, Gambacorta, San Casciano, Camugliani, Accatti, Ubaldeschi. Starał się zapamiętać polityczne zabarwienie każdej z nich.

Jednak ulubionym jego zajęciem były odwiedziny w Foriporta, gdzie znajdowały się sklepiki sukienników i budowniczych, albo w Kinseca, gdzie ulokowali się kupcy kolonialni, garbarze, kuśnierze i siedziby cechów rzemieślniczych. Widząc tych ludzi przy pracy, przypominał sobie starą śpiewkę, która każdemu chrześcijaninowi przydzielała odpowiedni

obowiązek:

„Duchowieństwo ma się modlić,
rycerz — sprawiedliwość czynić,
wieśniak chlebem wszystkich żywić,
w Kościele, na wsi i w mieście
wiedzą, iż Bóg sam tego chce”.

A jeszcze dźwięki dzwonów, ogłaszające rozmaite pory dnia i wzywające ludzi do pracy, lub do modlitwy, albo do odpoczynku; i furkot gołębi na placach, całych stad, przelatujących tak nisko, że trzeba było schylać głowę; i powolne mewy śmieszki przylatujące w górę rzeki; aż do środka miasta, by urozmaicić pożywienie jakąś słodkowodną rybką; i chmary wróbli, zrywających się z nagła z drzew, by pofrunąć całą gromadą, błyskawicznie w górę, nakreślając na niebie ciasną pętlę, a wróciwszy na gałęzie, skryć się w listowiu.

„Życie powtarza wciąż te same zdarzenia — myślał Konrad, wracając pamięcią do swego zadania. — Ktoś tam umarł od miecza. Ktoś inny został otruty. Tamtą zgwałcono. W tej walce padła setka zabitych, dziesięciu w tamtej zasadzce. Życie powtarza wciąż to samo. Podnosimy się, strzepujemy kurz z pleców, płaczemy, żalujemy. Ale młotek zawsze tkwi na swoim miejscu, i igła, i kociołek.

„Kocham cię, zawsze będę cię kochać, jesteś mój, jestem twoja. W godzinę po twym zgonie wszyscy odchodzą czując grozę na widok twego ciała, które już cuchnie. Pogrzeb, jedna męka więcej. Ten, pamiętasz go? Kto? Ten wysoki i gruby, który miał to i miał tamto, który sprawiał dobre i złe wrażenie, który umarł parę lat temu. Nie, nie pamiętam, nie mogę sobie go przypomnieć. Wiesz, tyle mam spraw na głowie! Życie biegnie dalej”.

„Czemu zatem — rozmyślał Konrad — służy oddawanie się pracy, mówienie, bieganie? Są na świecie dwie kategorie ludzi: ci, co szukają siebie i ci, co szukają Boga. Można tak szukać siebie, że zapomni się o Bogu, ostatecznym sensie wszystkich rzeczy, że zwątpi się nawet w istnienie; lecz są też ludzie, którzy szukają Boga zapominając o sobie, którzy jadają i sypiają tylko tyle, by mieć siły na nieustanne poszukiwanie Go. W każdym przypadku krótkim ludzkim życiem rządzi niepokój. *Inquietum est cor nostrum donec requiescat in te!*”.

Ale słowa św. Augustyna doprowadziły tylko do pogłębienia troski, jaka wśliznęła się do jego duszy.

Takie było bowiem jego serce, ustawicznie rozdarte między niebem i ziemią, między wołaniem i tęsknotą za Bogiem a pragnieniem spokoju i wytchnienia: tym pragnieniem ukojenia, które paradoksalnie dodawało mu bodźca wśród najrozmaitszych doświadczeń, pozostając zawsze o piędź od jego nosa, zawsze trochę odległe, czasem tak bliskie, lecz wciąż bezlitośnie niedościgłe.

„Obdarz mnie pokojem, Panie, albo zostaw mnie w pokoju!”

Lecz bezgłośna modlitwa stukała w zamknięte podwoje Nieba i opadała mu na ramiona bezwładna, nieużyteczna, niewysłuchana.

„...Proście, a będzie wam dane; szukajcie a znajdziecie; kołaczcie, a otworzą wam. Gdy którego z was syn prosi o chleb, czy jest taki, który poda mu kamień? Albo gdy prosi o rybę, czy poda mu węża? Jeśli więc wy, choć źli jesteście, umiecie dawać dobre dary swoim dzieciom, o ileż bardziej Ojciec wasz, który jest w niebie, da to co dobre tym, którzy Go proszą!”.

Ileż razy rozważał te zdania z ewangelii. Setki, setki razy. I realizował je, o, jakże je realizował! Ale nigdy nic z tego nie wyszło. Nic! Co więcej, te pocieszające słowa, które, gdy się je czytało, napełniały serce słodyczą a oczy łzami, sprawiały, że jeszcze ostrzejszy stawał się jego głęboki ból. Jego, który prosił a nie otrzymywał, kołatał a nie otwierano mu.

„Jak to się stało, Panie Jezu, że nie ukamienowano Cię tam, kiedy wypowiadałeś te zdania gorzko kpiące, z ludzi zmęczonych i zawiedzionych, wyczerpanych życiem pełnym błagań bez odpowiedzi? To tam bym Cię zabił i ukrzyżował, ja, właśnie ja: nie potem, na Golgocie, kiedy już przestałeś mówić!

„Niechaj te moje słowa, Panie, nie brzmią w Twych uszach jak bluźnierstwo, lecz jak kolejna modlitwa. Ty wiesz, że czasami bluźnierstwo niektórych ludzi jest modlitwą. Nie miej mi więc tego za złe i okaż cierpliwość, jaką mi zawsze okazywałaś”, błagał w duchu Konrad.

Na wszelkie sposoby starał się oderwać, nie myśleć. Zachłannie pożerał wzrokiem wszystkie kolory, jakie podsuwało mu miasto, byle tylko nie pozwolić tamtym wątpliwościom znowu wcisnąć się do mózgu i napełnić go smutkiem i przygnębieniem. Każdy jednak splot myśli prowadził go wciąż tam, wciąż tam, do tego jedyne, prawdziwego pragnienia, do tej jednej jedynej modlitwy. Do tego jedyne, przejmującego rozczarowania.

To sprawiało, że ograniczał się do odprawiania mszy najspieszniej jak to było możliwe, co wprawiało w zdumienie Gadda. Lecz on nauczył się już respektować dziwactwa przyjaciela; wyczuwał głębokie cierpienie, które musiało dręczyć jego duszę, chociaż nie pojmował natury tego cierpienia.

Gdy Konrad zauważał nieme pytanie w jego oczach, pospiesznie rozładowywał atmosferę jakimś ironicznym żartem lub zmieniał temat. Gaddo chętnie połykał tę przynętę z miłości do tego człowieka, tak w głębi duszy smutnego.

Pół nocy spędzali na czatach w pobliżu wieży, gdzie gromadzili się katarzy, lecz przez te wszystkie dni nic się nie zdarzyło.

Trzeba było wiele nocy, wiele biadoleń Gadda i wiele złośliwych i niecierpliwych dowcipów Konrada, aby zdarzył się ten oczekiwany raz.

★ ★ ★

Schowali się pod odwróconym do góry dnem koszem, tak wielkim, że zmieścili się obaj, i przez szpary śledzili drogę.

Nagle ich czujność zbudził podejrzanym szelest szybkich kroków.

Otóż i oni. Nadchodzili parami, w znacznej od siebie odległości, z twarzami osłoniętymi kapturami.

Było ich wielu i długo trwało, zanim wszyscy przeszli.

Kiedy dwaj mnisi upewnili się, że już nikt więcej nie nadejdzie, wyszli z ukrycia, zarzucili sznur i powtórzyli wspinaczkę. Otwarte okno, składzik, ciemne schody, drzwi, korytarz.

Scena na dole była taka sama, jak poprzednim razem.

Teraz jednak Konrad i Gaddo starali się prześliznąć ukradkiem wzdłuż arkad, opasujących górną część sali, żeby zobaczyć twarz któregoś z katarów. Szli na czworakach, jeden za drugim, ocierając się o kolumny.

Lecz Fortuna, jak wiadomo, ma zasłonięte oczy. I tego wieczoru, nie widząc Gadda zderzyła się z nim, zaś przydeptał nieostrożnie skraj płaszcza przyjaciela i potknął się, padając na ziemię razem z Konradem.

Jakaś kobieta na sali krzyknęła i wskazała, skąd dobiegł odgłos upadku. Biskup katarów wydał rozkaz i natychmiast gromada mężczyzn rzuciła się na intruzów.

„Uciekajmy!” wrzasnął Konrad, rzucając się w stronę wyjścia.

Jednak na schodach napotkali dziesiątki rąk gotowych schwytać ich i unieruchomić.

Bójka była tyleż krótka, co daremna. Natychmiast zaprowadzono ich do sali, przed oblicze przywódcy sekty, a po bokach każdego z pojmanych stało po dwóch ludzi uzbrojonych w miecze.

Mężczyzna rzekł: „Wiem, kim jesteście”. Potem zwrócił się do Konrada: „Czegoście przyszli tutaj szukać? Zabójcy Beatrice Sciancati czy tylko... katarów? Nie, nie odpowiadajcie, mnichu. Nie warto. Już jesteście martwi”.

Konrad starał się zyskać na czasie:

„Kto zabił Beatrice Sciancati? Czy to wy?”.

Tamten roześmiał się szyderczo: „A po cóż ci teraz to wiedzieć? Komu będziesz mógł o tym powiedzieć?”.

Ten wybieg posłużył Francuzowi jedynie po to, by zwrócić uwagę trzymających go na rozmowę. Trwała kilka sekund, lecz jemu to wystarczyło.

Jednym ruchem przesunął stopy za nogi obu strażników i przewrócił się do tyłu. Tamci, tracąc równowagę, runęli jeden na drugiego, ale on zwinnie podniósł się i wyciągnął miecz z płataniny rąk i nóg.

Pozostali cofnęli się instynktownie. Konrad rzucił się zniemacka na zbrojnych, trzymających jego towarzysza. Puścili go na chwilę i Gaddo wyrwał się, stając u boku Konrada.

Przewyciężywszy przerażenie dwaj mężczyźni przedzierali się do przodu z mieczami w dłoniach. Konrad, dzierżąc swą broń oburącz, zaczął obracać nią błyskawicznie na prawo i

lewo. Strażnicy cofnęli się o krok, zbici z tropu dziwacznym sposobem posługiwania się mieczem. Wówczas mnich zatrzymał się z wyciągniętymi do przodu ramionami, trzymając miecz wymierzony nie w nich, lecz wycelowany prosto w górę.

„Na co czekacie? Zabijcie ich!”, krzyknął przywódca.

Tamci zbliżyli się, lecz Konrad znowu zaczął kręcić kółka mieczem, by ich powstrzymać. I udało mu się. Potem, pchnąwszy mieczem przed siebie, uderzył ostrzem na odlew w ucho pierwszego mężczyzny, który padł na ziemię jak kamień. Drugi otrzymał gwałtowny cios, zadany rękojęścią miecza w sam środek czoła.

W tym momencie Gaddo przewrócił piecyk na podłogę, zabezpieczając w ten sposób drogę odwrotu, i razem z Konradem dopadli drzwi.

Tu wybuchła bójka jeszcze gwałtowniejsza.

Gaddo przekroczył już próg i usiłował zamknąć skrzydło drzwi, podczas gdy Konrad tkwiąc pośrodku trzymał katarów na dystans. Francuz rozdzielał ciosy mieczem i pięścią, łokciem i nogą. Po tysiącokroć błogosławił te sposoby walki, których się nauczył za młodu, i które setki razy przyczyniły się do wyciągnięcia go z tarapatów.

Bogu dzięki zdołali wydostać się na zewnątrz. Zamknęli i zaryglowali drzwi, które jednak nie mogły długo stawiać oporu. Już zaczęły trzeszczeć pod wściekłym naporem heretyków.

Zaledwie mnisi wbiegli na schody, gdy dał się słyszeć łoskot ustępujących drzwi.

Biegli bez słowa, oddychając z trudem. Mieli niewielką przewagę. Wpadli do bramy i już byli na ulicy. A tamci wciąż za nimi. Nie mogli absolutnie pozwolić im ujść cało: dla heretyków oznaczałoby to stos i obaj mnisi doskonale o tym wiedzieli.

Trwał więc meczący i rozpaczliwy pościg po nocnych ulicach niczego nie świadomej Pizy, wciąż pogrążonej we śnie.

Pędząc do utraty tchu minęli most. Czterech katarów, szybszych od innych, oderwało się od grupy zbliżając się do dwu zbiegów na odległość kilku metrów. Musieli jeszcze przebiec prosty nie kończący się odcinek wzdłuż brzegu Arno, a nie starczyło już tchu w piersi.

Konrad biegł z sercem w gardle i szumem w uszach. Goniący ich przeklętnicy zyskiwali coraz bardziej na odległości dzielącej ich od uciekających. Nie uda im się.

Poddawał się. Lepiej przygotować się do ostatniej obrony. Może hałas kogoś sprowadzi. Jednak nie ulegał złudzeniom; pomijając wszystko inne, był bez broni. Żeby szybciej uciekać odrzucił bowiem miecz.

Lecz Fortuna wreszcie zdjęła z oczu opaskę i rozpoznała ludzi dobrych. Jakiś pospieszny krok. Jakiś wrzask.

La ilaha ill Allah!

Rzuciwszy swe bitewne zawołanie, Turek Ibn Harudne stanął u boku Konrada, dobywając bułata. Gaddo, który biegł o krok w tyle dołączył do nich i, dysząc, stanął z nimi w szyku. Wydobywał z siebie dziwne odgłosy, które miały być śmiechem radości, przerywanym krótkim oddechem. Turek wyrzaskiwał z całych sił to samo zawołanie, które znaczyło, iż

nie masz Boga nad Allacha.

Na ten widok goniący zatrzymali się z wahaniem. Tamci trzej stali w postawie obronnej, zaś Turek wrzeszczał.

Nagle otworzyło się jakieś okno i ktoś zaczął wołać na całe gardło: „Turcy! Turcy przybili do brzegu!”.

Otworzyło się drugie okno, potem następne i następne.

„Do broni! Do broni!”.

„Bijcie w dzwony!”.

Nie sposób nawet opisać powstałego zamętu głosów, nawoływań, rozkazów, złorzeczeń.

Katarzy czmychnęli czym prędzej, to samo uczynili i nasi, gdy tymczasem miasto budziło się dobywając broni, żeby się osłaniać przed lądowaniem muzułmanów.

A tamci dwaj, teraz trzej, znowu uciekali. U wejścia do Najświętszej Panny Maryi rozdzielili się i Turek zniknął. Konrad i Gaddo zatrzymali się dopiero wtedy, gdy brama arcybiskupstwa zamknęła się za nimi.

Zdyszany, oparłszy się plecami o bramę Gaddo zapytał: „Co ten Turek robił, spacerując nocą?”.

„Zapytaj mnie o to później — wysapał Konrad. — Teraz biegiem do łóżka, zanim i tu się pobudzą, by odpierać napaść. Szybko!”.

W jednej chwili wpadli do swej komnaty. Już i w siedzibie arcybiskupa zaczynała się wrzawa.

Natychmiast ktoś zaczął rozpaczliwie walić pięścią w drzwi, na szczęście w porę zamknięte.

„Turcy! Turcy!”.

Konrad w jednej chwili zrzucił z siebie ubranie i wciągnął nocną koszulę. Potem otworzył.

„Co tam? Co się dzieje?”, zapytał doskonale udając zaspany głos.

Za drzwiami stał, trzęsąc się ze strachu, młody nowicjusz, tylko w rajtuzach i koszuli trzymając w ręku latarnię.

„Turcy, panowie! Wylądowali w Porto Pisano! Najechali miasto!”, wrzasnął i popędził co sił w nogach.

Konrad zamknął drzwi trzymając się za nos, by nie wybuchnąć śmiechem.

Arcybiskupstwo przemieniło się w rojowisko ludzi biegnących w rozmaitych kierunkach. Wielu ratowało, co mogło lub co uważało za najpotrzebniejsze podczas ucieczki: jeden sakwę z jedzeniem, drugi Biblię, trzeci derkę, a jeszcze inny wszystkie te rzeczy razem. W powietrzu krzyżowały się sprzeczne rozkazy.

„Uciekajmy w góry!”.

„Prośmy o azyl w Luce!”.

„Nie ma ratunku!”.

„Do broni! Wszyscy sprawni mężczyźni do bram!”

„Złożmy ślubowanie!”

Nie było takiego zastępu w anielskiej hierarchii, którego by nie wzywano. Nie było takiego świętego, oficjalnie wyniesionego na ołtarze czy uznanego świętym głosem ludu, którego nie ogłuszyłyby w owej godzinie jęki, płacze, złorzeczenia lub wzywanie na pomoc.

Akty strzeliste wytryskiwały tu i tam, ze wszech stron. Pod wszelkimi możliwymi imionami wzywana była nieustannie sama Trójca Przenajświętsza.

Konrad i Gaddo, chichocząc z cicha, wśliznęli się do łóża, ale zaraz rozległ się dzwoneczek z biura arcybiskupa. Przybiegli tak jak stali. Witalis był w podobnym stroju.

„Coś mi się wydaje, że wy dwaj maczaliście w tym wszystkim palce. Coś mi mówi, iż jesteście w to — nie wiem jak — w jakiś sposób wmieszani”, zgromił ich zaraz na wstępie, mierząc w nich niezmiernie długim wskazującym palcem.

Oni zaś najpierw popatrzyli na siebie zakłopotani, a potem Konrad opowiedział po kolei o wszystkim, co się wydarzyło.

Gdy skończył, arcybiskup wciąż surowo się weń wpatrywał.

Potem zaczął jakoś dziwnie wykrzywiać usta a brwi uniosły mu się w górę. On, tak zwykle blade, zaróżowił się, potem poczerwieniał, wreszcie stał się fioletowy.

A na koniec wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem, gwałtownym, krztuszącym, hałaśliwym śmiechem, który wprowadził w osłupienie obu obecnych.

Arcybiskup Witalis, obłożony interdyktem prymas Korsyki i Sardynii, śmiał się — od Bóg jeden wie ile lat. Niepohamowanie, ze łzami w oczach — śmiał się.

★ ★ ★

Tymczasem zamieszanie w mieście osiągnęło szczyt. Dzwony, w które bito co sił obudziły nawet śpiące ptaki, które wyfruwały z gniazd, konarów i gołębników, krążąc tu i tam i, nie wiedząc dokąd lecieć, wydawały przenikliwe piski, potęgujące wrzaski, wołania, płacz i złorzeczenia.

Nie było w Pizie nikogo, kto by nie wybiegł z jakąś bronią na ulicę, wydając rozkazy albo ich oczekując. Każda władza starała się, jak mogła zorganizować obronę: burmistrz, Rada Starszych, Konsulowie morscy, Konsulowie sądowi, Mistrzowie Cechów, i tak dalej. Kto nie pełnił żadnego grodzkiego obowiązku, sam się mianował porucznikiem i wrzeszczał na żonę, dzieci, na psa czy na wiatr.

Jednym słowem, panował nieopisany zgiełk: jeden pędził ulicą, drugi zderzał się z pędzącym, jeden uciekał, drugi nie wiedział, dokąd uciekać, ktoś krzyczał, ktoś inny płakał.

Zapalano pochodnie i rozdzielano je każdemu, kto wyciągał rękę; jedni, obudzeni błyskami świateł i hałasem biegli z wiadrami wody, żeby gasić domniemany pożar; niektórzy zaś znaleźli się w paskudnych opałach, gdyż znaleziono ich w cudzym łóżku.

W końcu jednak, dziękować Bogu, władze ogarnęły jakoś sytuację i wszystko nieco sprawniej zorganizowały. Ludności zdolnej do noszenia broni rozdano ją; ktoś usiłował okraść składy żywności, ale dojrzano go, wygrzmocono, siłą uzbrojono i odesłano na miejsce walki.

Marynarze i cieśle gotowali się do obrony składów broni. Mieszczanie i rzemieślnicy zabijali gwoździami bramy i okna sklepów. Żołnierze biegli na mury na ostatnią obronę. Z klasztorów popłynęły ku niebu litanie, odmawiane głosami przerażonymi i zaspanymi zarazem. Nie było kościoła, w którym nie odprawiałyby się msza błagalna.. Braciszkiowie dwoili się i troili kropiąc święconą wodą broń i żołnierzy.

I trzeba było dopiero blasku jutrzeńki, aby Republika Pizańska zdała sobie sprawę z sytuacji.

Wówczas zaczęły się wzajemne obelgi, oskarżenia, szukanie odpowiedzialnych i kozłów ofiarnych. Posypały się obficie grzywny, nagany, reprimendy i kary. Ktoś utracił autorytet, ktoś inny znalazł się w więzieniu.

Potem wszyscy powrócili do domów.

XV.

Promienie wschodzącego słońca przenikały przez szparę w oknie i, niczym brzeszczotem, uderzyły Konrada prosto w oczy.

Obudził się w jednej chwili i usiadł na łożu. Uspokoił się. Bez dwóch zdań — pomyślał — mój pobyt w Pizie cechuje się krótkim i niespokojnym snem. Cierpliwości.

Nagle poruszenie Konrada zbudziło też Gadda.

„O, wszyscy świeci! Ty chyba nigdy nie sypiasz?”, zawołał.

„A dlaczego ty się upierasz, by robić to, co ja?”, odparł Konrad, przecierając oczy.

„Cóż ci się, u diabła, śniło tym razem?”.

„Śniłeś mi się ty, że milczałeś trzy godziny bez przerwy, i obudziłem się z osłupienia!”.

Gaddo ułożył się na poduszkach.

„No, dobrze. Równie dobrze możemy już wstawać. Nie słyszę wrzawy na ulicy. Zdaje się, że najazd się skończył”, zaśmiał się zjadliwie. Postawił gołą stopę na podłodze, lecz natychmiast ją poderwał. Podłoga była lodowata.

„Ale co robił tej nocy na ulicy Ibn Harudne?”.

„Już mnie o to pytałeś?”.

„A ty co mi odrzekłeś?”.

„Że nie wiem”.

„A teraz wiesz”.

„Słuchaj no, dlaczego nie obmyjesz sobie twarzy? Albo raczej wsadź głowę w miednicę i potrzymaj tak trochę!” rzucił sucho Konrad, który bez wątpienia znowu się obudził w złym humorze.

Gderając, Gaddo zebrał się na odwagę, stanął boso na ziemi i dotarł do wody. Kiedy mył się, drżąc z zimna, dosięgło go pytanie Konrada: „Rozpoznałeś kogoś spośród tych katarów?”.

„O, tak, — odparł tamten, wycierając się. Tym razem tak. Rozpoznałem wielu”.

„Nazwiska?”.

„Ach, nazwisk nie jestem pewien!”.

Konrad zamknął oczy i zacisnął szczęki, by nie wybuchnąć. Tamten spostrzegł to i dorzucił pospiesznie: „Ale wiem, gdzie ich znaleźć!”.

Francuz wysunął się z pościeli, wznosząc ręce do nieba: „Panie nieba i ziemi! Daj mi siłę!”.

Gaddo przysiadł na brzegu łoża i ciągnął niewzruszony:

„Dwóch albo trzech to sukiennicy. Wiem, gdzie mają sklepiki, chociaż nie wiem, jak się zwa”.

„Czy wiedzą, że ich znasz?”.

„To możliwe. Piza nie jest ogromna”.

„A więc nasza skóra nie warta jest złamanego grosza”.

Casalberti padł na łoże jak długi.

„Odwagi! — rzekł ze śmiechem Konrad, który wstawał. — Nie rościsz sobie chyba pretensji, by żyć do stu lat!”.

„Wiesz co, Konradzie? Wiesz? Nigdy nie czułem się tak źle, dopóki ty tutaj nie przybyłeś!”.

„Ale słyszysz to, co należy usłyszeć od przyjaciela! Piękna gościnność. Ach, a propos, masz”. I podał mu bilecik.

Wyjął go z kieszeni płaszcza, rzuconego na krzesło.

„Co to jest?”.

Gaddo wyprostował się i wziął zmięty papierek. Były na nim nagryzmołone pospiesznie trzy słowa: „Cmentarz — Wszystkich Świętych”.

„Kto ci to dał?”, zapytał.

„Kiedy walczyłem z jednym katarem, włożyłem mu przypadkiem rękę za pas: natrafiłem na to i instynktownie wziąłem”.

„Trochę za dużo listów w tej sprawie. Co to znaczy?”.

„Może to, że w noc Wszystkich Świętych spotkają się na cmentarzu”, powiedział spokojnie Konrad, kończąc ubieranie.

Gaddo w lot pojął aluzje i pobladł: „Nie! ja tam nie pójdę! O, mój drogi, teraz wszystko jest jasne. Chcesz figurować w spisie męczenników, zrozumiałem. Nie licz na mnie! Na świętego Wilhelma, tego już za wiele!”.

„A kto kiedykolwiek liczył na ciebie?”.

„Chcesz powiedzieć, że sam pójdiesz?”.

„Oczywiście”.

Gaddo zastanowił się przez chwilę.

„Beze mnie?”.

„Bez ciebie”.

„A jak to zrobisz?”.

„Och, dam sobie radę”.

„O, nie! Wciągnąłeś mnie w te historie, a teraz, gdy docieramy do celu chciałbyś się mnie pozbyć? O, nie, mój łaskawco! To zbyt wygodne, wykorzystać przyjaciół, a potem odrzucić

ich, jak coś niepotrzebnego! Razem zaczęliśmy i razem dokończymy! I nie staraj się zabronić mi tego!”

„Ależ nawet nie próbuje, przyjacielu! Dzięki. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć”. Kończąc, pacnął Gadda dłonią po głowie. Potem wyszedł, pozostawiając go z tępym wyrazem twarzy.

„Idziesz ze mną?”. Głos Konrada dobiegał już ze schodów. Gaddo drgnął i pobiegł za przyjacielem.

„Dokąd?”.

„Do publicznej łaźni”.

Casalberti wydłużył krok i doścignął Konrada.

„Możesz się i tutaj wykapać. Każę nanieść ciepłej wody i kadź”.

„Nie — odparł tamten, zмирzając ku wyjściu, — mam ochotę dłużej wypocząć. Niewierni powszechnie zażywają łaźni parowej, widziałem to w Ziemi Świątej i uważam, że to rzecz znakomita. Mówiono mi, iż krzyżowcy sprowadzili i tutaj ten obyczaj. Chcę z tego skorzystać.”

„To prawda, — przytaknął Gaddo podążając za konfratrem. — Jest to i tutaj. Ja wszakże sądzę, iż jest to obyczaj godny potępienia, wywodzący się z rozluźnienia muzułmańskich obyczajów. Jest tam też sala gdzie epilują owłosienie, jeśli to cię interesuje”.

„Nie, dziękuję. Cenię moje włosy: grzeją mnie w zimie. To raczej coś dla ciebie! Dlaczego nie każesz sobie wydepilować włosów z łepetyny? Uniknąłbyś przykrego obowiązku golenia ich w regularnych odstępach czasu!”

„Niestety! — westchnął Gaddo. — Myślałem, że tylko Anglicy plotą kretańskie żarty, lecz widzę, że dołączyli do nich i Francuzi!”.

Konrad roześmiał się i zamierzył się, by zdrowo klepnąć przyjaciela w głowę, lecz ten się schylił i chociaż raz uniknął ciosu.

Ledwie wyszli na ulicę, Casalberti przystanął: „Przecież Wszystkich Świątych to już jutro!” zawołał zdruzgotany.

„No właśnie — potwierdził ze spokojem Konrad. — A najbliższa noc to noc Wszystkich Świątych. Warto tam pójść wymyтым i wypoconym”.

„Przynajmniej obejdźmy cmentarz dookoła!”

„W tym się z tobą zgadzam”.

Gaddo, pokrępiiony nieco tą odpowiedzią wyrównał krok z przyjacielem i wspólnie pomaszzerowali w kierunku publicznych łaźni.

★ ★ ★

Dwaj chłopcy o nagich ramionach zdzierali sobie gardła zachwalając przechodniom wspaniałości łaźni i starali się przyciągnąć klientów obietnicą gorącej i czystej wody, mydła,

miękkich prześcieradeł oraz, za dopłatą kilku soldów, również masaży.

Dwaj mnisi zapłacili za łaźnię parową, lecz masażu grzecznie odmówili, jako że został im on zaproponowany z porozumiewawczym mrugnięciem oka.

Będąc już w środku, starali się przyzwyczaić wzrok do półmroku oraz zasnuwających pomieszczenie oparów. Różne, przedzielone niskimi ściankami sale, stały otworem. W basenach można było zobaczyć połyskujące mokre ciała mężczyzn i niewiast.

W tamtych czasach nagość nikogo nie gorszyła. A jeśli ktoś, mimo wszystko, nadal spoglądał nieczystym spojrzeniem, mógł zawsze znaleźć tysiąc okazji, by zaspokoić to, co w sumie uważane było za grzech nie tak znowu ciężki. Wiadomo, ciało jest słabe. Dlatego też, paradoksalnie, właśnie uznawanie go za grzeszne czyniło cieszenie się nim czymś «normalnym» i pozwalało nie otaczać nagości dławiającą bigoterią, zgodnie ze słowami Zbawiciela: «Nic, co z zewnątrz wchodzi w człowieka, nie czyni go nieczystym lecz to, co pochodzi z jego wnętrza». W tamtych czasach zakazy religijne, połączone z wielką faktyczną pobłażliwością, ograniczały grzech płciowy do sfery stosunków zwykłych, odsyłając perwersje do kilku wskazanych przypadków.

Zresztą każdy mógł ugasić pożar krwi bardzo wcześnie się żeniąc, a dziewictwa nie uważano za wartość, której należy bronić w każdym wypadku. Kościół też był wielkoduszny w udzielaniu unieważnień ślubów, zawartych w wieku tak młodym, bowiem rodziło to wątpliwości co do pełnej i świadomej zgody obojga małżonków. Wiadomo było, że większość tych związków powstawała w celu umocnienia polityki rodzin i ich przymierzy, dla których często sprawiano zrękowiny niemowląt w kołyskach.

Główną troską Kościoła w tej materii było, jeszcze w tej epoce, niedopuszczenie do małżeństwa osób spokrewnionych, zabronionego aż do siódmego stopnia pokrewieństwa (co często prawie uniemożliwiało znalezienie żony, zwłaszcza panującym) albo też między chrześnymi i chrześniakami (tak zwana *spiritualis agnatio*). Starano się tak postępować, aby rodziny nie zamykały się same w sobie broniąc swych dóbr, bowiem z prawnego punktu widzenia tytułu własności dóbr nie posiadał dany osobnik, lecz rodzina.

Nawet zakonnicy bracia i siostry swobodnie chadzali do łaźni publicznych, zgodnie z zaleceniem, naprzód św. Hieronima a potem Bernarda, by nie mylić świętości z niechlujstwem.

No, prawdę mówiąc, nie można twierdzić, by ci dwaj wielcy święci nakłaniali akurat do odwiedzania publicznych łaźni; w każdym razie zwracali po prostu uwagę na przestrzeganie codziennej higieny, jako że adresatami ich przestróg byli potomkowie barbarzyńców, dla których mycie się było zajęciem słabych białogłów (i to też nie wszystkich).

Nawet dla wielce cywilizowanych rzymskich przodków wizyta w termach stanowiła przede wszystkim pewną formę kultu ciała, a nie prawdziwą i właściwą higienę.

I w tej dziedzinie chrześcijaństwo uczyło i prawie narzucało pewne zasady podstawowej higieny. Ponieważ ciało jest świątynią Ducha, należy o nie dbać, uważając, rzecz jasna, by nie

popaść w bałwochwalstwo. Albo w narcyzm, co w tym wypadku stanowi jedno i to samo.

Lecz z użycia rodzi się nadużycie i, tak jak tamci świeci nawoływali do kąpieli, tak w późniejszych czasach zmienił się kierunek tych nawoływań. Ze znikomym zresztą powodzeniem.

Gaddo i Konrad przepychali się między pomocnikami roznoszącymi wodę i weszli do pokoju z kąpielą parową. Rozebrali się i usiedli, czekając na brzozowe miotelki, by się nimi masować (samodzielnie). Kiedy je przyniesiono siedzieli rozluźnieni, z zamkniętymi oczami.

„Piza to doprawdy niewielki gród!”, zawołał jakiś głos z kłębow pary.

Otworzyli oczy i spostrzegli, że siedzą na wprost czarownika. Miał nagi tors i trzymał pod pachami liściaste gałązki.

„Zdumiewacie się, panowie, widząc mnie w tym miejscu? Czy po tym, co zaszło, chcecie bym nadal był alchemikiem? — ciągnął nie czekając na odpowiedź. — Nie, nie mogę nawet wyjść z mojej kryjówki i spojrzeć w twarz moim współmieszkańcom. Lepiej się czuję tutaj, w oparach. Zresztą, nie ma już mojego sklepika. Ktoś go podpalił, gdym siedział w więzieniu. A przy okazji, dzięki za uwolnienie mnie”.

„Miałeś do tego prawo”, odrzekł Konrad, a potem dodał: „Przykro mi z powodu twego sklepika. Postaram się jakoś ci pomóc”.

„I po co? — roześmiał się tamten ironicznie. — Nie czeka mnie nic dobrego: i tak zostanę skazany, albo za morderstwo, albo za czary”. Pokiwał głową ze zmęczeniem. „Nie, na niczym mi już nie zależy. Kiedy proces?”.

„Nie uciekłeś”, zauważył Konrad.

„Uciec, żeby dokąd pójść? Czy jest takie miejsce, gdzie klany Viscontich i della Gherardesca mnie nie odnajdą? A zresztą, po co? Żeby dać wam ostateczne potwierdzenie mojej winy? Nie, proces to moja ostatnia, chociaż odległa, szansa. Nie ucieknę”. Popatrzył Konradowi uważnie w oczy, potem dorzucił cichszym głosem: „A zresztą, nie wiem dlaczego, lecz tobie ufam. Znam takie typy jak ty. Jesteś idealistą. Będziesz się starał być sprawiedliwy naprawdę, wszelkimi sposobami, wiem”.

Konrad siedział nieporuszony. Nie wiedział, czy to był komplement, czy sarkastyczne współczucie. Było w tym człowieku coś dziwnego, coś wymykającego się spod oceny. Tak jakby długie lata, spędzone na zgłębianiu ukrytych tajemnic, napełniły go jakąś obojętnością względem spraw ludzkich. Patrzył ludziom w oczy, lecz w istocie zdawał się obserwować coś, co kryło się za głową rozmówcy, coś, co tylko on mógł widzieć.

„Dobrze wiesz, że czary karane są tylko wtedy, gdy wiążą się z jakąś zbrodnią. Zatem, skoroś nie winien zabójstwa, nikt cię nie będzie ścigał tylko dlatego, iż tamtej nocy szukałeś kota. Kościół potępia praktyki czarodziejskie, tak jak potępia cudzołóstwo i bluźnierstwo. Są to jednak dziedziny, którymi się zajmują spowiednicy, a nie trybunały”.

Mężczyzna wzruszył ramionami i rzekł: „Dobrze wiem, że trzeba ci będzie czasu, żeby przygotować postępowanie. Nakaz stawienia się w sądzie możesz mi przesłać tutaj.

Powodzenia!” I odszedł, rzuciwszy gałązki do stóp mnichów.

„Dlaczego życzysz mi powodzenia?”, zawołał za nim Konrad, marszcząc brwi. On zaś, stojąc już w drzwiach, obrócił się i udzielił zagadkowej odpowiedzi: „Nawet publiczne łaźnie mają uszy”. I zniknął w kłębach pary.

Konrad i Gaddo popatrzyli na siebie pytająco.

„Doprawdy, dziwny z ciebie człowiek, mój przyjacielu!”, dał się nagle słyszeć jakiś głos.

Obaj zakonnicy aż podskoczyli. Sądzieli, że są sami, lecz widocznie w tym pomieszczeniu było tłoczniej, niż myśleli. Zdanie, wypowiedziane doskonałą francuszczyzną, wypłynęło z kąta, w którym kłębiła się gęsta para. W rzeczy samej, wyteżywszy wzrok można było dostrzec kogoś siedzącego w głębi, a właściwie jakąś bielejącą sylwetkę.

„Wybaczcie moją głupotę, panie, — rzekł Konrad podnosząc głos. — W gruncie rzeczy, gdzie można znaleźć Turka, jeśli nie w łaźni... tureckiej?”

Ibn Harudne wyszedł z oparów i usiadł obok nich. Jego jasne, atletycznej budowy ciało owinięte było tylko białym ręcznikiem wokół bioder. Dotknął czoła i piersi w muzułmańskim powitaniu i uśmiechnął się: „Wiem, że macie do mnie setki pytań, zaś dług wdzięczności, jakim względem was zaciągnął, każe mi odpowiedzieć na wszystkie”.

Konrad uśmiechnął się i skinął głową.

„To my musimy wam podziękować za zjawienie się w samą porę tej nocy!”

Turek wybuchnął głośnym śmiechem.

„Na dusze Proroka! W pojedynkę poruszyłem całą Republikę Pizańską! Na mą wiarę, ten sposób można by naprawdę zastosować na wojnie, boję się jednak, że gdy o nim opowiem, nikt mi nie uwierzy!”.

A potem dodał sardonicznie, ścisząc głos:

„Lecz wy umieracie z ciekawości, co robiłem tej nocy na nabrzeżu Arno!”

„Sądziliśmy, że już odjechaliście do siebie!”, zawołał Gaddo.

„Musze wam rzec, że fascynuje mnie życie chrześcijan, tak odmienne od naszego, o tyle... surowsze, istotniejsze... Hmm, właściwie wcale mi się nie spieszyło wracać a także, między nami mówiąc, nie miałem chęci. Cóż chcecie, tam czekają mnie troski, powinności, poruczenia mego ojca... udręka posiadania przynajmniej czterech żon!

„W tej dziedzinie w porównaniu z wami jesteśmy w położeniu korzystnym i niekorzystnym. Niekorzystne to możliwość posiadania wielu żon (a widzę, że chrześcijanie mają kłopoty już z jedną). Korzystne zaś, że my możemy wysmagać je batem, kiedy nam się podoba.

„Odkryłem jednak, iż chodzenie po Pizie jest nader ciekawe i pouczające, przeto postanowiłem pozostać. Tej nocy nie mogłem zasnąć, musiałem za wiele zjeść. Wyszedłem się przejść. Och, naturalnie, nie spodziewam się, że mi uwierzycie, wiem jednak iż nakaz uprzejmości każe wam nie dociekać przyczyn w tym względzie”.

Grzecznie się pokłonił.

„Jak wam się udaje swobodnie chadzać po Pizie?”, zapytał Konrad.

„Och, to łatwe. Wystarczy nie nosić tureckiego stroju. Poza tym, czyż brakuje tu marynarzy o skórze brązowej od słońca? A wiec, panowie!”. Podniósł się z ławy i głęboko skłonił. „Rad jestem, że był wam użyteczny i że was widzę w dobrym zdrowiu. Jestem pewny, że jeszcze się spotkamy”.

Ibn Harudne złożył ostatni ukłon i opuścił łaźnię.

Konrad, wsparłszy brodę na piersi, rozmyślał w milczeniu, zaś Gaddo wpatrywał się jeszcze w drzwi, którymi wyszedł Turek, jakby oczekiwał, że wyskoczy z nich jakaś kolejna niespodzianka.

„No cóż, — rzekł, otrząsając się, Konrad — skoro nie nadarza się nic innego, popatrzmy, co tu jeszcze może nam się przydać. Chodźmy, na dzisiaj dosyć się napociliśmy”.

Gaddo żartobliwie potaknął.

★ ★ ★

Przemierzyli plac Siedmiu Dróg, kierując się ku ulicy Panny Maryi, prowadzącej do arcybiskupstwa.

Na końcu placu wznosiły się dwie wieże, jedna tuż obok drugiej.

Konrad uniósł wzrok. „Jak one się zwa?”.

„Jedna, wieżą Siedmiu Dróg, druga, to wieża Gualandich. Ale dlaczego o to pytasz? W Pizie jest z dziesięć tysięcy wież!”.

„Szczerze mówiąc, sam nie wiem dlaczego. Te dwie mają jakiś ponury wygląd”.

Gaddo popatrzył, drżąc, najpierw na wieże, potem na przyjaciela.

„Istotnie... teraz, kiedy mi to uświadomiłeś... Lecz chodźmy dalej! To wieże, jak tyle innych. Nie staraj się przerażać mnie bardziej aniżeli już jestem przerażony po tym, co było tej nocy! Jak sądzisz, wystarczy setka ludzi, by otoczyć cmentarz?”

„Ścisz głos, do licha! — zasyczał Konrad. — Przypominam ci, że stoimy pośrodku placu!”.

Gaddo rozejrzał się na boki i do tyłu, żeby sprawdzić czy ktoś nie słyszał, a gdy się obrócił stanął twarzą w twarz z kimś nieznanym.

Przyglądając się wieżom, nie spostrzegli go. Uśmiechał się. Nie był zbyt wysoki, sięgał ledwo do brody Gadda. Cerę miał niezwykle białą, proste i przedzielone na środku przedziałkiem włosy sięgały ramion. Nad zakrzywionym nosem unosiły się niewiarygodnie gęste, wygięte do góry brwi. Szare oczy zdawały się przenikać przez wszystko, na co spoglądały; ukryte w długiej, białej brodzie usta uchylały się w jakimś dziwnym uśmiechu.

Ubrany był na czerwono i niebiesko, z szerokimi rękawami, których spiczaste końce opadały prawie do kolan. Pantofle, również ze spiczastymi czubkami, dopełniały portretu.

Wszystko miało w sobie coś ostrego, elfowego, przebiegłego; postać wydawała się nie z tego świata; stając za ich plecami zdawała się nie poruszać na nogach jak każda inna ludzka

istota. Wyglądała, jakby się tutaj, w tym miejscu, w tej właśnie chwili zmaterializowała, przychodząc nie wiadomo z jakiej niebiańskiej sfery.

Zjawa przerwała czar mówiąc: „Ich wielmożności raczą mi wybaczyć niestosowne najście, lecz mimo woli usłyszałem ostatnie słowa. Uprzejmie proszę o zaszczyt dołączenia do ich wielmożności tej nocy”.

Mnisi spojrzeli po sobie zbici z tropu, potem Konrad zagadnął przybysza: „Po akcencie sądząc, wydajecie się być Anglikiem. Kim jesteście, panie?”.

Mężczyzna znowu się uśmiechnął, pokazując rząd bielutkich i zdrowych zębów. Z tego Konrad mógł wnioskować, iż siwizna wprowadziła go w błąd: człowiek ten mógł mieć co najwyżej sześćdziesiąt lat. Albo i mniej, kto wie.

„Nie jestem Anglikiem, panie, lecz Szkotem. Na imię mam Michał, a moje rodowe nazwisko nic by wam nie powiedziało. Tutaj zowią mnie Scotto lub Scoto, ze względu na me pochodzenie”.

Gaddo aż podskoczył z zachwytu i strachu: „Michał Scotto! Mag cesarza!”.

Mężczyzna skłonił się uprzejmie. „Wiem, że przypisują mi cuda i dziwy, ale ja jestem tylko uczonym, nikim więcej”.

„Znam was, panie, z opowieści, — rzekł Konrad. — Czy mogę was zapytać, dlaczego chcecie przyłączyć się do nas, skoro, jak się zdaje, wiecie o wszystkim, co się nam przydarzyło?”.

„Zgodzicie się ze mną, iż plac publiczny nie jest najodpowiedniejszym miejscem, by rozmawiać o sprawach, powiedzmy sobie, poufnych — odparł tamten. — A ponieważ zbliża się pora obiadu, szczęśliwy będę, jeśli zechcecie zaszczyścić mój stół i ciągnąć dalej rozmowę w moim domu. To tylko dwa kroki stąd”.

Mówiąc to ruszył, nie zostawiając mnichom czasu na przyjęcie lub odrzucenie zaproszenia.

Gaddo zawahał się przez chwilę, ale Konrad ujął go zdecydowanie pod ramię i pociągnął w ślad za Michałem Scotem.

Ponownie przemierzali plac i, jeden z przodu, dwaj pozostali za nim szli ulicą prowadzącą w stronę rzeki, aż skręcili w lewo i znaleźli się u stóp jakiejś wieży.

Mężczyzna otworzył drzwi i przepuścił obu przyjaciół. Gaddo cofnął się, gdyż ten, którego uważał za maga, budził w nim lęk, ale Konrad popchnął go naprzód, w górę po schodach, co pewien czas wbijając mu palec między żebra.

„To stara wieża Serowarów, — objaśniała tajemnicza postać, gdy wspinali się po schodach. Teraz jest opuszczona. Cech użyczył mi jej, bym się w niej zatrzymywał, gdy czasem przyjeżdżam do Pizy. Nie jest zbyt wygodna, lecz wystarczająca dla kogoś, kto jada tyle, by utrzymać się przy życiu i sypia tylko tyle, by odnowić siły, żałując czasu straconego na jedno i drugie”.

U góry schodów stanęli przed niewielkimi drzwiami. Mag gestem zachęcił Konrada, by

otworzył je i wszedł. Po sekundzie wahania Francuz nacisnął klamkę i otworzył skrzydło drzwi.

„Wwiittam wasss!”

Przyjaciele odskoczyli do tyłu. Gaddo, przerażony, znalazł się aż przy ścianie. Ten metaliczny, głuchy głos, płynący z ciemności za drzwiami, zdawał się istotnie należeć do któregoś z diabłów z tych legend, jakie otaczały postać Michała Scota.

Mag uśmiechnął się, błyskając pięknymi zębami. „Nie lękajcie się. To tylko zabawka”.

Otworzył drzwi na oścież i wszedł pierwszy. W chwilę po jego wejściu komnata rozjaśniła się jak w dzień (co jeszcze wzmogło przerażenie Gadda).

„Proszę, panowie, rozgośćcie się!” zapraszał.

Weszli ostrożnie i z wahaniem.

Znaleźli się w komnacie niezbyt obszernej, bez okna. W środku było dokładnie to wszystko, czego mogli się spodziewać u czarnoksiężnika. Ławy zastawione alembikami, dziwne mechanizmy, stare manuskrypty zapisane tajemniczym pismem, kryształowe karafki pełne gęstych, kolorowych płynów, na powierzchni których unosiły się okazy nigdy nie widzianych zwierząt.

Nierzeczywiste, białe i zimne światło pochodziło z gzymsu, który biegł u góry wokół ścian, prawie dotykając sufitu; wystająca część gzymsu nie pozwalała dostrzec źródła jasności.

Pośrodku komnaty stał stół zastawiony potrawami, z których jeszcze unosiła się para, a wokół stały tylko trzy krzesła.

Diabeł, który ich powitał, stał w kącie.

Widziany w pełnym świetle okazał się tylko naturalnej wielkości kukłą, chociaż istotnie wyobrażała ona diabła z rogami i całą resztą szatańskich atrybutów.

Czarnoksiężnik otworzył jej czaszkę i przekręcił w środku kluczyk, potem zamknął.

„To taka sztuczka, którą stosuje, by podczas mej nieobecności trzymać z dala ciekawskich, — rzekł zwracając się do gości. — W ten sposób, jeśli nie wita mnie, gdy otwieram drzwi, wiem, że ktoś tu przychodził myszkować”.

„A gdyby ewentualny ciekawski był tak zuchwały, że wszedłby mimo wszystko?”, zapytał Konrad.

Mag dał czułego prztyczka w głowę automatu. „Mój diabełek ma w zapasie kilka innych niespodzianek dla kogoś, kto otworzy drzwi a nie zapali zaraz światła, — odparł. A jak zapala się światło, wiem tylko ja”.

Po czym skierował się do stołu i poprosił gości, by usiedli, co uczynili nie bez pewnego oporu. Scoto uniósł nakrycia półmisków i nalał wina. Zapach, unoszący się z potraw był niezwykle smakowity i budził apetyt. Przestali się lękać.

Stały przed nimi owoce i dziczyzna, rozmaite sosy i świeżutki chleb. Anielskie miody nie były lepsze od podanego wina.

Konrad w całym swoim życiu pił najróżniejsze wina, i wschodnie i śródziemnomorskie i północne i cierpliwie destylowane w klasztorach. Ale nic z tego, co kosztował przedtem, nie mogło się choć w przybliżeniu równać z winem, które podał im czarodziej.

Jednak, bardziej niż cokolwiek, zdumiewało jedzenie. Te mięsa i sałaty były, owszem, znane, lecz na pewno nie o tej porze roku; ponadto stało jakieś danie, pełne dziwnych, czerwonych owoców, okrągłych w kształcie, mięciutkich i soczystych.

Mag spostrzegł pytające spojrzenie Konrada i pospiesznie uprzedził go: „Zapewniam was, panie, że możecie spokojnie skosztować wszystkiego, co widzicie. Nie ma to pochodzenia czarodziejskiego ani diabelskiego. To tylko skutek zastosowania pewnej techniki przechowywania pokarmów, które dojrzały jakiś czas temu. Opiera się to na zjawisku obecnym w przyrodzie, tym samym, którego używam do oświetlania, a którego znajomość jest bardzo stara. Posługiwali się nim już Egipcjanie przy malowaniu komnat grobowych w swych piramidach. Znalazłem jego opis w pewnej, jeszcze starszej księdze.

„Wedle mojego rozeznania, — ciągnął, — nasi przodkowie posiadali całą wiedzę, lecz została ona utracona z powodu grzechu pierworodnego. Było to tracenie ciągle, postępujące. Dzisiaj, dzięki chrześcijaństwu, które uświęciło pracę, człowiek może odzyskać swoją pozycję pana stworzenia i posługiwać się przyrodą oraz jej mechanizmami, żeby się wyzwolić ze zniewolenia trudem. Stanie się tak, nawet jeśli odzyskiwanie wiedzy kosztować będzie wieki poszukiwań”.

„A kiedy zostanie odnaleziona cała wiedza?”, zapytał Konrad tonem podejrzliwym i sceptycznym.

„Och, to nastąpi dopiero na koniec czasów, kiedy człowiek znów się połączy ze swoim Stwórcą. Jego ziemskim losem jest poszukiwanie po omacku źródła mądrości, by odnaleźć jej ślady, tu i tam, we wszechświecie, chociaż prawe duchy wiedzą, iż każde odkrycie tylko powiększa otchłań tego, co jeszcze pozostaje do odkrycia”.

„Zdacie się wiedzieć niemało o tym, co się stanie w przyszłości!”

„Już wam rzekłem, iż nie jestem czarnoksiężnikiem ani jasnowidzem. Do obserwowania codzienności używam tylko umysłu. Z tego też względu pewien jestem, iż dar, jaki chrześcijaństwo dało człowiekowi, uchylając mu bramy techniki, okaże się straszliwą, obosieczną bronią. Tak jak to już się zdarzyło w czasach wieży Babel, ludzie staną się pyszni z powodu dzieła swych rąk, zechcą zrównać się ze Stworzycielem i będą Nim gardzić. I właśnie z tej przyczyny nie rozgłaszam tego, co wiem, podobnie jak i moi współbracia, rozsiani po całym świecie. Człowiek jest jak dziecko: trzeba mu dawać rzeczy stopniowo.”

„Pojąłem, — rzekł Konrad. — I nie kryję, iż nie po raz pierwszy słyszę takie dyskursy. Zatem, waszym zdaniem, ludzkość miałaby się dzielić na dwie kategorie: jedną, złożoną z przeważającej większości, czyli trzódkę, która nie wie i nie rozumie; drugą tworzoną przez garstkę wybrańców, którzy wiedzą. Prawdziwi mędrcy, jedynie depozytariusze arkanów i spraw tajemnych, którzy sami sobie powierzają obowiązek prowadzenia ludzkości... dokąd?”

„Do doskonałości. Zgodnie z zamysłem Stwórcy”.

„Sądziłem, iż Pan nasz, Jezus Chrystus, powierzył to zadanie wyłącznie Kościołowi. Rzym zawsze opiekował się uczonymi i wielu papieży też nimi było. Teraz wszakże, jeśli pozwolicie, i ja wam poprorokuję: wzięwszy pod uwagę wasze cele, sielanka skończy się prędzej czy później, a wy będziecie usiłowali zająć miejsce Kościoła w tej dziedzinie.

„I nie myślę się mniemając, iż w końcu wasze cele okażą się odmienne od naszych (mówię tak, bo jak wiecie, i ja jestem człowiekiem Kościoła). Wy chcecie zostać ludźmi posiadającymi jedynie wiedzę. Natomiast Kościół chce czegoś więcej i czegoś innego: pragnie, by ludzie byli święci”.

„I powiodły się, jak dotychczas, te zamiary Kościoła?” sarkastycznie zapytał mag.

„Jeśli zaczniemy od dnia Męki naszego Pana aż do obecnego roku Pańskiego, rzekłbym iż tak. W każdym razie wszystko zawsze czynione było w blasku słońca, zgodnie z nakazem Chrystusa. Wy, z waszym tajemnym sposobem postępowania, doprowadzicie ludzkość do popadnięcia w niewolę gorszą, niżli niewola grzechu”.

Mag zaczął się uśmiechać i ponownie nalał wina. „Po cóż jednak mącić tę rozmowę tym, co dzieli? Porozmawiajmy raczej o tym, co w tej chwili nas łączy”.

„A cóż to takiego nas łączy?”, zapytał Konrad, przystępując do posiłku.

„Już wam powiedziałem: chcę pójść z wami tej nocy”.

Konrad wytarł usta serwetą i wyprostował się na krześle.

„Czy nie powinniście być na dworze Fryderyka, waszego protektora?”, spytał.

„Och, właściwie nigdy tam nie przebywam. Mój pan dobrze wie, że niemożliwe jest utrzymać mnie dłużej w jednym miejscu. Odwzajemnia usługi, które mu często oddaję, obdarzając mnie pełną swobodą działania, a zwłaszcza zadając mało pytań”.

„Ja zadam ich wam kilka, jeśli pozwolicie”, odparował Konrad.

„Jestem do waszej całkowitej dyspozycji”, przychylił się tamten do prośby.

„Jakim sposobem doszło do tego iż Cech Serowarów podarował wam tę wieżę?”, rozpoczął Francuz.

„Kiedy ostatnio Fryderyk przybywał do Pizy, byłem w jego świcie. Przy tej okazji podpowiedziałem Zaprzysiężonym Mistrzom drobny sposobik na powiększenie masy serów bez dodawania mleka”.

„Skąd wiecie, kim jesteście i co zamierzamy robić tej nocy?”, nalegał Konrad.

„Panie, nie sądzicie doprawdy, by inkwizytorzy byli jedynymi, którzy potrafią prowadzić dochodzenie!”, mag zaśmiał się szyderczo.

Mnich zrewanżował się uśmiechem: „Ach, tak! Przyznaję, głupio zapytałem. Ostatnia sprawa: dlaczego?”

Tamten spoważniał, zmrużył oczy i, wychylając się w stronę Konrada, rzekł: „Szukam pewnej rzeczy”.

„A... nie zechcielibyście w swej uprzejmości wyjawić nam czego?”

Czarnoksiężnik chwile się zastanawiał: otworzył z wahaniem usta, potem je zamknął. Wreszcie się zdecydował.

„Szukam Graala”.

Obaj przyjaciele popatrzyli po sobie ze zdziwieniem. Gaddo, który już wcale się nie bał, lekko się uśmiechał.

Przełamawszy zakłopotanie Konrad powiedział: „Nie twierdźcie poważnie, iż wierzycie w istnienie Graala! To tylko legenda z bretońskich pieśni! A poza tym, dlaczego tutaj, w Pizie?”.

„Wiedziałem, że nie uwierzycie mi, dlatego też wahałem się z wyznaniem wam tego. Lecz będę z wami szczery. Choć nie jestem całkowicie pewien jego istnienia, to wiem z doświadczenia, że wszystkie legendy zawierają ziarno prawdy i wiele z tego czego się w życiu nauczyłem, znalazłem właśnie na drugim końcu nici przewodnich baśni.

„Otóż, jedna rzecz jest pewna: katarzy czegoś strzegą. Czegoś tak cennego, że godne jest wszelkiej ofiary. Czegoś, co znają jedynie najwyżsi przywódcy sekty i co zabierali ze sobą, uciekając przed wielkimi prześladowaniami, z miasta do miasta, z zamku do zamku.

„W wyniku studiów i poszukiwań, które próżno by tu opisywać, doszedłem do wniosku, iż to coś jest tym, o czym wam rzekłem i że teraz znajduje się w Pizie. Od lat podążam za nimi wszędzie, gdzie się przenoszą, przybывая wciąż nieco za późno. Ta noc wszakże jest tym właściwym czasem. Tym razem będę przygotowany”.

„Do czego przygotowany?”.

Głos maga przycichł, stając się ponurym szeptem: „Jest to wigilia Wszystkich Świętych, chwila najodpowiedniejsza do uwolnienia się z łańcucha sił, których nawet sobie nie wyobrażacie. Dziś w nocy obecny będzie ich papież, jedyny żyjący potomek Merowingów, jedyny, który może spełnić obrządek z Graalem.

„Posiada on wiedzę niewyobrażalną. Lata całe strawiłem, by wznieść się na jego poziom, chociaż jego krew daje mu nad Graalem władzę, jakiej ja nigdy mieć nie zdołam. Jednak ja jestem jedynym, który może mu się skutecznie przeciwstawić”.

Konrad był wstrząśnięty tymi rewelacjami, jakże odległymi od tego, czym on żył, jakże poruszającymi, jeśli były prawdziwe, jakże trudnymi do przyjęcia przez umysł, taki jak jego, po chrześcijańsku pozytywny i konkretny.

„Nie ukrywam, że z trudem przychodzi mi uwierzyć we wszystko, o czym mi tu mówicie, — rzekł. — Skłaniam się raczej ku przekonaniu, iż nadmiar studiów zepsuł wam głowę i że w końcu widzicie wszystko bardziej tajemniczym, niż jest w istocie”.

Mag zaczął mówić swoim normalnym głosem: „Panie, czy mi wierzycie, czy nie, nie ma to znaczenia. Wystarczy, że pozwolicie mi pójść z wami dzisiejszej nocy”.

Konrad zamyślił się.

„Dlaczego twierdzicie, iż merowińska krew daje temu katarowi... władzę nad Graalem?”

Scoto milczał przez chwilę, i wpatrując się uważnie w mnicha rzekł: „Dajcie mi słowo, iż

to, co wam wyjawię, nigdy nie wyjdzie z tej komnaty”.

Konrad spojrział na Gadda i przytaknął: „Macie moje słowo”.

Mag, zamyślony, zdawał się dobierać odpowiednie zdania. Po paru chwilach jednak rozpoczął: „Są tacy, którzy wierzą, że Chrystus nigdy nie umarł. Miał jakoby przeżyć ukrzyżowanie, lub też ktoś inny został zabity zamiast Niego. Katarzy twierdzą, że naprawdę był to demon, na którym wykonano wyrok. Ale to nieważne.

„Chrystus i Magdalena uciekli morzem i przybili do Francji, gdzie dali początek dynastii Merowingów. To ich potomkowie mają prawo do tronu świata. Dlatego też władcy Ziemi prześladują ich i starają się zgładzić. O ile wiem, tak to wygląda”.

„A wy w to wierzycie?”.

„Ja wierzę tylko w pełną wiedzę. I z tej przyczyny chcę znaleźć Graala. Kto spojrzy do wnętrza świętego kielicha, w mgnieniu oka posiędzie absolutne poznanie wszystkich rzeczy”.

Gdy to rzekł, w jego wzroku zapłonęła pożądliwość. W czasie gdy mówił, oczy mu się rozświeciły, zaś ciało zdawało się rosnać i potężnieć. Gaddo poczuł, że widok ten wstrząsa nim do głębi.

Potem złudzenie prysło i przez długi czas panowało milczenie.

Konrad potrząsnął głową: „Na mą wiarę, słyszałem niemało bzdur, lecz ta bije je wszystkie na głowę. Zatem wyjaśnijcie mi: skoro w Graalu nie ma krwi Chrystusa, to co w nim jest?”.

„Tego nie wiem — odparł mag, kiwając głową. — Tak czy inaczej, zależy mi okrutnie, by się tego dowiedzieć. Pomożecie mi?”

Francuz milczał przez chwile, a potem powiedział: „Nie obchodzi mnie, co robicie i dlaczego. To sprawa wasza i waszej duszy. Pójdziecie z nami. Nie wiem, co tam znajdziemy, lecz może wasze techniki... przydadzą się nam. Lecz uwaga: jakiegokolwiek są wasze prawdziwe zamiary, bawcie, byście nam nie przeszkadzali. Uznam was odpowiedzialnym za najmniejszy czyn, który może zaszkodzić naszej akcji”.

Mag uśmiechnął się: „Przekonacie się, że będziecie mnie bardziej potrzebować aniżeli ja was! A teraz wypijmy za powodzenie naszej wyprawy i za Graala!”.

Napełnił kielichy i uniósł w górę swój, powstając. Tamci dwaj poszli w jego ślady. Gaddo musiał trzymać swój kielich w obu rękach, tak się trząsał.

„My pijemy tylko za powodzenie wyprawy”, rzucił Konrad w twarz czarnoksiężnikowi, który wzruszył ramionami.

Wypili, odstawili kielichy i pochyłili się w milczeniu na znak pożegnania.

„Do zobaczenia w nocy!”

„Do zobaczenia”.

Gaddo wyszedł pierwszy, trzymając się za żołądek, gdyż obiad podchodził mu do gardła.

Konrad obrócił się w progu i zapytał: „Jeśli pozwolicie, skąd pochodzą owe czerwone owoce?”.

Mag zaśmiał się i wziął jeden. „To powinny być złote jabłka z Ogródu Hesperyd. Ruszyłem śladem legendy i znalazłem je... za Słupami Herkulesa”.

„Nie powiecie mi, żeście tam dotarli!”

„O, nie! Dostałem je od pewnych marynarzy z Thule, którzy przechowali je w śniegu. Mówili, że jest ich tam mnóstwo, za morskim oceanem. Wszyscy uważają, że Ogród Hesperyd jest na Wschodzie lecz ja utrzymuję, iż leży na Zachodzie. Kto wie, czy kiedyś tam się nie wybiorę. Jestem przekonany, że w gruncie rzeczy prawdziwa jest legenda św. Bernarda oraz Góra Magnesowa i inne opowieści. Jak wam powiedziałem, wszystkie legendy wspierają się na prawdzie”.

Konrad przytaknął, potem wyszedł zamykając drzwi.

„Co teraz?”, spytał Gaddo, gdy już znaleźli się na ulicy.

Twarz Francuza była szara i zachmurzona, jak niebo, które o tej porze unosiło się nad Pizą. Zerwał się wiatr i wyglądało, że może wieczorem spadnie deszcz. Błede cienie, poszum drzew, które od czasu do czasu zrzucały z siebie krótkotrwałe zamiecie liści, posępne domy: wszystko zdało się przygotowywać do tej nocy.

Opustoszałe tego ponurego popołudnia ulice wzmagały udrękę brzucha Gadda. Złorzeczył po cichutku. Zaczął drzeć z zimna. Popatrzył z boku na przyjaciela, ale nie odezwał się ani słowem.

„Idziemy, — rzekł Konrad. — Musimy się przygotować do nadchodzącej nocy”.

Otulili się płaszczami i poszli, jeden miarowym krokiem, pełen napięcia; drugi zaś starał się z nim zrównać i często się potykał.

W miarę jak się posuwali, pojawiały się w umyśle pytania, spychane przez odpowiedzi, które rodziły nowe pytania.

„Wybacz, Konradzie. Jeżeli jednak prawdą jest to, co mówił Michał Scoto, to dlaczego ten potomek Merowingów jest katarem? Powinien raczej sam zapewnić sobie potomstwo i to, w miarę możliwości, liczne! A nie zabraniać sobie rozmnażania się z powodu przynależności do tej sekty!”.

„To, o czym mówił Scoto nie jest prawdziwe, — powiedział Konrad. Pan nasz umarł na krzyżu i tyle osób to widziało. To nie podlega dyskusji. Zatem są dwie możliwości: albo ten katarski papież rzeczywiście jest przekonany, iż pochodzi od Chrystusa, a wtedy warto zobaczyć, co uważa za Graala, albo...”.

„...albo?”.

„Albo Michał Scoto poszukuje czegoś innego”.

„Zauważymy to w każdym razie! Jak może sądzić, że ukryje przed nami swoje zamiary?”.

„Przygotuje coś na koniec. Musimy się mieć na baczności”.

„To po co iść razem z nim?”.

„Tej nocy będzie ich tam wielu, i on o tym wie. Nie jest czarodziejem, bądź spokojny. To

tylko gnostyk, jakich wielu. Niestety, wszystkie herezje stanowią po prostu odmiany jednej jedynej, prawdziwej, odwiecznej herezji: gnozy. Od wieków istnieją ludzie przekonani, jakoby Chrystus miał powierzyć pewnym osobom tajemną naukę. Lecz to nieprawda. Odkupiciel wyraźnie nakazał, żeby «wołać na dachach» o tym, co On mówił «na ucho», gdyż nie ma nic ukrytego, co nie stanie się jawne. Gnostycy natomiast od początku sądzą, że sam Bóg od początku dał tylko «wtajemniczonym» klucze do zrozumienia wszechświata. Stąd wrogość do Kościoła, który, ich zdaniem, miał się stać uzurpatorem roli przewodnika, należącej do nich.

„To pułapka, jaką szatan zastawia na umysły najbardziej rozbudzone, na najuczeńszych, najinteligentniejszych.

„Zaczyna się od intelektualnej pychy z powodu dużej wiedzy a kończy na uznaniu się za «wtajemniczonego», stworzonego do wielkich rzeczy. I od tej pory niezwykle łatwo zacząć pogardzać innymi, mniej uzdolnionymi.

„Ale nie dostrzegasz tego. Odczuwasz potrzebę czynienia dobra bliźnim, i niestety: z wysokości swej wybitności schylasz się ku tym, którzy, twoim zdaniem, nie wiedzą jakie jest ich prawdziwe dobro.

„W ten sposób popadasz w filantropię, myląc ją z chrześcijańską miłością miłosierną. To jednak nie miłosierdzie, gdyż nie jest czynione w pokorze i miłości Bożej. Bliźniego kochać trzeba jak siebie samego, ale Boga — bardziej niż siebie samego. Filantropi chcą zastępować Boga w określaniu tego co dobre i co złe dla ludzkości. I najczęściej stają się ciemieżcami i to najgorszego rodzaju.

„Nie, ten jest tylko gnostykiem. A tej nocy potrzebuje pomocy, gdyż z całą pewnością jego pseudonaukowe sztuczki nie oprą się zgrai gotowych na wszystko katarów”.

„Czy więc nie mógł nam opowiedzieć logiczniejszej historii?”

„O, nie! Wtedy nie rozpaliby wystarczająco naszej ciekawości i nie przekonał o nieodzowności jego pomocy. Najlepsze kłamstwo to takie, które — choć nierealne — jest najbliższe prawdy. Pociąga bardziej niż kłamstwo logiczne, lecz całkowicie zmyślone”.

„Które jest najbliższe prawdy?”, wtrącił w tym miejscu Gaddo, zdumiony i oszołomiony.

„Owszem. Nasz przyjaciel czarnoksiężnik wie, że jestem Francuzem. Po Francji istotnie krążyła ta opowieść o Merowingach, potomkach Chrystusa. Podobno rozpuścili ją kiedyś sami Merowingowie, żeby nadać swojemu panowaniu aurę świętości. Dzisiaj zna ją niewielu ludzi. Jakiś starzec pamięta, że słyszał ją w dzieciństwie. Nikt, oczywiście, nie uwierzył w nią; jednak nie jest czymś nowym. Michał Scoto zagrał na prawdopodobieństwie, że ja ją znam”.

Gaddo otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz zrezygnował i milcząc kroczył naprzód, wstrząsany dreszczami.

Gdzieś w dali przetoczył się grzmot, gdy dotarli do arcybiskupstwa. Tam bez zwlekania poprosili o posłuchanie.



Witalis wysłuchał wszystkiego co do słowa, utkwivszy wzrok w stojącym na stole srebrnym krucyfiksie. Na jego twarzy, w miarę jak Konrad mówił, rozpościerał się powoli ciężki woal starości; zmarszczki głębiej bruździły czoło, wargi stawały się obwisłe.

Pod koniec wyglądał niczym ucieleśnione zmęczenie i przygnębienie. Wreszcie opadł z grymasem bólu na siedzenie krzesła.

„Dostaniecie ludzi do pomocy. Poproszę o nich rajców miejskich. Będę musiał skłamać, ale w dobrym celu”.

Delikatnie potarł palcami powieki.

„W tej sytuacji zdaje się również zarysowywać pozycja Szymona Viscontiego. Co o tym sądzicie?”, dodał.

„Owszem, monsignore, — odpowiedział Konrad. — Myślałem o tym idąc tutaj. Wydaje się, iż ten katarski papież stanowi łącznik całego wydarzenia. Jest czymś, ma coś albo wie o czymś, co posiada istotne znaczenie dla wielu ludzi”.

„Można by także sformułować hipotezę o śmierci tej Sciancati! — wtrącił Gaddo. — By może, jako kochanka Viscontiego dowiedziała się o wszystkim i to kosztowało ją życie! W takim razie cała sataniczna otoczka stanowiłaby wybieg żeby wywieść wszystkich w pole.”

„Tak, to możliwe”, przyznał Konrad.

„Jednej wszak rzeczy nie rozumiem! — zauważył arcybiskup. — Mój Boże, co za głupstwa plotę. W tej sprawie nie rozumiem tylu rzeczy, a nawet wszystkich. Lecz co do jednej szczególnie oczekuję w tej chwili wyjaśnień, oczywiście, jeśli potraficie mi ich udzielić.

„Jak się zdaje mag Michał przebywa w mieście już od dawna. Czy to możliwe, że dotąd nie odkrył, gdzie się gromadzą heretycy, co wam doskonale się udało?”.

„Sądzę, że mogę na to odpowiedzieć, monsignore, — rzekł Konrad. — Widzicie, Michał Scoto, jakkolwiek szcwany i zręczny, także ma granice. Jeśli ja odkryłem miejsce spotkań katarów, a on nie, to dlatego, iż nadarzyła mi się przypadkowa sposobność, której on nie miał. Pierwsze wskazówki dał mi pewien były katar, ubogi żebrak. Na niekorzyść Scoto działa fakt, iż prowadzone przez niego zbyt szczegółowe i szeroko zakrojone śledztwo, doprowadziłoby do ujawnienia jego obecności w Pizie. Niewielu zna go z widzenia, lecz wszyscy znają go dzięki sławie, jaka go otacza. Człowiek, którego szuka nie jest głupcem: dla niego mieć się na baczności przed władzami, to rzecz normalna (pamiętajcie że, schwytani, katarzy zawsze mogą odwołać swe wierzenia). Natomiast wiadomość, iż sam Michał Scoto osobiście przybył tutaj i szuka informacji o katarach, spowodowałaby natychmiastowe umknienie tego, którego mag szuka od lat”.

„Skąd zatem wie, iż spotkanie odbędzie się tej nocy na cmentarzu?”.

„Wykoncypował to. Zna widać na wylot naukę katarów i wie, iż ostatnie stopnie sekty kończą się w satanizmie. Potwierdzenie co do czasu i miejsca zdobył wysłuchawszy, zadziwiającym i szczęśliwym zbiegiem okoliczności, końcowej części mojej z ojcem Casalbertim rozmowy. A zresztą, teraz kiedy tak zwróciliście mi na to uwagę, sądzę iż może to rzeczywiście nie był przypadek”.

Arcybiskup wstał powolutku, z wielkim trudem.

„Tak, czy siak, — powiedział, — wszystko się tej nocy wyjaśni, ufam iż całkowicie i ostatecznie. Moje modły będą towarzyszyć waszemu przedsięwzięciu. Teraz idźcie. Zezwalam wam odejść”.

Obaj pochylili się jednocześnie, by ucałować pasterski pierścień na chudej długiej dłoni, którą podał im starzec.

Rozmowa była skończona.

XVI.

Strony lekcjonarza obracały się spokojnie, ciężko, jedna za drugą.

Niezwykle zagmatwane miniatury pojawiały się od czasu do czasu, oplatając czerwone i czarne litery. A zaciekawione oko czułoby pokusę zatrzymania się na nich, by rozpoznawać te postaci, prześledzić sploty liści albo skręcone ogony niezwykłych zwierząt, by zaczerpnąć przyjemności z zachwyty, jaki wzbudza w nim fantazja artysty, zręczność ręki, cierpliwość palców.

„Oko nigdy nie jest syte, — pomyślał Konrad, odprawiając mszę. — Dziwne to i prawie niewiarygodne. Dlaczego jednak obrazy tak nas pociągają? Czy fascynują one same, czy też to, co przedstawiają? Nie, na pewno nie. Nie to, co kryje się za obrazem stanowi źródło rozkoszy, lecz obraz sam w sobie; zaiste, często właśnie najbardziej pociągają przerażające przedstawienia.

„Jaki rodzaj postaci najczęściej oślepia? Z całą pewnością taki, który najmocniej dotyka naszej wyobraźni. Lecz oczarowanie trwa zaledwie moment. Kiedy oko nasyci się jego intensywnością, obraz staje się czymś już widzianym. Po pewnym czasie wkrada się znudzenie. Chcemy oglądać coś innego. A jeśli chce wzbudzić nasze zainteresowanie musi zrodzić silniejszy dreszczyk niż obraz wcześniejszy.

„Pożądliwość oczu. Straszliwe zagrożenie dla zbawienia duszy. Święci od początku nakazywali, by się wystrzegać tego wroga.

„Tak, gdyż ten demon często przemyka niepostrzeżenie, lecz przenika do tych stref umysłu, o których istnieniu nawet nie wiemy, odkrywa wspomnienia, których nie zarejestrowała świadomość, odsłania ukryte i niewyobrażalne pragnienia, budzi piekielną bestię, obecną w każdym człowieku i kryjącą się w najskrytszym zakamarku serca, skąd wypływają sny o świcie, w królestwie nagiej wyobraźni.

„A przecież wszystko, co Bóg stworzył jest dobre, przyznał Konrad. Ileż grzechów popełnia się w sferze płci! Co nie znaczy, by narządy płciowe były narzędziami potępienia. Co więcej, Kościół zawsze zachowywał należyne dystans wobec wszelkiej anielskości, widzącej w ciele jedynie narzędzie zepsucia.

„Podobnie rzecz się ma z obrazami. Kościół, ograniczając pole artysty do tego, co realne lub alegoryczne, zmusza wyobraźnię do możliwie największej bliskości z Bogiem. To zaś,

dalekie od wytwarzania skutków ograniczających sztukę jako taką, nakłania formy wyrazu do przechodzenia ciasną bramą boskości, bowiem w tym kierunku dusza może niechybnie odnaleźć rozmaitość kształtów, za którą wzdycha.

Wszystkie atrybuty boskości. Nieskończone aspekty Boga. Niewyobrażalne wspaniałości Tamtego Świata. Piękno, które z definicji jest dobre i prawdziwe...”.

Od dawna już nie udawało się Konradowi odprawić mszy bez roztargnienia. Przypisywał to wydarzeniom ostatnich dni. Po prawdzie jednak tak było od lat, a nawet niemiłe mu się zdawało wszelkie nabożeństwo, wszelka modlitwa, wszelka forma pobożności.

Jeszcze zanim rozpoczął już wiedział, że nie znajdzie żadnego upodobania w tym co czyni w dziedzinie praktyki religijnej. Chwile, godziny spędzone na skupieniu duchowym lub na rozmyślaniu kończyły się irytującą i ciągłą walką z roztargnieniem.

Stary kierownik duchowy tłumaczył mu, iż często Bóg odbiera upodobanie do modlitwy w jej rozmaitych kształtach, bowiem chce, by dusza nie przywiązywała się do niej, by nie tyle szukała boskich pocieszeń, ile Boga pocieszającego. A jeszcze lepiej: Boga, i kwita.

Jednak wiedza o tym niczego nie zmieniła. Wolałby robić coś innego, coś najskromniejszego i najmizolniejszego, byleby uwolnić się od tej tortury umysłu, od tego zmagania się z własną wyobraźnią.

I tak nieustannie trwała ta zabawa w chowanego z sobą samym, w usprawiedliwianie się z powodu braku gorliwości, w samooskarżanie i samowybaczenie, we wracanie myślą do tysięcy codziennych trosk a następnie w przepędzanie ich. Musiał wciąż na nowo brać sam siebie za kark i znowu przenosić się tutaj myślą, zrozpaczony, wyczerpany. To było szarpanie nerwów, które odbierało siły, nękało, nie dawało odetchnąć.

Owszem, wiedział, że modlitwa nie musiała oznaczać dzikiego wysiłku, chociaż wewnętrzna walka zawsze zasługiwała na nagrodę. Wiedział, że Bóg dopuszcza, by niektóre dusze grzęzły w swych słabościach — choćby to nawet były prawdziwe grzechy śmiertelne — aby nie wbiły się w pychę, najgorszy ze wszystkich grzechów. To także była miłość Boga do stworzeń. Wiedział, że niekiedy należało poluzować więzy i się rozerwać, by zbytnio nie nadwreżyć systemu nerwowego. Przychodzi chwila, kiedy już dłużej naprawdę nie można wytrzymać!

„Ale jaka to chwila? Czy już nie mogę dłużej, czy też ostatnim wysiłkiem jeszcze bym wytrzymał? Czy mogę sam rozstrzygać, w której chwili przestać? Czy nie byłby to brak ufności do Boga, który wszystkich obdarza łaską stanu?”.

Jak postępować? Czy naśladować przykład świętych, z których wielu spędzało niezliczone godziny na modlitwie? Czy naśladować Chrystusa, aż do krwawego potu? Czy nie jest może grzechem pychy sądzić, że można naśladować takich olbrzymów duchowości, o Chrystusie już nie wspominając? A może grzechem lenistwa jest wyszukiwanie wymówek, by nie podjąć naśladownictwa?

W ten oto sposób życie duchowe Konrada, z powodu diabelskich sidła przemieniało się,

od argumentu do argumentu, od sofizmu do sofizmu, w obsesji umysłową.

Doskonale wiedział, kiedy wpadał — jakże często — w te błędne koła, z których wydobywał się jakby pomniejszony i z bólem głowy. I jak zwykle, na koniec, załamany wewnętrznie, z sercem pełnym rozpaczony wołał: „Panie Jezu Chryste! Ulituj się nade mną!”.

Nie jeden raz był w takim położeniu, że miał ochotę zrzucić habit. Często fizycznie zdarłby go z grzbietu. Jednak w ostatniej chwili rezygnował.

„Panie, do kogóż pójdziemy?”.

Wszystko to jednak wpłynęło na właściwy mu wygląd człowieka smutnego i pogrążonego w myślach. Ciągłe wewnętrzne wrzenie naznaczyło jego oblicze znakiem nieprzespanych nocy i jedną, głęboką, pionową bruzdą między brwiami, pośrodku czoła.

Jednego wszakże nie potrafił wytłumaczyć, a mianowicie, jak to się działo, iż pomimo ciągłego niepokoju, w głębi serca — bardzo głęboko — czuł spokój. Spokój dziwny, nieokreślony i niewyjaśniony. Można by rzec, nielogiczny. Lecz dlatego właśnie, z całą pewnością, boskiego pochodzenia. Głęboko, bardzo głęboko nie czuł się sam.

Znał ludzi, którym życie dawało wszystko: urodę, pieniądze, spokojne bytowanie, radość. Ludzi, którzy osiągnęli to, co chcieli osiągnąć, którym pełnia dojrzałości przyniosła powszechną aprobatę, ładną i dobrą małżonkę, ładne i dobre dzieci. I nagle, którejś nocy budzili się. I czuli się osamotnieni. Nieskończenie osamotnieni. Osamotnieni przez tego Boga, którego — zbyt zajęci bieżącymi sprawami — nigdy nie szukali. I w takiej chwili doznawali, pomimo pewności swoich ludzkich zabezpieczeń, całej dręczącej tymczasowości istnienia. Sami, pośród przemijania świata. Sami, z przeszłością, która przeminęła, chwilą obecną, która przemija i przyszłością, której nie ma. Sami.

Ale Konrad tak się nie czuł. Nie pojmował dobrze tej podniosłej i przerażającej sprawy. To było jak chodzenie po wodzie. Lecz ta woda zdawała mu się solidniejsza niż stały grunt.

Było coś, co ponad tym wszystkim trzymało go bezpiecznie. Jakaś cieniuteńka nić, niedostrzegalna a jednak wyczuwalna, słaba a jednak istniejąca. Czuł, że Bóg pozwalał mu wymachiwać rękami i nogami żeby nauczył się pływać, lecz nie pozostawia go samego, ani na chwilę. Jak długo jeszcze ma trwać ta próba?

„Przeprowadziłeś nas przez wodę i ogień. Sprawiedliwy zostanie wypróbowany ogniem, niczym złoto. Zostaniecie ogniem wytrawieni”.

A przecież święty Paweł nakazywał, by zawsze być radosnym! Gdzież jednak znaleźć siłę, by się uśmiechać, kiedy duszę nieustannie trapiła udreka? A jakim okiem patrzył bliźni na smutną i naznaczoną zgryzotą twarz? Co pomyśleliby, co myśleli ludzie widząc go takim? Że w chrześcijaństwie nie ma miejsca na radość?

Drgnął. Odnalazł wreszcie właściwą kartę w lekcjonarzu, zaznaczył ją zakładką. Wzniósł rękę i zaczął się modlić z pamięci, Gaddo zaś przygotowywał wodę i wino.

Ten fragment, jak wiele innych, znał prawie na pamięć. Jeszcze raz skierował spojrzenie na miniatury. A razem ze spojrzeniem — myśl.

„Co się stanie, gdy kiedyś Kościół rozluźni, jeśli to kiedykolwiek zrobi, czujność względem sztuki? Kiedy każdy będzie mógł zdobyć wszelkie, jakie będzie chciał, obrazy? Będziemy żądać, by wyrwać się ze świata realnego, z codziennej szarości tej doliny łez! Wszyscy, razem z duchownymi, będą się domagać coraz większej porcji rozrywek. Ja chyba śnię!

„Uspokój się, Konradzie. Zacząłeś filozofować na temat naszego celu ostatecznego? Możesz się stać antypatyczny, jak wszyscy czczący to co dawne, tylko dlatego, że dawne. Radzę ci, idź naprzód. Gdzie będzie nasz koniec, to sprawa potomności. Oraz Kościoła, do którego należy wskazywanie co zachowamy ze starego, a co odrzucimy z nowego”.

Nadszedł moment, by przyklęknąć. Całe szczęście. Ta drobna odmiana uprzytomniła mu, że znowu błądził myślami. Postanowił wpatrywać się w stojący przed nim krucyfiks, w tę twarz zapadłą, krwawiącą, ściągniętą bólem, a przecież wzniosłą i królewską.

„Panie, Ty wszystko wycierpiałeś. Tak nas uczą. Ale czy przeżywałeś kiedykolwiek cierpienia umysłu? Trwogę, zwątpienie, niepewność, niepokój... niezdecydowanie? Może w Getsemani? Czy cierniowa korona, którąś miał na głowie oznacza to właśnie? Może każdy cierń, to jedna z tych rzeczy!

„Wisisz na krzyżu... jak ja. Ziemia Cię nie chce, niebo też nie. Nie możesz się nawet poruszyć, nawet oddychać. Każde poruszenie wzmaga ból. Nie możesz nic zrobić. Tylko cierpieć i czekać na śmierć.

„Istnieje wszakże jedna różnica między Tobą i mną. Ciebie przybili do krzyża. Ja zaś nie wiem, czy sam na nim zawisłem, czy też Ty mnie do niego przygwoździłeś.

„Wiadomo, kim są ci, którzy Cię przybili gwoździami: tchórze, obojętni, mający jakiś interes, wrogowie.

„Lecz sądzę, że był tam również obecny inny, liczny rodzaj ludzi. Ci, którzy modlili się do Ciebie i nigdy nie otrzymali odpowiedzi. Ci, którzy niczym nieme osły ciągnęli od dawna swe krzyże, nie wiedząc dlaczego. Ci, którzy tkwili po uszy w troskach i przykrościach, dla których życie było ciężarem i którzy się zemścili krzyżując Ciebie.

„To najcięższy krzyż, Panie: nie wiedzieć, czemu mamy dźwigać krzyż. Stąd płynie niezadowolenie z życia.

„A kiedy sąsiad ma więcej i lepiej, zaś my nie możemy zdobyć tego więcej i lepiej, wyrasta zazdrość. Natomiast zabranie mu tego, co ma więcej, nazywamy sprawiedliwością społeczną.

„Lecz nie koniec na tym. Gdybyśmy nawet mogli zgromadzić wszystkie bogactwa i całe fizyczne piękno, całe zdrowie i wszystkie okazje, i rozdzielić je, i zrównać góry, i zniweczyć odległości, ujednoczyć także klimat, to coś by pozostało: krzyże.

„Oto dlaczego ludzie wymyślają coraz bardziej złożone kształty nienawiści do Ciebie, aż do popełniania samobójstw, jak to robią katarzy — i, chwała niebiosom, tylko oni — żeby ci okazać ostateczną, najwyższą pogardę.

„Nie, Ty zstąpiłeś z nieba i nauczyłeś nas dźwigać krzyż. Ale nie powiedziałeś nam, dlaczego”.

„Dlaczego?”

„Amen!” rzekł Gaddo powściągliwym tonem, spoglądając na niego z ukosa.

Ależ tak! Czytanie listu skończyło się, trzeba było powiedzieć „amen”, a on zamiast tego powiedział „dlaczego?”. Spojrzał na przyjaciela przepraszająco i kontynuował. Gaddo wyrozumiale potaknął, lecz wznosił oczy w górę, potrząsając głową.

Konrad odprawiał dalej msze, lecz myślami wciąż przebywał gdzie indziej. Nie udawało mu się skupić. Każde słowo, które odczytywał, każdy przedmiot, na który patrzył wywoływały w nim łańcuch myśli, które prowadziły go daleko. Pokusa. Podstępna diabelska pokusa.

„W gruncie rzeczy — myślał — twojemu szatanowi stróżowi nie zależy, by cię natychmiast skłonić do grzechu. Spokojnie, do tego doprowadzi cię później. Najważniejsze, byś nie robił tego, co masz robić *hic et nunc*. Iluż ludzi popełnia czyny, o jakich nigdy by nie śniło, właśnie z powodu tego rodzaju pokusy, pozornie neutralnej, ukazywanej *sub specie boni*. W końcu, cóż w tym złego? Większość zatraczeń zaczynała się w ten sposób.

„Znowu!”. Kolejny raz, ze znużeniem, Konrad zebrał myśli i skierował je na ołtarz.

„Wytrzymać. To jest pokusa. Przejdzie. Lecz każda pokusa ma swe podwaliny. Dotyka cię w najsłabszym twym punkcie. To może być właściwie dobry system, by poznać samego siebie. Jakież jest zatem mój słaby punkt. A może nie chce dopuścić do siebie myśli, że go mam?”

Nagle stanęła przed nim prawda, cała prawda, jasna w swoim przerażającym blasku.

„Wiara!”. Tak, wiara! Kuszony był w wierze, gdyż w rzeczywistości nie miał wiary! Nie wierzył!

„Kimże jest dla mnie Bóg? Niczym! Bóg jest dla mnie niczym! Och, Panie, pomóż mi! Nie opuszczaj mnie w ciemnościach pustki i zwątpienia, miej litość nade mną! Gdzież jesteś! Dlaczego się ukrywasz! Dlaczego nigdy nie odpowiadasz! Nigdy!!!”

Konrad przesunął dłonią po oczach. Drżał. Gaddo zauważywszy, że się chwieje, podtrzymał go za ramiona, zatroskany, bojąc się, że lada chwila upadnie.

„Co ci, przyjacielu? Co się z tobą dzieje?”, wyszeptał.

„Cierpliwości, sam odprawiaj”, rzekł Konrad i zszedł ze stopni ołtarza, zdejmując szaty liturgiczne.

Usiadł w ciemnym kącie kaplicy, a Gaddo sam kontynuował odprawianie liturgii. Tak, to było to. Teraz nie warto było ukrywać tego przed sobą. Nie miał wiary. Nigdy jej nie miał.

„Wiara. *Fides*. Wierność. Ufność.”

Wierzył w istnienie Boga, Boga chrześcijan. Lecz była to rzecz czysto intelektualna, abstrakcyjna, odcieleśniona. Jego religijność zatrzymała się w głowie, lecz nigdy nie zstąpiła aż do serca, nie przeniknęła całej jego istoty, nie ożywiła wszystkich jego czynów; nie

dawała pokój, radości i ukojenia, lecz walkę, wysiłki i udrękę bez końca. Dlatego, że nie miał ufności.

Nigdy nie dostrzegł ręki Boga w swoim życiu, ani w sprawach świata. Lub może patrzył, nie widząc. A zresztą, co daje patrzenie, skoro się nie umie lub nie chce widzieć? W każdym razie wszystko, co się zdarzyło, dobre lub złe, zawsze miało wyjaśnienie racjonalne: albo, jak kto woli, irracjonalne.

Sprawy na ziemi zdawały się toczyć tak jak suma błędów, niesprawiedliwości i cierpień, które same się mnożyły.

„Gdzież w tym wszystkim Bóg, gdzie? I dlaczego rozpoczynać każdy święty dzień rozważaniem Męki, żeby móc ją widzieć na siłę i za każdą cenę? Co teraz czynić? Jak dalej żyć z tym wewnętrznym rozdarciem?”

Tu było jego codzienne umieranie, przebywanie na tym obszarze między dwiema niemożliwościami: ufego rzucenia się w ramiona Boga, albo odrzucenia Go. Poznania Boga za dobrze, by móc Go odrzucić, i poznania Go za mało, by móc Go kochać.

Nauczył się na pamięć świętych tekstów, myśli Ojców Kościoła. Ale na nic się to zdało. Mógł cytować jakikolwiek fragment jakiegokolwiek tekstu, mówiącego o Chrystusie, lecz to wszystko tylko powiększało rozmiary jego intelektualnego labiryntu.

Naśladować Chrystusa? Jak, gdzie, kiedy? Jak naśladować kogoś, kto zaproszony na przyjęcie nazywa swego gospodarza żmiją i grobem pobielanym? Kogoś, kto nierzadko traci cierpliwość i źle traktuje swoich najbliższych współpracowników oraz krewnych? Kogoś, kto przepędza biczem zmieniających pieniądze, którzy wykonywali jedynie swe zajęcie? Kogoś kto, z drugiej strony, zdolny jest do niesłychanej czułości i miłosierdzia wobec mętów społecznych i powstrzymuje się nawet z potępieniem prostytutki? Gdzież zatem być zdecydowanym, a gdzie pobłażliwym? Kiedy nadstawić drugi policzek, a kiedy stawić opór? Można oszaleć.

Bywał w pustelniach, odwiedzał ascetów, świętych mężów. Żaden z nich jednak nie rzekł mu słowa przekonującego, ostatecznego. Z wszystkich otrzymanych rad tylko jedna zapadła mu w pamięć i napełniła niejaką nadzieją: „Poczekaj; prędzej lub później Bóg cię spotka”. Lecz kiedy? Kiedy!!!

„Konradzie! Konradzie!”

Tak się pogrążył w swej udręce, że nie zauważył, że msza się skończyła. Gaddo rozebrał się już z szat liturgicznych i potrzasał nim.

„Co z tobą? Dobrze się czujesz?”

„Tak... tak, dobrze, dobrze. Któraż to godzina?”

„Na dworze już się ściemniło. Będzie akurat pora wieczerzy”

„Nie chce mi się jeść. Ale chodźmy. I nie martw się mną. Naprawdę nic mi nie jest. Będziesz się musiał przyzwyczaić do moich dziwactw. Wiesz, urodziłem się pod znakiem Skorpiona. Paskudny znak”

„Nie powiedziałbym. To znak świętego Augustyna!”.

„Ach!”.

„Na pewno!”, dodał Gaddo z naciskiem.

Zrazu Konrad wydał się zaskoczony. Potem jednak potrząsnął głową.

„No, no, bez porównań!”.

Wyszli, zostawiając za plecami nieruchome płomyki świec.

XVII.

Wkrótce nadeszła noc Wszystkich Świętych.

Ludzie skryli się za katedrą i za baptysterium. Niestety, rozległy plac pozbawiony był innych kryjówek lub miejsc zaciemnionych, w których można by się było schować. Takie rozmieszczenie, zresztą jedyne możliwe, doradził Konrad.

Nie było ich wielu, wszystkiego pięćdziesięciu, przychodzących pojedynczo, ze szpadami pod płaszczem. Większa ilość zbrojnych bez wątpienia ściągnęłaby uwagę.

Konrad i Gaddo zjawili się pierwsi, około jedenastej. Inni nadchodzili stopniowo, małymi grupkami, by nie rzucać się w oczy.

Nikt nie puszczał pary z ust.

Na cmentarzu panowała cisza. Ani żywej duszy. Milczenie nocy przerywały tylko posępne nawoływania dudka.

Okolo północy zjawił się Michał Scoto. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki stanął za plecami obu mnichów.

W tejże chwili chmury zasłoniły księżyc, co przejęło drżeniem Gadda. Mógł sobie Konrad opowiadać o gnozie, o pseudonauce i o sztuczkach: dla niego był to prawdziwy czarodziej, i kwita!

W ciszy i ciemnościach skulił się, stając blisko nich. I tak minęła kolejna godzina. Brama cmentarna była jednak wciąż zamknięta. Ani śladu wielkiego zgromadzenia, które miało się odbyć. Nikt nie wszedł przez te bramy, a innego wejścia nie było. „Chyba, że już są w środku”, zastanawiał się Konrad.

Lecz to było niemożliwe, gdyż widzieli, jak stróże wychodzili, zamykając bramy na noc. Czy być może, żeby i stróże byli katarami?

Tak czy owak, pozostawało tylko pójść i przekonać się.

Gestem głowy przywołał dowódcę straży, który stał w pobliżu. Przybliżył się, szybki i zwinny, i przycupnął osłonięty przez nich trzech.

„My idziemy się rozejrzeć — wyszeptał Konrad. — Możliwe, że wiadomość jest mylna. W każdym razie, bądźcie gotowi. Bramę pozostawimy uchyloną. Wkraczajcie na najmniejszy alarm”.

„Czy macie klucz?”.

„Tak, a także oliwę do zamka”.

Tamten skinął głową i odszedł w mrok.

Na znak dany przez Konrada zaczęli się skradać wzdłuż muru. Dotarłszy do bramy, powtórzyli stary sposób bezszelestnego otwarcia i weszli.

Tym razem nie musieli zabierać świętym świec. Zaledwie wzrok przyzwyczał się do ciemności, dostrzegli słabe światło, przenikające przez alabastry jakiejś kaplicy, położonej w kierunku zupełnie przeciwnym od miejsca, w którym się znajdowali.

Pełni podejrzeń, skierowali się w tamtą stronę.

Na miejscu Konrad przyłożył ucho do drzwi. W środku panowała absolutna cisza.

Dał do zrozumienia tamtym dwóm, by pozostali w miejscu, a sam zaczął okrażać niezbyt dużą budowlę. Mogłaby pomieścić zaledwie parę osób. Wreszcie, na prawej ścianie znalazł niewielki otwór, okienko, położone jakieś dwa i pół metra nad ziemią. Podciągnął się w górę i zajrzał do środka.

Nie spodziewał się zastać wiele osób, ale nie sądził, że nie będzie tam nikogo: tymczasem kaplica była pusta. Jasność pochodziła od licznych świec ustawionych wokół płyty nagrobkowej, pośrodku posadzki.

Zeskoczył na ziemię i wrócił do pozostałych, którzy czekali na odpowiedź.

„Nie ma tam nikogo, — szepnął. — Chodźcie, wejdziemy”.

„Co to znaczy, że nie ma nikogo?”, mruknął z wahaniem Gaddo.

„To znaczy, że jedyne co się tam w środku porusza, to płomień tuzina świec!”, rozłożył się Konrad i, nie czekając, otworzył drzwi.

Wnętrze było prostokątne, długie i wąskie. W głębi ołtarz, po bokach wnęki, na ziemi płyty nagrobkowe. A także nisze z małymi figurkami, płaskorzeźby, kilka pyzatyh aniołków, kilka mistycznych potworów.

Mimo wszystko, kaplica wywierała wrażenie. I nie tylko z powodu miejsca, pory, ciszy i napięcia. Były tu kamienne oblicza. A twarze, oświetlone od dołu, mają w sobie zawsze coś przerażającego.

Weszli ostrożnie, stąpając instynktownie na palcach, choć pozornie nie było powodu do obaw, przynajmniej w tej chwili.

Wokół płyty stało istotnie dwanaście świec. Płaskorzeźba, którą oświetlały przedstawiała rycerza krzyżowca, w pozie śpiącego. U jego stóp leżał pies.

Gaddo odczytał napis: „Sir Roger of Trump...”.

„... Trumpington, — wtrącił Michał Scoto. — To Anglik.”

„Znaliście go?”, zapytał Konrad.

„Jego nie. Lecz już widziałem jego grób. W Cambridge”, odparł posępnie mag.

„Chcecie rzec, iż ten osobnik posiada dwa groby, jeden tutaj i jeden w Anglii?”, zapytał Konrad, nieswój.

„Te dwie skrzyżowane trąby w herbowej tarczy trudno pomylić. Powtarzam wam, że w

Cambridge jest grób taki sam jak ten. Widziałem go”.

„Czy nie mógłby to być ktoś o identycznym nazwisku, jakiś krewny?”, nie ustępował Konrad.

Mag zdecydowanie pokręcił głową.

„Nie. Jestem przekonany. Spójrzcie: daty urodzenia i śmierci są te same. Mam dobrą pamięć, bądźcie pewni. A i epitafium jest takie samo. Znacie angielski?”.

„Tak. Lecz jakim to sposobem jesteście tak pewni swego?”.

„Bywałem w Cambridge ze sto razy. To niewielka miejscina. Ta płyta znajduje się w jednym z głównych kościołów, na oczach wszystkich”.

„A jak wytłumaczycie ten przypadek?”.

„W rzeczy samej, nie mogę tego wytłumaczyć. Tak jak nie mogę wytłumaczyć, dlaczego palą się te świece, ani też dlaczego nie ma żywej duszy w miejscu, gdzie powinien się odbywać Wielki Sabat”, odparł czarnoksiężnik, schylając się, by dokładnie przyjrzeć się płycie. „Jednak... to dziwne. Popatrzcie!”.

Dwaj pozostali ukłękli przy nim i utkwili wzrok w miejscu, wskazywanym przez Michała Scota.

„Przypatrzcie się brzegowi tej płyty i porównajcie go z brzegami innych. Nic nie zauważacie?”.

„Brakuje śladów zaprawy wapiennej! — zawołał Gaddo. — Ten grób nigdy nie był zamurowany! Płyta tylko leży!”.

„Tak. Ale jest coś więcej! Świece. Nakapała z nich zaledwie odrobina wosku. To znaczy...”.

„...że zostały dopiero co zapalone, podczas gdy my od kilku godzin nie widzieliśmy, by ktokolwiek wchodził!”.

„Czy nie zechcielibyście i mnie cokolwiek wyjaśnić?”, wtrącił Gaddo.

Tamci nie raczyli nawet spojrzeć na niego, wpatrzeni w siebie pytającym wzrokiem..

„Czy myślimy o tym samym?”, zapytał Konrad.

„Tak, — odparł mag. — Pod tą płytą znajduje się przejście”.

„Ach! Teraz i ja zrozumiałem! — rzekł nerwowo Gaddo. — Wytłumaczcie mi jednak, kto i dlaczego ustawił świece?”.

„O to zapytamy potem, — orzekł Konrad. — Tymczasem pomyślmy, jak odsunąć tę płytę. Odwagi!”.

„Odwagi”, a niech to! — zawołał Gaddo. — Powiedzmy raczej „strachu”! Nie otworzymy tego nawet na cal, jeśli wprzód nie zawołamy ludzi, którzy czekają na zewnątrz!”.

I chciał rzucić się do wyjścia, lecz drogę zagroził mu Michał Scoto.

„Chwileczkę, drogi mój i niecierpliwy przyjacielu. Pomyślmy. Po pierwsze: trzeba będzie zachować absolutną ciszę, co jest możliwe we trzech a niemożliwe w pięćdziesięciu trzech. Po drugie: spójrzcie na rozmiary przejścia. Czekają nas z pewnością długi i ciasny korytarz; w

takiej sytuacji nie na wiele się zda taka gromada. Lepiej najpierw pójść i zobaczyć, dokąd prowadzi i co tam jest w dole. A poza tym, czego się boicie? Ja tu jestem!”

Wyrzekł to ostatnie zdanie i jego oczy zdały się ciskać błyskawice w źrenice Gadda. Stali tak przez dłuższą chwilę, jeden naprzeciw drugiego. Gaddo powoli, jak otepiały, obrócił się w stronę Konrada, czekając na rozkazy.

„Naprzód, poszukajmy czegoś, żeby unieść płytę!”, przeszedł do dzieła Francuz.

„Ale czego?”

Pytanie, zadane doskonale spokojnym tonem przez Michała Scota natychmiast zmroziło początek akcji. Konrad, zgnębiony, opuścił ręce.

„Tak, czego?”

Popatrzyli wokoło. Nie było nic, czym mogliby się posłużyć.

„Panowie, zastanówmy się trochę, — powiedział mag. — Czego szukamy? Lewaru? Łomu? Czy nie widzicie jednak, że szczeliny wokół brzegów płyty są tak wąskie, że nie weszłoby w nie nawet ostrze noża?”

Twarz Konrada rozjaśniła się: „To proste! Jest tu jakiś mechanizm!”

„Tak jest, mój przyjacielu. Nie może być inaczej. Pozwólcie mi zatem zademonstrować wam moją tu przydatność. Jak wiecie, mam pewną wprawę w obchodzeniu się z takimi zabawkami”

Staął z boku płyty i zaczął rozglądać się dokoła.

„Zastanówmy się nieco. Gdybym to ja wykonocypował to przejście, mechanizm otwierający umieściłbym...”

Przesunął się trzy kroki w lewo, potem bez wahania skierował się ku głowie diabła, która wychylała się z podstawy jednej z kolumn.

„...tutaj”

Nacisnął mocno jakiś punkt we wnętrzu rzeźby i płyta zapadła się w posadzkę, odsłaniając kilka stopni, wyłaniających się z ciemności.

„Jak to, u diabła, zrobiliście?”, osłupiał Gaddo.

„Właśnie, u diabła, — zachichotał szyderczo mag. — Widzicie, drogi mój przyjacielu, w gruncie rzeczy i wy moglibyście do tego dojść, gdybyście, jak ja, przyzwyczaili się do obserwacji i dedukcji. Moja zażyłość z urządzeniami mechanicznymi wskazała mi prawdopodobny zasięg lewarów oraz przeciwcieżarów skrytych w ścianach i w podziemiu. A ponadto... ze wszystkich figur tutaj, tylko ta jedyna jest demoniczna. Nie byłem pewien na sto procent, lecz na siedemdziesiąt, tak”

Wziąwszy do ręki jedną ze świec, eleganckim gestem zaprosił Konrada, by zszedł pierwszy. Schodki były wąskie i bardzo strome. Kończyły się u wylotu ciasnego korytarza, wydrążonego w glinie. Przeciskali się nim w milczeniu przez dobry kwadrans. Teren był spadzisty; wciąż schodzili w dół. Weszli na inne schody, potem w długi, prosty korytarz i znowu na schody.

„Jeśli pójdziemy tak dalej, dojdziemy do środka piekła!”, wyszeptał Gaddo.

„Piekło jest gorące. Tu natomiast robi się coraz zimniej!”, odparł Konrad.

Na te słowa mag nagle przystanął. „O, tak! To prawda! Robi się zimno!”.

Uniósł świecę, by oświetlić większą przestrzeń, a potem oparł się o ścianę.

„Spójrzcie! jest wilgotna!”.

„Co to znaczy?” , zapytał zmartwiony Konrad.

Twarz maga znieruchomiała. „Za wcześnie, by twierdzić coś na pewno. Idźmy dalej. Jeśli to, o czym myślę jest prawdziwe, trochę dalej zdobędę pewność”.

Szli więc naprzód, z jeszcze większą obawą. Przemierzyli tak dobrą milę.

W pewnym miejscu korytarz raptem się poszerzył, stając się prawdziwym tunelem o prostych, wygładzonych ścianach. Na ścianach, w regularnych odstępach, umieszczone były zgaszone pochodnie.

Mag przyjrzał się podłodze a potem sklepieniu. Wreszcie powiedział: „Panowie, jak możecie wywnioskować po wilgoci, która zamieniła się w krople wody, znajdujemy się pod samym korytem rzeki”.

„Przejdźcie pod Arno! — wykrzyknął Gaddo, rozglądając się wokoło osłupiałym wzrokiem. — Zawsze myślałem, że to tylko legenda!”.

„Przecież mówiłem wam, iż w legendach kryje się prawda! — odparł mag, podejmując marsz. — Do tego miejsca szliśmy korytarzem, który wykuli katarzy, lub ktoś dla nich, aby spotkać się w tunelu, o którego istnieniu na pewno wiedzieli”.

Przeszli jeszcze kawałek.

Nagle, idący na czele Konrad odwrócił się gwałtownie do dwóch pozostałych i gestem nakazał im milczenie. Zgasił swoją świecę i dał znak, by i oni zrobili to samo.

Teraz dopiero ujrzeli zakręt tunelu, a za nim blask światła.

Przywarłszy do ściany usiłowali powolutku zbliżyć się do rogu, by się przyjrzeć. Lecz jakiś mocny i wyraźny głos zmroził im krew w żyłach.

„Aleście się długo guzdrali!”.

Wszyscy trzej stanęli jak wryci, potykając się o siebie i popatrzyli na siebie zatrwożeni.

„Odwagi, naprzód! No, nie traćmy więcej czasu!”, nawoływał głos zza rogu.

Konrad zdecydował się. Wyprostował się i wyszedł zza załomu. Dwaj pozostali podążyli za nim z ociąganiem, zerkając ukradkiem spoza jego pleców.

Któż to mógł być?

Miękko wsparty o ścianę obok zapalanej pochodni, ironicznie chichotał Ibn Harudne.

„Salam, moi panowie. Niechaj Allah, oby imię jego było błogosławione, będzie z wami, niech oświetla wasze kroki i was prowadzi...”.

Nie zdołał dokończyć zdania, gdyż Konrad jednym susem skoczył na niego i ucapił go za kark.

„Żadne salam, przeklęty niewierny! Dosyć tych sztuczek! Tym razem wyjaśnisz mi

wszystko i to natychmiast!”.

„Na brodę Proroka! — wycharczał Turek, wyrywając się z uścisku. — Mam nadzieję, że nie wszyscy chrześcijańscy mnisi są tacy jak ty, mój przyjacielu, w przeciwnym razie nastąpiłyby ciężkie czasy dla wyznawców prawdziwej wiary!”.

Cofnął się o krok, rozcierając szyję, zaś Konrad wpatrywał się w niego z wściekłością.

„Czekam na wyjaśnienie, — wysyczał Francuz. — I radzę, byś był przekonujący!”.

„Sam bym ci powiedział, gdybyś dał mi czas” zaśmiał się muzułmanin. Potem, wskazując palcem na Konrada dodał: „Ale kiedyś poproszę, byś zdjął ten strój i zmierzył się ze mną!”.

„Od tej chwili możesz mną rozporządzać!”.

„Cierpliwości, panowie, wszak teraz znajdujemy się bez cienia wątpliwości w najmniej szczęśliwym momencie do tego rodzaju rozmów”, wtrącił Michał Scoto. I zwracając się do Turka dodał: „Lecz, wyłączając porywczosć, wydaje mi się, iż nie cała wina leży po stronie ojca Leclerca, panie. Zdrowy rozsądek nakazuje, byście się wytłumaczyli!”.

„Nie sądzę, bym was znał panie, — odparł tamten. — Zaś zdrowy rozsądek nakazuje, byście się przedstawili!”.

Mag westchnął. „W tych stronach jestem znany jako Michał Scoto”.

„Na brodę Proroka!”.

„Już to mówiłeś!” , odciął się gniewnie Konrad.

„I w moich stronach jesteście znani, na Allacha, aby jego imię było błogosławione na wieki! — rzekł Turek, nie zwracając uwagi na Konrada. — Cóż was tutaj sprowadziło?”.

„Jeśli już ktoś powinien powiedzieć, co tu robi, to ty nim jesteś!”. Konrad był purpurowy na twarzy.

„Zgoda, zgoda, nie trzeba się unosić!”.

„Jak to się stało, że czekałeś tu na nas?” , warknął Francuz.

„To ja poustawiałem świece wokół płyty, byście się domyślili, że jest tam przejście. Długo wam zeszło z tym domyśleniem się!”.

„Mogłeś też zostawić jakiś znak, który by wskazał na głowę diabła!” , przerwał mu Gaddo.

„Głowa diabła? — zdumiał się tamten. — Jaka głowa, jakiego diabła?”.

„Lewara do otwierania przejścia!” , objaśnił Gaddo.

Turek wybuchnął śmiechem: „Allah jest wielki! Teraz zrozumiałem! Zaczęliście szukać lewara, a nie przyszło wam do głowy, że wystarczyło wejść na płytę: pod waszym ciężarem sama by ustąpiła! Na Proroka, ale z was osły! A przecież znak był tak jasny!”.

Spojrzeni na Michała Scota, który się przygarbił.

„Skąd się dowiedziałeś o dzisiejszym wieczorze i o nas?” , zapytał Konrad.

„Powiedział mi o tym Szymon Visconti”.

„Zawsze on, przeklęty! — rzekł Gaddo do Konrada. — Po czyjej stronie stoi ten łajdak?”.

„Tylko po swojej własnej. A czasami po mojej, co w obecnej sytuacji oznacza to samo,

— zachichotał Turek. — Lecz pozwólcie, że na ten temat zmilczę, na razie. Zaspokoję wszelką ciekawość, gdy już będzie po wszystkim. Teraz mamy, ja i wy, całkiem co innego do roboty”.

„Cóż takiego?”, rzekł Konrad, blednąc.

Turek wskazał w kierunku ciemności. „Na końcu tego tunelu są katarzy, których wy szukacie. Wśród nich jest jeden, który ma coś, czego szukam ja”. Potem, patrząc uważnie na maga dodał: „I obawiam się, że jest to ta sama rzecz, której szuka ten *rum*”.

Michał Scoto pochylił z uśmiechem głowę: „Dlaczego nie? Właściwie, powinno wystarczyć dla wszystkich!”.

„Czy można wiedzieć, o czym do licha teraz rozmawiacie?”, wybuchł Gaddo, spoglądając to na jednego, to na drugiego.

„Wyjaśnię ci to później — rzekł Konrad, patrząc na Turka. — Sądzę, że już zrozumiałem, ile trzeba. I ostatnia rzecz, zanim pójdziemy — powiedział, zwracając się do Harudne. — W jaki sposób odkryłeś przejście?”.

„Tak ci się spieszy, by się tego dowiedzieć?”.

„Nie”.

„A więc powiem ci później. Może, kiedy uregulujemy nasz rachuneczek. A teraz dość, idziemy”.

Tak oto, stąpając gęsiego śladami Harudne, zapuścili się w głąb tunelu.

Posuwali się ostrożnie jeszcze przez jakieś pół godziny. Żaden nie śmiał się odezwać. Serce Gadda stało się tak maleńkie, że prawie nie biło.

Od kiedy w mieście pojawił się Konrad, wszystko działo się tak błyskawicznie, że nie miał nawet czasu, by zastanowić się, jak bardzo w tych ostatnich dniach zmieniło się jego życie: od spokojnej egzystencji w arcybiskupstwie do wariackiej przygody z tymi dwoma dziwnymi postaciami, stróżami jakichś niesłychanych tajemnic.

I w miarę jak się posuwał, narastała w nim szalona chęć, by zawrócić, by głośno rzec, iż on, otóż tak, iż on się boi. Lecz, naturalnie, zawstydzził się. Och, nie, nie dlatego że dopuścił się takiej myśli. Bił się jakiś czas z myślami, ale nie zdołał się przełamać.

Otwierał usta dwa, trzy razy by wyznać tchórzliwy zamiar, lecz żaden dźwięk nie wyszedł mu z gardła. Wreszcie, zmobilizowawszy wszystkie siły, zatrzymał się i rzekł: „Ja...”.

„Szszz! — nakazał Turek, zatykając mu usta śniadym łapskiem. — Przyszliśmy.”

Tunel kończył się nagle wykutymi w kamieniu schodkami, które wiodły na górę. Weszli nimi na palcach, idąc za Harudne. Schody zamykała jakby kłapa, zrobiona z marmurowej płyty. Płyta przesuwiała się po dwu prowadnicach. Turek przesunął ją na bok.

Owionęła ich fala zimnego powietrza. W górze dostrzegli gwiazdy. Harudne wyszedł pierwszy, rozglądając się wokoło. Wkrótce skinął dłonią na znak, że droga wolna. Wyszli na powierzchnie.

Znaleźli się na cmentarzu. Wokół płyty nagrobkowe, kruszące się posągi, kamienne krzyże. I kompletna cisza.

Michał Scoto dotknął ramienia Konrada pokazując mu otwór, z którego wyszli: był to grobowiec. Odsunięta na bok płyta miała na sobie płaskorzeźbę wyobrażającą śpiącego rycerza, z psem u stóp. Nad jego głową widniały dwie skrzyżowane trąby. To znowu on, Roger Trumpington.

Spojrzeni po sobie z niepokojem i zamknęli przejście. W zimnej poświacie gwiazd postępowali za Turkiem aż do wysokiego muru, który opasywał cały cmentarz. Szli tuż przy nim, w całkowitym milczeniu. Dotarli na koniec do metalowej kraty, która otwierała się na ciemny korytarz. Na milczący znak Harudne wzięli się za ręce, żeby nie pogubić się w mroku. Po kilku metrach spostrzegli w głębi korytarza słabą poświatę.

W miarę przybliżania się ujrzeni, że jest to jakby okno. Potem spostrzegli, że to raczej rodzaj tarasu, którego balustradę zamykał niski kamienny parapet, rzeźbiony w koronkowe wzory. Po lewej stronie znajdowały się wiodące w dół schody. Z otworu sączyło się intensywne żółtawe światło. Słychać było cichy i niewyraźny szmer.

Naśladując Turka położyli się na brzuchach i posuwali się pełzając obok parapetu.

Odległości między jedną a drugą tralką były dostatecznie duże by zobaczyć, co się działo na dole. W ogromnej, nie ozdobionej niczym sali, nad którą unosiło się łukowate sklepienie, około stu osób obojga płci uczestniczyło stojąc w dziwnym obrzędzie, sprawowanym przez jeszcze dziwniejszą postać.

Spowity w jakieś skomplikowane czerwone rytualne paramenty, z głową przyozdobioną dwurogą tiarą mężczyzna, jeszcze młody, sądząc po zwinności poruszeń, lecz o ciele całkowicie zniekształconym przez garb i chromą nogę, machał kadzielnicą przed stosem kamieni.

Na stosie stało coś w rodzaju złotego tabernakulum, z dziwnym symbolem na szczycie. Po charakterystycznym półksiężycu na wierzchu, Konrad rozpoznał w nim krzyż albigensów.

Nagle tajemniczy kapłan odwrócił się i wszyscy czterej mogli ujrzeć jego twarz.

Widok ten zbulwersował ich, a przynajmniej obu zakonników.

Mężczyzna mógł mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat i był zdumiewająco piękny. Kruczoczarne, lśniące włosy spływały aż do ramion, okalając alabastrowo białą twarz o doskonałym owalu. Dwoje jasnych oczu, z niezmiernie drugimi rzęsami, nadawało tej twarzy prawie niewieścią delikatność. Wszystko zaś razem, taka twarz z takim kalekim ciałem, czyniło odpychającą tę postać hermafrodyty, prawdziwie okrutny żart złośliwej i kapryśnej natury.

Mężczyzna uniósł ramiona i otworzył usta, przypominające dojrzałe wiśnie. Na sali natychmiast zapadła głęboka cisza, zaś ciała naszej czwórki pokryła gęsia skórka.

Głosem nieprawdopodobnie przenikliwym (Gaddo przeraził się nim: nigdy by nie przepuszczał, że ludzka krtań może wydać tak wysoki ton) zawołał: „*Jadalbaoth!*”. Potem

powoli opuścił ręce i wpatrzył się w jakiś punkt przed sobą. Jego głos stał się słodki, łagodny: „*Jadalbaoth...Samael... Jezer Hara... Tohu... Ain...!*” Głos słabł coraz bardziej, aż stał się szeptem: „*Bereszit bara Elohim eth haszramajjn veeth haarec...*”. W tym miejscu wziął głęboki oddech i krzyknął: „Pięc jest twoich *Sefiroth...! Gedullah, Wielkość; Geburah, Moc; Tifereth, Piękno; Nezach, Zwycięstwo; Hod, Majestat!*”.

Gaddo stał się woskowoblady. „Co on mówi?”, szepnął drżącym głosem do ucha Konrada.

„Kupę bajd, — odparł ów kpiąco. — To mieszanina rytuału żydowskiego, Kabała i wzywanie diabła. Tak naprawdę nic poważnego, ale jak się zdaje wystarczy, by zrobić wrażenie na tych głupcach”.

Teraz głos celebransa stał się głęboki, ponury, jakby wydobywał się nie z niego, lecz z samego wnętrza ziemi.

Ten komediant, pomyślał Konrad, zna naprawdę swoją rolę, jeśli chodzi o bulwersujące słuchaczy sztuczki. Ma doprawdy zadziwiające możliwości ustawienia głosu. W ogromnej sali echo dopełniało tego dziwnego śpiewu i efekt był, delikatnie mówiąc, wstrząsający.

„Kiedy Święty, oby był błogosławiony na wieki, zaczął stwarzać wszystko, co realnie istnieje, oderwał jeden kamień od swego tronu i cisnął w otchłań. Jedna jego część utkwiała w głębiach a druga wynurzyła się. Ta druga, *Szethjah*, stanowi podstawę, na której wspiera się świat. Potem pojawiły się cztery *Chajoth*, podstawowe elementy kosmiczne, z których powstały cztery główne metale: złoto, srebro, miedź i żelazo oraz ogień i powietrze i ziemia i woda, podstawy wszystkich rzeczy na górze i w dole. Ogień został dany Północy, powietrze Wschodowi, woda Południu a ziemia Zachodowi. Liczbą rozległości świata jest dwunastka, gdyż dwanaście jest znaków Zodiaku. Oczyśćcie zatem *Nefesz*, waszą duszę cielesną, aby stała się *Ruach*, duszą duchową, i mogła oglądać siedmioramienny świecznik czyli oblicze Boga, z Jego siedmioma kosmicznymi atrybutami. W nie bowiem oblecze się na koniec oczyszczona dusza”.

Umilkł i podniosłym gestem trzykrotnie klasnął w dłonie. Po trzecim uderzeniu na jego dłoniach błysnęły ognie i chygotały się przez chwilę zanim zgasły.

Pomruk zdumienia przeszedł przez salę, a oczy Gadda rozwarły się jeszcze szerzej.

„Pospolita cyrkowa sztuczka, — szepnął Michał Scoto. — Potrafię robić lepsze”.

„Takiego cudu, — zawołał teraz katar, — a także innych, o wiele znaczniejszych dokonacie i wy wszyscy, kiedy staniecie się czyści na zawsze! Wodą i ogniem będziecie oczyszczani, dopóki oczy wasze nie staną się godne kontemplować Graala!”.

Konrad wymienił spojrzenie z magiem, jakby mówiąc: no, to jesteśmy u celu.

„Nie wiercie w opowieści Okrągłego Stołu, jakby to były wydarzenia, które naprawdę się wydarzyły. Józef z Arymatei nigdy nie zebrał krwi Chrystusa, *Sang Real* czyli Świętego Graala, jak się ją powszechnie nazywa. Prawdziwa Królewska Krew to ta, która płynie w moich żyłach, gdyż to ja jestem ostatnim żyjącym potomkiem Merowingów. Ja, ostatni

nosiciel ostatniej, prawdziwej krwi królewskiej: krwi Chrystusa.

„Okragły Stół to tylko symbol. To niepełny krąg, który zdoła zamknąć, na znak odzyskanej doskonałości, tylko ten, kto, jako jedyny, jest tego godzien. Nie był nim Galaad, zrodzony z grzechu między Lancelotem a córą Króla Rybaka, zasiadającego na Niebezpiecznym Tronie, ale Parsiwal Walijczyk, mój przodek. On widział Graala i ukrył go na wieki. Graal bowiem to nie krew Chrystusa, lecz kamień. Ten Kamień. Ten, który oderwał się z czoła Lucyfera, i z którego biorą początek wszystkie rzeczy stworzone!”

Na te słowa Konrad aż podskoczył i spojrzął na maga, którego oczy zwięzły się jak szparki. A więc taka jest prawda: kamień filozoficzny! Tego szukał Michał Scoto i... ależ tak... również Harudne! Zerknął w stronę Turka, lecz na ciemnej nieprzeniknionej twarzy tamtego nie drgnął żaden muskuł.

W każdym razie teraz wszystko trochę się wyjaśniło, jakkolwiek zabójstwo Sciancati nadal pozostawało zagadką.

Tymczasem rzekomy Merowing zrobił dłuższą efektowną przerwę, zachowując ten sam ekstatyczny i natchniony wyraz twarzy. Potem, jakby osłupiały, zaczął się powoli odwracać w stronę stosu kamieni. Jakiś niebieskawy dym, coraz gęstszy i rozleglejszy, zaczął się wydobywać z podstawy stosu i otaczał mężczyznę, aż spowił go całkowicie swymi kłębam, kryjąc go przed wzrokiem obecnych.

Kiedy dym zaczął się rozwiewać, garbus ukazał się znowu, trzymając w dłoniach jakiś świecący przedmiot. Była to róża o pięciu płatkach, wyrzeźbiona w szmaragdzie, niewiele mniejszym od męskiej pięści.

Oczy Michała Scota rzucały podniecone błyski, a oddech stał się nierówny. Konrad napiął mięśnie, gotowy na każdą ewentualność. Gaddo tak był przejęty tym, co się działo tuż pod nim, że zapomniał nawet o lęku. Turek zaś wydawał się nawet nie oddychać.

Katar pokazał kamień całemu zgromadzeniu, trzymając go w dłoniach; stopniowo przedmiot przestawał świecić zielonkawym światłem i stał się matowy. Wtedy garbus przemówił.

„Oto Kwintesencja, początek i koniec materii wszystkich rzeczy. Przemienia metale pospolite w doskonałe, szkło w drogocenny kamień, lecz wszystkie choroby i przedłuża życie w nieskończoność. *Lapis exilii*, *lapis philosophorum*, którego szukały od wieków i nigdy nie znalazły całe pokolenia uczonych, czarnoksiężników i alchemików.

„Lecz jest on czymś o wiele większym od tego wszystkiego i tylko niewierni oraz potępieni mogą, w swej niegodziwości, snuć zamysły, by go użyć do wyrobu złota, lub do życia w zwierzęcej szczęśliwości. Nieprawdaż, Michale Scocie?”

Wszyscy czterej zerwali się jak oparzeni, by zmykać co sił. Ledwie jednak się odwrócili, spostrzegli, że korytarz, którym tu się dostali, pełen był owiniętych płaszczami postaci, które wpatrywały się w nich posępnie.

Widząc, że wszelki opór byłby bezużyteczny, nasi znajomi starali się zachować z

godnością, kryjąc gniew i zaskoczenie. Zwarta ściana katarów otworzyła się, odsłaniając schodki, prowadzące do sali. Brutalnie popychani, czterej mężczyźni niechętnie zeszli na dół.

Wiedziono ich w milczeniu aż do ołtarza, gdzie oczekiwał ich uśmiechnięty garbus. Powitał ich uprzejmie, składając przed każdym lekki ukłon głowy.

„Ojciec Casalberty... ojciec Leclerc... Ibn Harudne..., my się już znamy, Michale Scocie i nie kryję, iż z radością cię oglądam, choć w okolicznościach dosyć dla ciebie niemiłych.”

„Ja też nie kryję, iż w tych nielicznych razach, gdy cię spotykałem, nigdy nie cieszył mnie twój widok, zwłaszcza zaś dzisiaj, Parsiwalu Avalonie, Dagobercie Dwudziesty Piąty, Hermesie Trismegistusie, Giabirze Ibn Hayyan as Sufi, lub... jak, u diabła, każesz się teraz nazywać?”

„Ha, ha, ha, — zbulgotało coś lekko w gardle kataru. — To prawda, że Anglicy mają szczególne poczucie humoru!”

„Nie jestem Anglikiem, jestem Szkotem”.

„Wkrótce nie będzie to już mieć znaczenia, — odparł tamten lodowato. — Teraz jednak ja zadaję pytania”.

Umilkł i z przejmującą powagą zaczął się wpatrywać w twarze czterech pojmanych.

Konrad zastanawiał się pospiesznie nad znalezieniem jakiegoś wyjścia. Podjęcie rozpaczliwej akcji obronnej byłoby niedorzecznością: przy pierwszym poruszeniu ci fanatycy posiekaliby ich na kawałki. Jedyną nadzieją byli zbrojni, pozostawieni w pobliżu katedry. Ile czasu minęło? Dwie, może trzy godziny, Co mogli zrobić, nie widząc ich z powrotem? Niechybnie wkroczyli na cmentarz. Lecz potem? Czy potrafili znaleźć przejście? Konrad wątpił w to. Zatem nic się nie da zrobić. Czekać. I starać się, o ile to możliwe, grać na zwłokę.

„Czekamy, katarze, na twe pytania”, zawołał Konrad, przerywając ponure milczenie.

„O was wiem już wszystko, drogi ojczy Leclerc. Podobnie jak o pozostałych. Po prawdzie, uważałem was za przebieglejszego. Was obchodzi jedynie zabójstwo tej ladacznicy... Jakże jej było na imię?... Ach, tak Beatrice Sciancati, jeśli się nie mylę. Tymczasem dalsze się omotać temu angielskiemu szarlatanowi”.

„...szkockiemu!”, poprawił kwaśno Michał Scoto.

„...szkockiemu, zgoda, jeśli tak ci na tym zależy. I tu, drogi mój ojczy Leclerc, winniście byli zrozumieć, iż ci dwaj szukają tylko mego kamienia!”.

„Nie jest twój”, przerwał Harudne.

„A czyżże zatem?”.

„Wiernych Proroka”.

„Ach, tak! Teraz wszystko jest jasne! Sądziłem, że ty, niewierny psie, miałeś ten sam niski, mały, podły cel osobisty, co Anglik... Och, wybaczone, mój drogi. Chciałem rzec: co Szkot! Tymczasem ty postawiłeś sobie zadanie, by tak rzec... patriotyczne!”.

„Ty, odstępcza od swej wiary, ośmielasz się nazywać mnie niewiernym?”. Turek splunął na ziemię na znak pogardy.

Katar skinął głową i natychmiast setka silnych ramion pochwyciła Harudne, pochylając go do posadzki, twarzą w miejsce, gdzie napluł.

„Wyczyść”, zasyczał katar.

Ci, którzy trzymali Turka, jeszcze mocniej nagięli go ku ziemi.

„Wyczyść”. Głos stał się teraz przenikliwym sykiem żmii.

Napięcie dobiegło szczytu. Nikt nie ośmielał się oddychać. Z twarzy Gadda ściekały grube krople potu, Konrad czuł, jak napinają mu się, niczym sznury, mięśnie szyi. Nie po raz pierwszy stał tak blisko śmierci, lecz tym razem było inaczej. Z tego człowieka emanowało na stojących koło niego coś namacalnie lodowatego, jakaś udręka nie do zniesienia, jakiś bezgraniczny niepokój w sercu.

Tylko Michał Scoto, jako jedyny, zachował niewzruszony spokój. Nawet nie drgnęła mu powieka. Spoglądał w stronę swego wroga, jakby nie dotyczyło go to, co się działo.

Konrad był gotowy na wszystko. Miał już okazje zetknąć się z niewzruszoną zawziętością muzułmanów, bezwzględnych i okrutnych aż do sadyzmu względem pokonanego wroga, a zarazem gotowych oczekiwać podobnego traktowania w przypadku klęski. Harudne powie nie. I da się zatłuc jak pies. Zaraz potem wezmą się za nich. Lecz jakie to ma znaczenie? Zabiliby ich i tak, wcześniej czy później. Lepiej umrzeć z godnością.

Tymczasem Turek nie spełnił jego przewidywań. Zamknął oczy i wylizal plwocinę.

Musiało to zdumieć także katarów, którzy być może rozumowali podobnie jak Konrad, gdyż wahali się, czy rozluźnić uchwyt.

„No, i co? — wycharczał Harudne przez ściśnięte gardło. — Czy długo jeszcze mam tkwić w takiej pozycji? Czyż chcesz, bym wylizal całą posadzkę?”

„Muszę rzec ci prawdę, drogi mój niewierny przyjacielu, — zaśmiał się ironicznie katar. — Nie wiem, czyś nadto przebiegły, czy też tchórz. Ale może nie doceniłem ludzi twojej rasy. Puśćcie go”.

Turek wyprostował się powoli, rozcierając sobie kark. Gaddo po cichu odetchnął z ulgą.

„Bardzoś mocny, mając setkę ludzi na swe rozkazy!”, powiedział głośno Konrad.

„Oszczędźcie głosu, ojczyste Leclerc. Nie atakujcie. Co chcecie uczynić? Wyzwać mnie na pojedynek? Podjęlibyście go z biednym kulawcem? Znam waszą zręczność i nie miałbym z wami żadnych szans. Mam na myśli szansę fizyczne. A zresztą bójka nie przystoi mojej randze. Ja wydaję rozkazy. Na to się urodziłem. I już niedługo wszyscy, zrozumcie dobrze, wszyscy ugną się przed moją wolą!”

„Jesteś tylko egzaltowanym szaleńcem. Nie masz przyszłości!”, krzyknął Konrad, owładnięty głuchą wściekłością.

„Ha, ha, ha! — zaśmiał się bulgotliwie katar. — A któż mi przeszkodzi mieć przyszłość? Wy? Wy już jesteście martwi!”, zakończył swoim zwykłym syczącym tonem, który ostatecznie zmroził krew w żyłach Gadda.

„Jeszcze ja czekam na twoje pytania, — zawołał w tym momencie Michał Scoto. —

Nudzę się”.

Katar zbliżył się do niego, utykając i obrzucił go spojrzeniem pełnym wściekłości: „Ja cię popytam, bufonie. Wpierw jednak chce się upewnić, że tym razem nie wymkniesz mi się przy pomocy którejsz ze swych sztuczek. Rozbierzcie go!”.

Zanim ktokolwiek się poruszył, Scoto błyskawicznie odwrócił się i dał znak, by zaczekali: „Spokojnie, spokojnie. Sam się rozbiorę”.

Katarzy zaniemówili i spoglądali na swego wodza, czekając na rozkazy. Lecz Michał Scoto już zaczął się powoli ściągać odzienie.

Jedna po drugiej zdejmował z siebie wszystkie szaty, składając je u stóp garbusa, aż stanął całkiem nagi. Ukazało się ciało całe pokryte dziwnymi plamami i bliznami, zwłaszcza po oparzeniach. Gaddo poczuł na ten widok odrazę.

Garbus wyciągnął otwartą dłoń: zaraz jakiś katar włożył mu w nią miecz. Potwór zszedł po schodkach i stanął przed Szkotem. Uśmiechnął się złośliwie, potem przystawił mu ostrze do gardła. Mag stał nieporuszony.

Tamten powoli opuścił miecz i odrzucił nim zrzucone na stertę ubrania, niczego nie dotykając dłonią. Znowu zachichotał, oddał miecz i, z trudem się poruszając, wszedł po schodkach.

Mag pokazał swemu śmiertelnemu wrogowi dłoń, jakby mówiąc: zadowolony?

Garbus uważnie mu się przyjrzał i rzekł: „Nie myśl, że wstrząsniesz mną tymi znakami na ciele. Znam starych alchemików, którzy mają jeszcze gorsze. Ubierz się. Muszę przyznać, że potrafisz mnie zawsze zadziwić. Tym razem nie masz nic na sobie. Och, wiem, że jesteś też mistrzem w sztuce sugestii, ale dobrze rozumiesz, że ze mną to się nie udaje. Ani tego wieczoru nie powiesz ci się z żadnym z moich wiernych. Jest ich zbyt wielu.

„A teraz pytanie: dlaczego pragniesz mieć kamień? Ciebie nie obchodzą sprawy religijne ani złoto. Potrafisz zdobyć coś jeszcze lepszego, kiedy jest ci potrzebne. A więc pytam: dlaczego?”.

Mag zawahał się przez chwilę, a potem odparł: „Nie powiem ci”.

Katar nie zdołał ukryć rozczarowania, ale szybko się opanował.

„Masz nadzieję, że moja ciekawość ocali ci życie? Że cię uwięzę i każę torturować, a ty będziesz mógł zyskać na czasie? Nie, nie interesuje mnie to. Zabierzesz swój sekret do piekła, które cię wyrzygało. A jako, że twoja droga zakończy się w piekielnych płomieniach, śmierć, jaką ci zadam będzie zgodna z zasadą kontrapunktu: woda!”. Zamknął oczy, jakby się głęboko skupiał i nie otwierając ich rozkazał: „Dalej!”.

Cała czwórka został pochwycona i powleczona przez salę.

Podczas gdy go ciągnęli, Konrad wrzasnął w kierunku katar: „To nie koniec, przeklęty! Jak nas odkryłeś?”.

Tamten otworzył oczy i zawołał za nimi: „Nie, ojciec Leclerc. Dla was to już naprawdę koniec. Jak was odkryłem? W najgłupszy sposób. Sądziście naprawdę, że nie postawię

czujek? Tyle, że wy ich nie zauważyliście”.

Brama się zamknęła.

„...lecz oni was widzieli”.

★ ★ ★

„Co teraz?”. Ciszę przerwał płaczliwy głos Gadda.

„...teraz bądź cicho i daj mi pomyśleć!” rzucił gniewnie Konrad.

„Obawiam się, że niewiele jest tutaj do myślenia! — westchnął Turek. — Wkrótce ujrzymy oblicze Allacha a wy, niewierni, zrozumiecie, że jest tylko jeden Bóg a...”.

„...a jest nim Allach, zaś Mahomet jest jego Prorokiem! Już to słyszałem”, przerwał mu rozwścieczony Konrad.

„Bądźcie cicho i oceńmy położenie! — wtrącił mag. — Przede wszystkim ustalmy, gdzie się znajdujemy”.

Zamilkli i zaczęli się uważnie rozglądać. Cela była kwadratowa, niska i ciasna, rześście oświetlona umocowaną u góry pochodnią. Cała czwórka była solidnie przykuta do ściany długimi łańcuchami przy kostkach nóg, nadgarstkach i szyi. Wejście, którym ich wprowadzono było szczelnie zamknięte idealnie wyciętą kamienną płytą, tak gładką, że z trudem można ją było dostrzec w murze. Na wprost nich, całkiem pod sufitem, widniało otwarte prostokątne okienko, opatrzone solidną żelazną kratą.

Po chwili oczy przyzwyczyły się do półmroku i wszystkie szczegóły stały się zauważalne.

„No, cóż — westchnął Konrad — sądzę, że i wy widzicie to, co ja”.

„A zatem! — rozpoczął mag. — Cela jest wykuta w skale, to widać gołym okiem. Zaś te drzwi, tak je nazwijmy, są niewątpliwie tak szczelne, że nie przepuszczają powietrza. Co do tego nie ma wątpliwości, jak i co do tego, że trzeba spróbować je otworzyć”.

„Czy trzeba być aż magiem, by dojść do tak wybitnych wniosków? — zawołał z rozpaczą Gaddo, — A zresztą jesteśmy związani niczym balerony. Kto dojdzie do drzwi?”.

„To, mój mi nieufny przyjacielu, żaden problem!”, uśmiechnął się mag i zaczął majstrować przy sznurowadłach swej sukni ze stosunkową swobodą ruchów, jaką pozostawiał mu łańcuch.

„A cóż teraz robisz? Rozbierasz się?”, zawołał osłupiały Gaddo.

„Nie całkiem”.

Wszyscy zaczęli przyglądać się magowi, który zdążył już odsłonić jedno ramie i zaczął gorączkowo drapać się pod pachą. Pod wpływem energicznego użycia paznokci, zaczął się tam odrywać płat skóry. Lecz tym, co wprawiało pozostałych w najwyższe osłupienie był fakt, iż mag nie przejawiał najmniejszej oznaki bólu, czy choćby przykrości.

„To, — mówił, zdzierając kawał skóry o powierzchnię dłoni, — jest prawdziwą skórą.

Tylko, że nie moją, lecz pewnego zwierzęcia, którego nie znacie, a o którym nie ma potrzeby opowiadać wam w tej chwili. Jest ona zabarwiona i przyklejona pewną metodą...”.

„...o której nie ma potrzeby opowiadać nam w tej chwili! Szatański magu! To dlatego chciałeś się sam rozebrać! Lękałeś się, iż obracając cię brutalnie w swych łapach, katarzy mogliby spostrzec to, co miałeś na sobie! Ale... co takiego miałeś?”, wykrzyknął Konrad, rozplamienając się nadzieją.

Michał Scoto pokazał spodnią stronę strzępu, który oderwał sobie spod ramienia. Były doń przymocowane dziwne, niezwykle ostre przedmioty.

„Takie tam drobne zawodowe rekwizyty, do zastosowania w takich jak ta okolicznościach!”.

Delikatnie ujął jeden z nich i bez trudu uporał się nim z zamkami swoich łańcuchów. Potem pospiesznie uwolnił Konrada i pozostałych.

Kiedy manipulował przy nadgarstkach Gadda, nagle zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać.

„Co tam? Co się dzieje?”, pytał zaniepokojony Gaddo.

„...psst!”, nakazał mag.

Pozostali zamilkli, rozglądając się dokoła.

W ciszy słyhać było wyraźnie ciche kapanie wody. Wszyscy obrócili się w stronę okienka. Z brzegu otworu ściekał strumyczek wody, który niepostrzeżenie z każdą chwilą stawał się coraz większy.

„Oto gdzie jesteśmy! — zawołał z cicha Szkot, — Szybko. Nie ma ani chwili do stracenia!”. I rzucił się do okienka.

„Hej hej! — krzyknął Gaddo, jeszcze skutny. — Co znaczy «oto gdzie jesteśmy»? Co się dzieje? A ja?... Hej! A kto mnie uwolni?” I szarpał się rozpaczliwie, usiłując wydostać się z kajdanów.

Mag rzucił przyrząd Konrowi, który dokończył uwolnienia przyjaciela, nie omieszkawszy mu wszakże wymierzyć mocnego kuksańca, żeby przestał się miotać.

Michał Scoto stał pod okienkiem i przyglądał się wodzie, która spływała coraz obficie.

„Odwagi, pomóżcie mi!”, rozkazał, dając znak, że chce się wspiąć aż do krat.

Turek stanął na czworakach, by mag mógł mu wejść na plecy. Ten, przyjrząwszy się szybko kracie, wyjął z fałszywej pachy małej płaski i miękki przedmiot, którego nie było dobrze widać w półmroku. Przybliżył go do prętów, w miejscu, gdzie wchodziły w kamień, potem położył go i odczekał kilka chwil. Nagle z dotkniętych miejsc zaczęła się wydobywać cieniutka smuzka bielutkiego dymu, który zaraz zniknął.

Mag nabrał wody w dłoń i pokropił kratę, a potem mocno ją chwycił i pociągnął.

Wielkie było zdumienie (oraz lęk Gadda), kiedy krata dała się od razu wyrwać i spadła na ziemię z metalicznym brzękiem. Konrad pochylił się, by ją obejrzeć: jej końce były nadtopione, jakby jakiś piekielny żar działał przez wiele godzin na te miejsca.

Alchemicy, pomyślał, daliby sobie obciąć prawą rękę, żeby uzyskać tak wielki żar.

Niewątpliwie, człowiek ten posiadał niewiarygodną wiedzę. W każdym razie to z pewnością nie była magia, co go uspokajało, choć nie mógł w głębi duszy nie przyznać, iż w tej sytuacji trochę magii niezmiernie ułatwiłoby sprawę.

„Panowie, spodziewam się, że potraficie pływać”, rzekł mag, wskazując dłonią przez okienko.

„Ja zaś spodziewam się, że nie muszę trwać długo w tej pozycji!” wymruczał zirytowany Harudne.

„Och, wybaczenie, przyjacielu! Przez chwile zapomniałem o niestałości mego położenia!”, powiedział mag, zeskakując na ziemię z nieoczekiwaną zręcznością.

Turek wyprostował się, rozcierając sobie plecy: „Na Proroka! Nigdy nie zwykłem się pochylać, a czynię to już drugi raz w tak krótkim czasie!”.

„Czyż wy, muzułmanie, nie pochylacie się w ukłonie pięć razy dziennie w stronę Mekki?”, zapytał Scoto.

„Wybaczenie, że się wtrącam, — przerwał im Konrad znużonym głosem — lecz w tym miejscu muszę złożyć zasadnicze oświadczenie: ja się boję. Nie wiem, czy waszmościowie podzielają moje obecne odczucie, ale wydaje mi się, iż właściwsze będzie w tej chwili odpowiedzenie na pytanie Michała Scota. Tak, ja umiem pływać. A wy?”.

Pozostali z zapałem kiwali głowami, zaś mag oświadczył:

„Panowie, woda, która jak widzicie, przeciska się przez okienko, to rzeka Arno. Nie wiem, gdzie dokładnie się znajdujemy, lecz z drugiej strony tej nory jest podziemny kanał, którym wraz z przypływem morza, rzeka z pewnością się cofa.

„Uprzedzam wasze pytania: nie sądzę, byśmy byli blisko ujścia. Jest zbyt odległe. Nie wiem, jakim mrowiem korytarzy woda dociera aż tutaj, lecz w tej chwili to zbyteczna ciekawość. Zatem, jeśli nie chcemy potopić się jak krety, jedyne co należy zrobić, to wydostać się z tej dziury i płynąć jak najdalej”.

„Chwileczkę! — zawołał Konrad. — Skoro woda tak szybko się podnosi, znaczy to, że ten korytarz jest na jednym końcu ślepy! Jak rozpoznamy, gdzie jest właściwa strona? Jeżeli popłyniemy w złym kierunku, nie będziemy już mogli się cofnąć, gdyż w tym czasie woda wypełni cały korytarz!”.

„O tym ja pomyślę, jak już znajdziemy się na zewnątrz, — odparł mag. — Teraz idziemy, śmiało!”.

Pomagając sobie nawzajem wdrapali się aż do otworu i wyskakiwali pojedynczo, zanurzając się w lodowatą wodę.

„Zdejmijcie ubrania i ciągle się ruszajcie, żeby nie zmarznąć!” — rozkazał Scoto.

Wszyscy pospiesznie spełnili rozkaz i ujęli się za ręce, by nie pogubić się w ciemnościach.

Mrok był gęsty, lecz można było coś rozpoznać; widać było zaledwie zarysy postaci; ale to wystarczało.

Konrad uniósł wzrok w górę. Tak, to skały stropu lśniły tu i ówdzie jakąś mdłą poświatą, która od czasu do czasu pobłyskiwała słabiutko na powierzchni wody. Widocznie osady soli, lub metalu, lub jakieś inne lichy odbijały światło, docierające w jakiś sposób z zewnątrz. Ale skąd? O tym myślał, tak jak przyrzekł, Michał Scoto. Trzymając się jedną ręką okienka, położył delikatnie cienką metalową igłę na powierzchni wody w miejscu, gdzie jej strumień był dostatecznie spokojny. Obserwował ją przez pewien czas, a potem wskazał kierunek w ciemności:

„Tędy!”.

O nic nie pytając (instynkt przetrwania przeważał wszystko inne) zaczęli dzielnie płynąć ku miejscu, wskazanemu przez maga. Wymachiwali ramionami na oślep, potracając się rękami lub łokciami, kiedy wpadali na siebie w ciemności.

Posuwali się tak, zdyszani, jakieś dobre dziesięć minut.

Konrad płynął, starając się nie myśleć o niebezpieczeństwie. Zmusił się do namysłu nad dziwną operacją maga. Dziwną może dla innych, ale nie dla niego. Widział już tę niezwykłą igłę, jeszcze w Catai. Pamiętał pewnego marynarza, który pokazywał jego ojcu, jak się jej używa. Przedmiot ten położony swobodnie na powierzchni wody w miseczce, układał się zawsze w jednym kierunku. Tamten mężczyzna mówił, że było to niezwykle pomocne w żeglowaniu przy zakrytym chmurami niebie, kiedy nie było widać ani słońca, ani gwiazd. Jedyne kłopot polegał na tym, iż trzeba było jakoś utrzymać nieruchomo miskę, co na statkach często bywało niemożliwe. Obecność Michała Scota okazała się szczęściem. Z drugiej strony, gdyby go nigdy nie spotkali, być może nie znaleźliby się w tej sytuacji!

Ten rytm myśli, któremu sprzyjał ustawiczny teraz ruch ramion nagle został przerwany.

To było coś dziwnego... Ależ tak, zaczęli się widzieć!

Nareszcie światło. Niewielkie, lecz wystarczające, by rozróżnić twarze towarzyszy. Oni też spostrzegli bladą jasność i spoglądali na siebie, odzyskując nadzieję.

„Odwagi, ostatni wysiłek! Naprzód, naprzód!”.

Wezwanie maga odnowiło wyczerpujące się siły zbiegów. Zaczęli płynąć z większym zapalem, aż ujrzeli przed sobą jakiś jasny punkt.

Dzięki Bogu dotarli do niego. Znajdował się, jeden jedyny, teraz tuż nad nimi. Dalej znowu rozpościerały się ciemności.

Potyając się, skupili się w jasnym kręgu, który pobłyskiwał na czarnej wodzie, i popatrzyli ku górze.

Studnia! To była studnia! Kilka piędzi w górę wisiało uczone u sznura wiadro, dzięki świętemu Janowi Ewangeliście zapomniane i dyndające w głębi, a nie, jak to zwykle bywa, postawione na cembrowinie. Jeszcze wyżej dojrzeliby żywy blask jutrzeńki.

Konrad miał ochotę zapłakać i dostrzegł tę samą potrzebę, malującą się na twarzach towarzyszy. Oprócz, naturalnie, twarzy Michała Scota. Ten przedziwny człek zachowywał zwykły sobie, nieprzenikniony wygląd. A także, prawdę mówiąc, nie wydawał się nawet

zmęczony.

„Pomóżcie mi”, powiedział Konrad i stanął tuż pod wiadrem. Pozostali ujęli go pod pachy i wspólnymi siłami unieśli tak, że Francuz wynurzył się do połowy z wody.

Pierwsza próba okazała się udana. Bogu dzięki, pomyślał Konrad, gdyż był tak wyczerpany, że nie miałby siły, by ponownie próbować.

Uchwyciwszy wiadro obiema rękami, ciężko opadł w wodę, zaś sznur rozwijał się. Złapali go gorączkowo i rozwijali do końca, aż kołowrót zatrzymał się, a sznur się naprężył.

Pierwszy wdrapał się Harudne. Gdy już był u góry, wystawił głowę znad cembrowiny, by się upewnić, że droga wolna. Była wolna. Ześliznął się na brzeg i pomógł wydostać się pozostałej trójce.

Padali w trawę na brzuch, wdychając pełną piersią ostre, poranne powietrze. Leżeli tak długo, w milczeniu, z zamkniętymi oczami.

Gaddo zaciskał zgrabiące palce na porastających łąkę zielonych pędach, szczęśliwy, że dotyka czegoś stałego i pewnego. Zanurzał zachłanne palce w listeczki, w grudki ziemi, śmiejąc się i charcząc z powodu zadyszki.

Jakże była piękna wilgotna ziemia, poranna trawa, rosa na sandałach... Na sandałach? No, tak. Właśnie na sandałach. Skórzanych.

Gaddo odważył się otworzyć oczy i zobaczył, że jego palce głaszczą jakiś czarny sandał. W sandale zaś tkwiła jakaś czysta i tłusciutka stopa. Zaraz powyżej, rąbek czarnej sukni. A dalej białej. Zaś na końcu, na górze, łagodna twarz jakiejś zakonnicy.

Cofnął gwałtownie dłoń, jakby ją położył na rozżarzone palenisko i jednym susem usiadł, rozglądając się dookoła. On i jego towarzysze leżeli na ziemi, blisko studni, otoczeni ciasnym wianuszkciem co najmniej dwudziestu zakonnicy, które przyglądały im się pełne łagodnego osłupienia.

Przemógłszy zakłopotanie, Gaddo pierwszy przerwał milczenie:

„Hmm... dzień dobry siostrom! Ja... jestem ojciec Casalberty a... a to jest...”.

„Znamy was z widzenia, ojciec Casalberty, — przerwała mu uprzejmie najstarsza, — i musimy wyznać, iż zawsze spodziewałyśmy się waszej wizyty. Nie domyślałyśmy się jednak, że uczynicie to w sposób tak, by tak rzec... niecodzienny. Byłoby dobrze, gdybyście przyszli się osuszyć i włożyć na siebie coś, by tak rzec... bardziej odpowiedniego. Potem przedstawicie nam swoich przyjaciół i wytłumaczycie wszystko. Jeśli, rzecz jasna, uznacie to za wskazane. W każdym razie, witamy was w naszym ubogim klasztorze”.

XVIII.

Arcybiskup przymknął oczy i zaczął sobie powoli pocierać nasadę nosa. Długie, arystokratyczne palce delikatnie masowały brwi, tam i z powrotem. Ten gest wyrażał tyle zmęczenia, że ścisnął serce każdemu, kto na niego patrzył. A patrzyli na niego Konrad i Gaddo, stojący po drugiej stronie stołu.

„A tamci?”. Wyszeptał zdanie w bolesnym tchnieniu.

„Ulotnili się. Lecz, monsignore, jeśli chcecie usłyszeć moje zdanie...”, przemówił Konrad.

„Oczywiście, że pragnę waszej opinii, ojczcie Leclerc! Inaczej, po cóż bym was ściągał do Pizy?”, wybuchnął wiekowy prałat, otwierając zniecierpliwionymi oczyma. Potem, żałując zniecierpliwienia, potrząsnął głową: „Proszę, usiądźcie. Obaj”.

Usiedli natychmiast i Konrad zaraz przeszedł do sedna. „Michał Scoto i Harudne nie są nam potrzebni. Niech idą, nawet prosto do diabła. To jasne, że chcieli jedynie kamienia, lub tego, czym on jest. Nie mieli nic wspólnego z zabójstwem tej Sciancati i z pewnością nic o tym nie wiedzą.

„W tej sprawie coś zaczyna się układać, przynajmniej jako hipotezy.

„Teraz wiadomo, że i Visconti interesuje się kamieniem. Posłużył się Turkiem, albo Turek nim, ale to nie ma znaczenia. Może być, iż Harudne po prostu dał się umyślnie schwytać Pizańczykom, może udając... no, nie wiem...”

„W każdym razie, moim zdaniem, to samo dotyczy rzekomego powiązania Viscontiego z sektą katarów. Prawdopodobnie dał heretykom do zrozumienia, iż mogą liczyć na jego opiekę (a dla nich, podobne sympatie ze strony możnych panów to nie nowina), aby dotrzeć do kamienia.

„Faktem jest, iż obydwaj natrafili na kogoś przebieglejszego od nich. Według mnie nikt, oprócz Michała Scota nie wiedział — może nawet sami katarzy — o przyjeździe do miasta tego rzekomego Merowinga. Oprócz właśnie Michała Scota, który poluje na niego od lat. W każdym razie, jeśli chodzi o naszą sprawę, znajdujemy się w punkcie wyjścia!”

Arcybiskup skoczył na równe nogi, kładąc na stole wielką pieść.

„Znajdujemy się w punkcie wyjścia? — wrzasnął. — Wam się zdaje, że jesteśmy w punkcie wyjścia? Z dnia na dzień odkrywam, że w mieście jest pełno katarów, z samym

szatanem na czele, a wy powiadacie, że jesteśmy w punkcie wyjścia? Mam niewyjaśnioną zbrodnię czarnej mszy, Republikę na skraju wojny domowej, czarownika czekającego na osądzenie, maga i niewiernego, krążących po ulicach, interdykt na całe terytorium, a wy mówicie, że po prostu stoimy w punkcie wyjścia!”

Krzyczał, wyliczając na palcach swoje nieszczęścia. Zatrzymał się, dysząc, przy małym palcu, targając nim ponad miarę, potem ciężko opadł na krzesło. Dochodził do siebie.

„Wysłałem ludzi, by wtargnęli tam, gdzie dzisiejszej nocy spędziliście ten okropny kwadrans. Mam nadzieję, że przyniosą mi dobre wieści”.

„Nikogo nie znajdują”, rzekł Konrad, zupełnie nie przejęty reakcją arcybiskupa.

„Ja też się tego obawiam. Dałem jednak rozkaz, by wszystko spalono i zasypano korytarz. To miejsce nie może więcej służyć żadnej kanalii!”.

„Panie, — powiedział Konrad, wychylając się do przodu. — proszę o pozwolenie wszczęcia procesu czarownikowi”. Witalis zdumiał się i wyraził to bez osłonek: „To mnie zaskakuje! Tak, nie kryje, iż sądziłem, że nie wierzycie w winę tego człowieka! Z drugiej strony, jeśli podczas procesu nie pojawi się nic, co by go obciążało, znajdziemy się w sytuacji gorszej niż poprzednio! Wy będziecie musieli opuścić Pizę, wypełniwszy zadanie, a stronnictwa chwycą za broń. Poleje się krew!”.

Konrad przytaknął.

„Doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Lecz niesprawiedliwością wobec Boga jest, by na tym człowieku ciążyło podejrzenie całego miasta. Właśnie dlatego, iż uważam go za niewinnego, chce by został uniewinniony jak najspieszniej i wedle wszelkich przepisów. Również statuty inkwizycji nie zezwalają, by tak długo zwlekać z nieosądzoną sprawą. A wiecie, jak pod tym względem zawsze surowi byli papieże. Co do stronnictw miejskich, nie wiem, co wam w tej chwili powiedzieć. Bez wątpienia, macie całkowitą rację. Czekają, bym wyjechał. Jednakże proces pozwoli nam zyskać nieco na czasie; a wreszcie, wiadomo, że z jednej sprawy rodzi się druga i... i nie jest powiedziane, że odjadę”.

„Co macie na myśli?”.

„Uczciwie mówiąc, nie wiem. Jestem zmęczony i płaczą mi się myśli. W całej tej historii jest coś, co kreci się w próżni, nie potrafię sobie tego wytłumaczyć. Niejeden raz, pomimo sprzeczności zdarzeń i płątaniny wszystkiego, co zaszło, miałem wrażenie, że znajduję się o krok od wyjaśnienia. Lecz potem... Chce powiedzieć, że sprawa tak bardzo się zawikłała, iż rozplatanie jej zdaje się niemożliwością.

„Zresztą, któż nas zapewni, że jest tylko jedna nić, wiodąca do tego kłębka? To znaczy: że splot zdarzeń, których byliście świadkami, stanowi jedyny wątek? Albo, że zostaliśmy wciągnięci w równoległe wydarzenia które, choć wielkiej wagi dla życia miasta, nie mają nic wspólnego z tym, co nas naprawdę interesuje? Żeby się o tym przekonać, jest tylko jeden sposób: ciągnąć pierwszą zrozumiałą nić, i patrzeć, co z tego wynika. W pewnych wypadkach (a ten do nich należy) lepiej jest raczej coś zrobić, niż nie robić zgoła nic”.

„Czy jednak nie mówiliście, iż mędrzec radzi, by kiedy nie ma nic do zrobienia, nic nie robić, czy coś podobnego?”, wykrzyknął zaskoczony Gaddo zapominając, gdzie się znajduje.

„Czy coś sugerujecie, ojcze Casalberti?”, zapytał, szczerze zainteresowany, arcybiskup.

Gaddo zmieszał się głęboko i zamilkł, ograniczając się tylko do potrząśnięcia głową z zakłopotaniem.

„Mędrzec nie byłby mędrce, gdyby nigdy nie zmieniał zdania”, uśmiechnął się do niego Konrad. Następnie znowu zwrócił się do Witalisa: „Pragnę podkreślić rzeczy następujące: nie pozwólmy się rozpraszać; skupmy się na zabójstwie owej niewiasty, wyjaśnijmy je. Reszta sama przyjdzie”.

Arcybiskup przytaknął z powagą. „Znowu macie słusność. Jeśli uda mi się wyjaśnić tę sprawę, odzyskam autorytet konieczny, by włączyć miastem i zjednoczyć je we wspólnej walce z katarami. Patrząc na to w ten sposób, nie można rzec, że to nieszczęście stało się jedynie po to, by zaszkodzić”.

„Słusznie” potaknął Konrad.

„Lecz jeżeli nie znajdziemy winnego...” Witalis zmrużył oczy i pokiwał im obu wskazującym palcem, następnie powoli się podniósł. To było pożegnanie.

Konrad i Gaddo także wstali.

„Teraz idźcie odpocząć. Ja przypilnuję, by uporządkowano wszystko tak, aby proces mógł się rychło rozpocząć. Oskarżony...”

„Na litość, panie. Nie jest oskarżony. Jedynie podejrzany, — wtrącił Konrad z szacunkiem. — Wyślijcie, by go zabrano z publicznej łaźni. Teraz tam znalazł zatrudnienie”.

„A więc jeszcze przebywa w mieście!”.

Konrad sposepniał, wyraźnie mu to okazując.

Arcybiskup zrozumiał i spojrzał nań z ubolewaniem.

„Macie rację, ojcze Leclerc. Niechaj Bóg mi wybaczy, lecz przez chwilę miałem nadzieję, że mam w ręku zwykłego przestępcę. Nie umknęło ojcu moje rozczarowanie na wieść, że człowiek ten nie umknął. Gdyby to uczynił, ogłosilibyśmy go winnym, nie stawiającym się przed sąd i obarczylibyśmy go całą odpowiedzialnością a nasz problem zostałby rozwiązany. Ale nie zrobił tego. A ja źle się poczułem. Po ludzku źle”. Westchnął. „Lecz ja jestem pasterzem mego ludu i nie mogę ulegać pewnym ludzkim słabościom. Dziękuję wam, że pozwoliliście mi to zauważyć i wyznać. Jesteśmy ludźmi Kościoła, których los przemienia czasem w ludzi burmistrza i zarządu. Lecz to my, jako pierwsi, nie możemy zapominać o najwyższych zasadach sprawiedliwości i prawdy, których powinniśmy być nosicielami. Niechaj więc człowiek ten stanie przed sądem. A jeśli okaże się niewinny, jak na to wygląda, osobiście dopilnuję, aby otrzymał wszelkie zadośćuczynienie. Błogosławię was”.

Przyjąwszy na kolanach błogosławieństwo, obaj mnisi udali się na spoczynek.



„Co się z tobą dzieje? Nie powiesz mi chyba, że nie jesteś zmęczony!”. Gaddo, z podkrążonymi oczami, wsparł się na łokciu, oczekując wyjaśnień od przyjaciela, który bez przerwy wiercił się na posłaniu.

„Przeciwnie — zamruczał ze znużeniem Konrad, — jestem wykończony. Lecz, jak to często mi się zdarza, kiedy jestem zbyt zmęczony, nie mogę zasnąć. Staram się przytulić Morfeusza, lecz on mnie odpycha”.

„Morfeusza?”

„Ach, daj spokój!”, rzekł Konrad wstając.

„Dokąd się wybierasz? Nie! Nie, nie chcę wiedzieć. Po prostu mi nie mów. Rób, jak uważasz, idź dokąd chcesz, wróć, jeśli masz ochotę, i tak dalej. Dostyc mam tych twoich dziwacznych pomysłów! I dostyc przygód! Jasne? Absolutnie nie chcę wiedzieć dokąd idziesz. Zrozumiałeś mnie?”

Konrad ubrał się i zwrócił ku drzwiom. Otworzył, wyszedł i zamknął je. Gaddo pozostał, jak leżał, na połowie łóżka, wpatrując się w wyjście, za którym zniknął przyjaciel.

Jednak prawie zaraz drzwi znowu się otworzyły i ukazała się w nich głowa Konrada. „Tak”.

„Co, tak?”, wybełkotał Gaddo.

„Zrozumiałem”.

Drzwi znowu się zamknęły.

„Ale dokąd idziesz?”, zawołał za nim zrozpaczony Gaddo. Już z oddali korytarza dobiegły go słowa: „do latryny!”.

Gaddo opadł na poduszkę, I tak pozostał, wpatrując się nieruchomo w sufit.



Lecz Konrad nie poszedł do latryny bez dodatkowego powodu. Zaraz też skrzył w całkiem przeciwną stronę.

Znowu zajrzał do gołębnika... Od kiedy znalazł owe ślady czuł, że tam znajduje się nie wiodąca do kłębka.

Za każdym razem, gdy usiłował analizować elementy zdarzenia, które miał wyjaśnić, jego umysłowi narzucał się przemożnie obraz tego miejsca. Tak po prostu. Sam z siebie. Bez dedukcji i bez fantazjowania, jakby jakaś niewidzialna siła przekazywała mu przesłanie bez słów.

Konrad bowiem utrzymywał szczególny związek ze swoim aniołem. Od tak dawna już nauczył się korzystać z jego pomocy w tysiącach drobnych usług, zwłaszcza informacyjnych. Banalny przykład: kiedy miał kogoś odwiedzić, a nie chciał podróżować na próżno, nie wiedząc, czy ten ktoś będzie w domu, wystarczyło mu sformułować w duchu proste pytanie. Jechać czy nie jechać? Jeśli pierwszą odpowiedzią, jaką «odczuwał» było tak, jechał. W

przeciwnym razie — nie jechał, oszczędzając wiele czasu i trudu.

Nie trzeba dodawać, że ślepo ufał anielskiej odpowiedzi również dlatego, że kiedy chciał się przekonać namacalnie, był w oczywisty sposób karany.

Często, będąc w jakiejś ogromnej bibliotece, lub przeglądając grubą księgę, musiał znaleźć czym prędzej jakiś fragment albo cytat. Jedną jedyną linię, spośród setek tysięcy innych. Wystarczało wówczas, że zamknął oczy i krótko wezwał swego anioła; potem, wciąż z zamkniętymi oczami, wyciągał rękę w stronę tego, czego szukał.

Dzięki temu systemowi nigdy się nie mylił. Kiedy nic nie znajdował, czuł się źle, lecz potem uświadamiał sobie, iż to czego szukał, było po prostu gdzie indziej, w innej bibliotece albo w innej księżce. I okrutnie się wstydził tego, że zwątpił.

Wszystko to przyczyniło się do tego, że rosła sława jego intuicji oraz niezwyklej pracowitości.

Oczywiście, wymagało to od niego dużej wiary i dużej pokory. Doskonale wiedział, że gdyby choć trochę urósł w pychę, anioł natychmiast odstąpiłby od niego, przynajmniej w tej dziedzinie.

A z drugiej strony, cóż w tym było dziwnego? Czyż liczni patriarchowie i sam święty Józef nie stosowali tego sposobu? Ci święci mężowie najważniejsze decyzje w swym życiu podejmowali wedle anielskich zaleceń. Zaleceń wydawanych, co więcej, we śnie.

Zasady były następujące: nie zawracać głowy aniołowi sprawami błahymi; zrobić przedtem wszystko, co po ludzku możliwe; upewnić się, że intencja nie jest całkowicie egoistyczna; w sprawach bardziej skomplikowanych zwrócić się o pośrednictwo do świętych, a zwłaszcza Matki Bożej, którą Konrad czcił, a także czuł do Niej ogromne przywiązanie.

A więc i teraz wewnętrzny impuls skierował go do gołębnika.

Nie wszedł tam jednak. Przy drzwiach odwrócił się, oparł plecami o framugę i zaczął gorączkowo rozmyślać. Drzwi znajdowały się w połowie wąskiego korytarza. On przyszedł z jednej jego strony, z drugiej korytarz nikał w ciemnościach.

„Tędy? Nie, nie byłoby czasu, — pomyślał. — A więc tamtędy”.

Wrócił tą samą drogą, schodząc w dół i uważnie przyglądając się ścianom. Stopień po stopniu, korytarz po korytarzu doszedł do komnaty, z której przyszedł.

„Gaddo?”. Zawstydził się, że przez chwile zwątpił w przyjaciela. „Nie, nie, ależ skąd. A zresztą był ze mną, gdy zaatakował nas rycerz i... zawsze był ze mną. O, aniele stróżu, jakież okropny zawód wykonuje! W końcu zaczyna się podejrzewać nawet własną matkę. Nie. Zacznijmy od początku.

„Aniele stróżu, pomóż mi. Spróbujmy jeszcze raz”.

Znowu wszedł, do końca. Nic.

„Co teraz, aniele stróżu? Przestrzegalem zasady, nie mogę niczego znaleźć!”.

Cisza. Jeszcze raz drzwi komnaty.

„Drogi aniele stróżu, tym razem nie zadziałałeś, gdyż nie znajduję najmniejszego śladu.

Ale bądź spokojny, nie tracę do ciebie zaufania. Musisz mieć swoje powody. Może chcesz mi powiedzieć, że lepiej zrobiłbym idąc spać. Ach, tak, to musi być to. W gruncie rzeczy masz rację, wiesz? Naprawdę padam z nóg. Po porządnym wyspaniu się, będę miał jaśniejszy umysł i znowu spróbuję. Możliwe zresztą, że to fałszywy trop. Tak, tak musi być. I dlatego milczysz. Kto wie, czemu się uczepiłem tego gołębnika? A może nie o to chodzi.

„Jednak, mówiąc między nami, teraz naprawdę muszę pójść do latryny. Cóż chcesz, tamtej nocy długo się moczyłem w wodzie a teraz ta bieganina tam i z powrotem...”

Pomieszczenie, do którego ostatecznie zmierzał, znajdowało się kilka metrów dalej, na tym samym podejściu. Otworzył drzwiczki i znalazł się w ciasnej klitce, ledwie oświetlonej przez niewielki trójkątny otwór. Najważniejszy element tego wnętrza składał się z ławy z solidnych desek, z otworem pośrodku.

Zaczął zakasywać ubranie, ciesząc się z góry, że sobie ulży. Jednak nagle zamarł, jak rażony gromem.

„Ależ tak! Dlaczego nie, dlaczego nie? Mój aniele stróżu, wszystko odwołuję!”

Pochylił się i wyciągnął rękę ku desce. Lekko się zawahał widząc z tak bliska przegniłą deskę, lecz uchwycił brzeg otworu i uniósł wszystko w górę.

To, czego szukał, było tam; dość głęboko, lecz było. Zaklinowało się między ściankami ciasnego przewodu, nie wpadając tam, gdzie zniknęłoby na zawsze. Ten, kto to wrzucił, z pewnością nie miał czasu, by się upewnić, że się udało. Ustawił ławę na miejsce, załatwił potrzebę i wyszedł.

„Dzięki, aniele stróżu. Wybacz mi, jeśli zwątpiłem”.

XIX.

Czarownik wszedł do sali z odkrytą głową. Tego wymagało poszanowanie władzy, a także dobre wychowanie. Naprzeciw niego, za długim stołem, przykrytym purpurowym sukniem, siedzieli sędziowie. W środku arcybiskup, Konrad po jego prawicy.

Boni viri stanowiący sąd przysięgłych zostali wybrani, zgodnie z zasadą, spośród najznamienitszych ludzi honoru w mieście, bez względu na klasę i stan. Były też dwie niewiasty.

Miejsce sądu stanowił refektarz klasztoru, w którym w noc strasznej przygody z katarami pojawili się Konrad i pozostali, wydobywszy się ze studni. Wybrano ten klasztor z dwu powodów: po pierwsze, był dostatecznie oddalony od miasta, (lecz niezbyt daleko, aby nie narazić się na niewłaściwość miejsca), by zniechęcić gapiów; po drugie dlatego, iż Konrad z naturalnych względów, pragnął, by proces był publiczny.

Zamiar w pełni się powiódł, gdyż przybyła liczna i uważna publiczność. Rzuciła się jednak w oczy nieobecność przywódców rodów, bezpośrednio zainteresowanych, co pozwoliło na spokojny przebieg rozprawy sądowej.

Po dwóch stronach sali stały w szeregu strażę burmistrza gotowe odprowadzić przestępcę, gdyby został oddany, jako taki, w ręce władzy świeckiej.

Po uroczystych modłach na otwarcie, Witalis usiadł i zachęcił mężczyznę, by uczynił tak samo, a potem przemówił.

„Czy to wyście jest Andrzej Belcolle, zwany Czarownikiem, syn Jana zwanego Wilkołapem i Bertrady Lancelli?”

„To ja”.

„Gdzieście się urodzili?”

„W Aleksandrii, w Egipcie”.

„Ile lat liczycie?”

„Może pięćdziesiąt i osiem, panie, ale nie jestem pewien. Już od dawna ich nie liczę”.

Arcybiskup skinął głową, a potem wskazując Konrada po swej prawej stronie i rzekł: „To jest ojciec Konrad Leclerc z Zakonu Kaznodziejskiego, inkwizytor. Urodził się w Tours na francuskiej ziemi. Ma ponad czterdzieści lat i posiadał mądrość w sprawach Boga oraz Kościoła świętego. Jest zarazem znawcą prawa świeckiego i kanonicznego. Nie przyjmuje on

rozkazów ani ode mnie, ani od nikogo innego, jeno od samego Ojca Świętego, papieża.

„Teraz musimy zadać wam pytania, by się następnie upewnić co do kompetencji ojca Leclerca w sądeniu was, zgodnie z tym, co zalecają reguły Świętego Trybunału Inkwizycji. W przeciwnym razie proces zostanie zawieszony a dla was zacznie się *tempus gratiae*.

„Odpowiedzcie: czy wyznajecie religię żydowską?”.

„Nie, panie”.

„Czy wyznajecie naukę Mahometa?”.

„Nie, panie. Jestem chrześcijaninem, ochrzczonym w Kościele rzymskim”.

„Czy uczyniliście co złego temu inkwizytorowi w przeszłości, albo staraliście się w jakiś sposób to uczynić?”.

„Nie, panie, nigdy tego nie uczynił, anim też o tym nie myślał, zatem uznaję jego pełną kompetencję do sądenia mnie”.

„Widzicie obecnych tu przysięgłych, notariusza i świadków. Czy macie jakiś powód, by kogoś z nich wyłączyć?”.

„Nie, panie, nie mam żadnego powodu”.

„Czy wiecie, dlaczego zostaliście tu dzisiaj wezwani?”.

„Tak, panie. Jestem podejrzany o zabicie Beatrice Sciancati przy pomocy magicznych i czarnoksięskich praktyk. Lecz ja jestem niewinny”.

„Za samo czynienie czarów nie moglibyście być sądeni: Kościół święty nie uważa czarów za zbrodnie, lecz tylko za grzech zabobonu. Za samo zabicie tej niewiasty, ten trybunał nie byłby w mocy was sądzić, jako że tego rodzaju przestępstwa podpadają pod władze świecką.

„W waszym jednak przypadku obie te rzeczy łączą się i właśnie dlatego stoicie tu przed nami. Tutaj się ustali, czy jesteście heretykiem i, jeśli tak, będziemy was zaklinać, byście się wyparli błędu, dając wam możliwość śmierci w całkowitym pogodzeniu się z Kościołem.

„My, jako arcybiskup tych ziem, nie uczestniczymy w inkwizycji, a jedynie — zgodnie z regułami tego Trybunału — w końcowym wyroku.

„Niechaj notariusz zapisze, iż oskarżenie złożyła rodzina ofiary. Złożyli oni doniesienie o przestępstwie i poprosili, by zwolnić ich z udziału w inkwizycji. Otrzymali takie zezwolenie, Ojciec Leclerc, w imię Boże, możecie rozpocząć”.

Konrad przez cały czas miał zamknięte oczy, łokcie wsparte na stole i dotykał nosem splecionych palców. Uniósł powieki, opuścił ręce i zapytał: „Kto jest świadkiem?”.

Podniosła się tylko jedna ręka.

Konrad obrócił się w stronę mężczyzny, który to zrobił, a potem zapytał, zwracając się do pozostałych: „Tylko jeden?”.

Na sali nikt nie śmiał odetchnąć.

„Powtarzam, czy nie ma nikogo innego, kto świadczy przeciwko temu człowiekowi?”.

Wszyscy spoglądali na prawo i na lewo, każdy zerkał badawczo na twarz sąsiada, lecz nie

uniosła się żadna inna ręka.

„Wobec tego, nie można rozpocząć postępowania sądowego przeciwko niemu. Reguła Świętego Trybunału Inkwizycji ściśle zaleca, by świadków było co najmniej trzech”, stwierdził Konrad, ku wielkiemu zdziwieniu arcybiskupa.

Przez salę przeszedł wzbudzony pomruk i rychło nabrał na sile, stając się głąchą i pomieszaną wrzawą, która ucichła w jednej chwili, kiedy Konrad uroczyście wstał.

„Oskarżenie przeciw wam nie może być przedstawione, — rzekł w stronę czarownika. — Idźcie w pokój. Nie wytoczymy wam żadnego procesu”.

Jednak mężczyzna nie podniósł się. Opuścił głowę, głęboko zasmucony. Zdawał się rozważać dziwną sytuację, w jakiej się znalazł; potem spojrzął na Konrada i powiedział: „Nie, nie chcę”.

Pomruk znów się ożywił, żeby osłabnąć i całkiem zaniknąć, kiedy mężczyzna zaczął mówić.

„I dokądże pójde? Kto kiedykolwiek uwierzy w moją niewinność? Gdziekolwiek bym poszedł, wszędzie szłoby za mną podejrzenie. Za stary jestem i, niestety, nie znam się zbyt dobrze na tych sprawach. Nie wychodzę stąd uniewinniony, ten trybunał nie usprawiedliwił mnie, Stwierdził tylko, że nie może mnie sądzić, a mnie to nie wystarcza. Chcę być osądzony. Nawet z jednym świadkiem. Godzę się na to. Ale nie wyjdę stąd, dopóki nie oznajmicie publicznie, iż nie mam nic wspólnego z tą sprawą”.

Na te słowa Konrad uśmiechnął się i powiedział:

„Chcę się skupić na modlitwie przez kilka chwil i proszę waszego arcybiskupa, by mi towarzyszył”. Witalis przystał z ulgą. Obaj wstali i wyszli bocznymi drzwiami.

Nie doszli do zakrystii, zatrzymali się tuż za drzwiami. Konrad miał jeszcze uśmiech na twarzy.

„Wy, oczywiście, od samego początku wiedzieliście, że proces nie może być ważny, czyż nie?”, natychmiast napadł na niego Witalis.

„Tak, panie, nie kryję tego. Jest to jednak najlepsze odszkodowanie, jakie możemy dać temu człowiekowi. Zresztą, stało się tak, jak sami tego chcecie, prawda?”.

„Co to ma znaczyć?”.

Konrad, zanim odpowiedział, wahał się przez chwilę, zrobił kilka kroków, podrapał się po głowie i wreszcie podjął decyzję: „No, nie byłem co do tego pewien... co do tego, że jest niewinny... lecz potem zmieniłem zdanie”.

„Zmieniście zdanie? Ojciec Leclerc, powiadomiono mnie o waszych metodach... powiedzmy niecodziennych, ale tego, przy najlepszej woli, nie pojmuje. Poczekajcie... naprzód myśleliście, że jest winny, lub że przynajmniej jest to do udowodnienia. I nie zawahaliście się przed wytoczeniem temu człowiekowi procesu, chociaż wiedzieliście, że świadectwa są niewystarczające. Potem zmieniacie zdanie i w ostatniej chwili powiadamiacie nas, iż istotnie są niewystarczające. Lecz, na litość, co was skłoniło do zmiany zdania?”.

„Hmm... no, nic szczególnego”.

„Nic szczególnego???”.

Witalis był, delikatnie mówiąc, wstrząśnięty.

„To znaczy... nie... chce powiedzieć, że właściwie przyszło mi coś innego do głowy i to wszystko.”

„Przyszło wam coś innego do głowy?”. Arcybiskup zaczynał tracić cierpliwość, lecz starał się opanować, chociaż przychodziło mu to z trudem. Konrad zauważył to i uniósł rękę, jakby chciał powiedzieć, nie denerwuj się, dopóki ci nie wyjaśnię.

„Posłuchajcie, proszę, byście mi zaufali”.

„A co innego robiłem do tej pory?”. Jego Eminencja aż się zachłysnął.

„Znalazłem pewną wskazówkę...”.

„Znaleźliście pewną wskazówkę?”. Witalis, nie zdając sobie sprawy, zbytnio podniósł głos. Na widok przerażonej miny Konrada przycichł.

„Nie pora teraz, by wam to wyjaśniać, — usprawiedliwił się Francuz. — A ponadto nic to pewnego. Proszę, o nic mnie nie pytajcie. Kiedy zdobędę najmniejszą pewność, sam wam powiem”.

„Lecz sądzilibyście tego człowieka pomijając nakazaną procedurę, gdybyście nie znaleźli tej... wskazówki!”.

„Prawo jest dla ludzi, nie ludzie dla prawa. Nie po raz pierwszy wykorzystuję kruczki prawne, kiedy chodzi o kogoś zamordowanego!”.

„Ale to bezprawie!”.

„Zabójstwo to też bezprawie”.

„Macie grzech”.

„Żeby był grzech, musi być pełna świadomość i zdecydowana zgoda, a także ważna materia. Sprawiedliwość jest ważniejsza. Prawda jest ważniejsza. Życie ludzkie jest ważniejsze!”.

Dyskusja stała się żywsza i ton jej bardziej wzburzony. Pierwszy ochłonął Witalis, westchnął i rzekł: „Dobrze. I co teraz zrobimy?”.

„Wrócimy tam i damy temu człowiekowi to, na co czeka”.

Arcybiskup, zrezygnowany, przytaknął i obaj ruszyli do sali sądowej.

Na ich widok wszyscy powstali, Usiedli, gdy tylko tamci dwaj opadli na krzesła.

„Wasza prośba została wysłuchana — obwieścił arcybiskup, zwracając się po ojcowsku do czarownika. — Postaramy się wyjaśnić to, co się stało. Niechaj jednak obecni tu wiedzą, zaś notariusz niech zapisze to w protokole, iż cokolwiek inkwizycja wyjaśni, wy jesteście wolni i nie podlegacie sądowi. Tak, z Bożą pomocą, postanawiam”.

XX.

„...i to wszystko”, zakończył Konrad, opierając bezwładnie ramiona na brzegach drewnianej wanny.

Gaddo wynurzył się z mętnej wody w swojej wannie, przetarł zmoczone powieki i zapytał: „A czarownik?”.

„Poszedł sobie z Bogiem, nie wiem dokąd. Wychodząc z sali zatrzymał się na chwilę, popatrzył na mnie uważnie, z wdzięcznością, i odszedł”.

„Z wdzięcznością? Po tych kłopotach, na jakie go naraziłeś? To znaczy, po kłopotach, jakich mu nie oszczędziłeś. Wiedziałeś przecież, że sprawa nie może się odbyć, ale odczekałeś do ostatniej chwili, żeby to ogłosić”.

„Istotnie, wyznaje iż wasza (to znaczy was, Pizańczyków) ignorancja w materii postępowania inkwizytorskiego nie mało mnie na początku bulwersowała. Wyznaję też, że udawałem, iż nic się nie stało, by się przekonać, czy zdołam zdobyć jakiś inny element. A poza tym strach, jaki przeżył, na pewno przekona naszego poczciwca, by od tej pory zarabiał na chleb w jakiś inny sposób. Co do tego, porozumieliśmy się. Rzeczywiście, pozostał mi wdzięczny. A dlaczego ty nie przyszedłeś?”.

Gaddo wystawił z wody stopę i zaczął ją oglądać, sprawdzając stopień czystości paznokci. Z trudem ujął ją i przybliżył do oczu, by się jej lepiej przyjrzeć. Potem wyłowił z wody szczotkę i zaczął szorować.

Konrad chrząknął pytająco. Tamten, wzdychając, zdecydował się odpowiedzieć.

„Cała ta sprawa wstrząsa mną... a nawet mnie przygnębia. Powiem ci to szczerze: do tej pory towarzyszyłem ci, gdyż jesteśmy przyjaciółmi, a może więcej niż przyjaciółmi, wiesz o tym. A poza tym wynikało to z mojego obowiązku względem arcybiskupa. Jednak na procesie nie byłem potrzebny. Wolałem pozostać w domu”.

Konrad rozważał przez chwilę słowa przyjaciela, a potem rzekł:

„Jak to się stało, żeś się tak odmienił? Kiedyśmy wspólnie walczyli to, jeśli dobrze pamiętam, ja nie lubiłem nastawiać niepotrzebnie głowy, a ty byłeś śmiałkiem. Prawie zazdrościłem ci twego żadnego przygód i nieulekłego charakteru, tak odmiennego od mojego, zamkniętego i zwróconego do środka. Wtedy przypisywałem to wpływowi gwiazd, pod którymi się urodziliśmy. Ty wykazywałeś wszystkie cechy gwiazdozbioru Strzelca, ja zaś

Skorpioną”.

„To ty znałeś nasze znaki zodiaku!”, zawołał Gaddo. Tamten ciągnął dalej, nie zwracając uwagi na te słowa. „Ty byłeś otoczony przyjaciółmi, zawsze mile widziany na hulankach; wspaniale deklamowałeś komediowe sztuki i śpiewałeś ucieszne zakowskie piosenki. Mnie zaś zapraszano na zabawy tylko dlatego, że ty od mojej obecności uzależniałeś swoją. I wyznam ci jeszcze, że nigdy do końca nie pojął, co nas, tak różnych, łączyło. Kto wie, może właśnie ta różnica. Cóż więc się z tobą stało? Co się w tobie odmieniło, i dlaczego?”.

Gaddo potrząsnął głową i wynurzył się z wody. Wyszedł z wanny i owinał się w prześcieradło, którym zaczął się wycierać.

„Widzisz — podjął — zawsze darzyłem cię trudnym do określenia bezgranicznym podziwem. Był w tobie jakiś... jakiś zimny... i magnetyczny urok... który pociągał mnie i napełniał lękiem. Wyczuwałem w tobie głębię i siłę, jakiej inni nie mieli. Zdolność do brania życia na serio, wobec którego ja czułem się lekkoduchem. I chcę ci rzec — cóż to teraz może mieć za znaczenie? — że zostałem mnichem, bo i ty nim zostałeś. Nie, nie, pozwól mi dokończyć. Chcę powiedzieć, że zawsze się starałem cię naśladować, a jeśli tego nie spostrzegłeś, to dlatego, że nigdy mi się to nie udawało. Dopiero po latach rozmyślań zdołałem zrozumieć siebie pod tym względem.

„Czułem, że wszystko, co ty robiłeś jest słuszne, jest... inteligentne. Och, Panie Boże! Jakże trudno ci to wyjaśnić! Potem zdałem sobie sprawę, że to nie było prawdziwe powołanie, tylko po prostu dramatyczne usiłowanie życia w sposób lepszy, tak jak ty. A jedynym sposobem, jaki znalazłem, żeby to osiągnąć było naśladowanie człowieka, którego cenilem najbardziej na świecie”.

Konrad zastanawiał się, milcząc. Gaddo westchnął, jakże smutny pod wpływem wspomnień, jakże zabawny w tym dziwacznym stroju starożytnego Rzymianina.

„Późno pojąłem, że to nie jest moja droga. Nigdy mi się nie udało sprowadzić Boga do głębi mego serca. A może nigdy się tym naprawdę nie interesowałem, nie wiem. Nie wiem nawet, czy zależy mi, żeby to wiedzieć. Ale co miałem wtedy uczynić? Jak postąpić? Ciebie już nie było!”.

Ostatnie zdanie wypowiedział prawie z rozpaczą, na wpół szlochając. Konrad wciąż milczał.

„Nie mając punktów odniesienia, postanowiłem pozostawić wszystko bez zmian. W końcu jest to profesja jak inne. A nawet przydaje więcej godności i władzy nad innymi. Powiem ci szczerze, że jedyna rzecz, jakiej brak odczuwam, to niewiasta. Nocą, kiedy nie mogę zasnąć, samotność mocniej doskwiera. Wtedy zaczynam myśleć. Chcesz wiedzieć, o czym?”. Nie czekał na odpowiedź. „Wyobrażam sobie piękną i łagodną niewiastę, która śpi w mych ramionach, a ja pieszczę jej włosy. Tylko tak udaje mi się zasnąć”.

„Niewiastę taką jak Beatrice Sciancati?”, przerwał mu Konrad.

Gaddo zmarszczył brwi i obróciwszy się w stronę przyjaciela popatrzył na niego z uwagą:

„Tak. Taką jak ona. Kiedy w niedzielę przychodziła na mszę, czasem jej spojrzenie krzyżowało się z moim. Choć stała tak daleko, choć otaczał ją tysiąc innych osób, czułem, że na mnie patrzy.

„Nie pytaj, skąd o tym wiedziałem. Wiedziałem i kwita. I uśmiechała się do mnie. Przez chwilę. Tak, jak nie umiałby się uśmiechać najczystszy anioł z nieba”.

„A na koniec trafiała do twoich marzeń, tak?”. Konrad też postanowił wyjść z wody. „Wróćmy jednak do twojej utraty... powiedzmy, stylu. Co ci się zdarzyło?”.

Gaddo zrobił nieokreślony ruch ręką. „Co mam ci powiedzieć? Zanim zostałem księdzem, byłem chrześcijaninem i właśnie dlatego walczyłem po stronie chrześcijańskiej. Nie dlatego, że nie wierzyłem, lecz pomimo tego, że wierzyłem. Powiedzmy, że wiele sobie z tego nie robiłem. Żyłem i kwita. Niewiasty, sława, hulanki, przygody... tylko to mnie interesowało, nic poza tym.

„Święty zakon zmusił mnie do życia sprawami Boga, do myślenia pojęciami ewangelii i grzechu. W ten sposób wszystko, co mnie pociągało stało się złem, zaś wszystko co mnie nudziło, było dobrem.

„Od tego czasu żyłem w lęku przed piekłem i zacząłem zawierać pewien rodzaj kompromisu z grzechem: zezwalałem sobie na wszystkie powszednie, zatrzymując się w ostatniej chwili przed popełnieniem ciężkich.

„Myślałem tak: Bóg wie, z czego się składamy i jak słaby jest człowiek. Przebaczy mi. Wstydzilem się spowiadać przed moimi współbraćmi... Z czasem przestałem się w ogóle spowiadać. Zresztą, trzeba się spowiadać tylko z grzechów śmiertelnych, prawda?”.

„Tak więc, — podsumował za niego Konrad, — wieszysz życie ogromnie nieszczęśliwe. Zawsze pośrodku, zawsze rozdarte pomiędzy złem i dobrem: czterdzieści grzechów powszednich za dnia i czterdzieści wyrzutów sumienia w nocy. Założę się, że nie sypiałeś! Stałeś się wewnętrznie niespokojny, a od niepokoju do strachu jest tylko mały krok. „Zgrzeszyłem!”, zadekłamał. „Mógłbym umrzeć teraz, w stanie grzechu!”. Naprawdę? Powiedz, czy tak jest naprawdę?”.

„Tak. Jeszcze raz pokazałeś umiejętność prześwieclania ludzkiego umysłu, umiejętność jakiej ja nie posiadam”.

„Nie, to nie są jakieś specjalne uzdolnienia, bądź spokojny. To tylko całe lata spędzone na spowiadaniu ludzi. W gruncie rzeczy, wszyscy ludzie są tacy sami. Zmieniają się jedynie okoliczności i subiektywne reakcje, ale strapienia są zawsze takie same. Wszystko, czego pragniemy, władza, miłość, piękno, pokój... to wszystko są atrybuty Boga. Wszyscy odczuwamy tę samą tęsknotę, która nas jednoczy, to samo pragnienie szczęścia i nieskończoności. Dojście do Boga zdaje się nam zbyt trudne... Czepiamy się kurczowo namiastek Jego doskonałości, których z reguły nie otrzymujemy”.

Gaddo chwycił go za ramię. „Ale dlaczego? Dlaczego! Jeżeli znasz jakąś drogę, wskaż mi ją!”.

Konrad westchnął.

„Bracie, ty też znasz drogę. Wszyscy ją znamy: szukać królestwa Bożego i jego sprawiedliwości. A reszta zostanie nam dana z naddatkiem. Jednak wszyscy, przyłożywszy dłoń do pługa, upadamy na duchu i oglądamy się do tyłu, na cebule pozostawioną w Egipcie. Ja również.

„Bóg prosi nas, byśmy Mu zaufali, byśmy skoczyli w mrok: On będzie nami rządził. Lecz my spędzamy życie na krawędzi mroku, nigdy się nie decydując. I myślimy: czy jesteśmy aby pewni? I podróż ku Absolutowi nigdy się nie rozpoczyna.

„Ktoś ma odwagę zamknąć oczy rozumu i rzucić się naprzód. Takich zwiemy świętymi. Ktoś inny (a nie ma ich wielu, zapewniam cię), ma siłę, by zrezygnować i zawrócić.

„Trzeba odwagi, by dokonać takiego wyboru, wiesz? Bo później musisz znaleźć usprawiedliwienie, zwłaszcza wobec samego siebie, żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia. Wobec innych łatwo znaleźć wymówkę: Bóg nie istnieje, nie zależy mi na tym, to są sprawy dla wątpliwych niewiast, i tak dalej.

„Najczęściej zaś postępują tak jak my. Stoją na krawędzi: jutro porwę się na jakiś wybór. I wciąż jest to jutro”, zakończył, znowu wzdychając.

„Cóż zatem trzeba uczynić, by wydobyć się z tego dręczącego położenia?”

Konrad, milcząc, zaczął się przyodziewać. Potem zatrzymał się, popatrzył przyjacielowi w oczy: „Musisz prosić Boga o Ducha. Skakanie z radości również od Niego zależy. Cała nasza wolność polega na tym, że Go prosimy o Ducha. Prosić należy uparcie, by wiedział, że to dla nas ważne”.

„A ty prosiłeś?”

„Robię to bez ustanku”.

„I co otrzymałeś?”

Konrad znowu westchnął i wrócił do ubierania się. „Dla nas dobra jest każda chwila, zwłaszcza kiedy oczekujemy ulgi. Ale Bóg, oczywiście, ma inne kryteria oceny. Dla każdego z nas odpowiedni moment nadchodzi wtedy, gdy dojrzejemy pod wpływem doświadczeń i ciągłych refleksji.

„Kiedy nadejdzie ten moment? Tylko Bóg wie. Nam pozostaje tylko czekać i mieć ufność. I nie ustępować. Może to jest wszystko, o co nas prosi: Zrób swoje, bym i Ja zrobił swoje. Robić swoje starając się nie zdręczać, o ile to możliwe. Musimy także akceptować siebie z naszymi ograniczeniami, nie ulegając wszakże tym ograniczeniom.

„Dajmy sobie spokój, cóż mam ci rzec? Cierpię na tę samą, co i ty chorobę, jeśli to cię może pocieszyć”.

„Ależ pociecha! — uśmiechnął się Gaddo. — Do licha z tobą, ale jak ci się udaje znaleźć na wszystko odpowiedź?”

„Pomijając fakt, że to coś właśnie rzekł jest nieprawdą, śmierć tej Sciancati pozostaje nadal bez wyjaśnienia, również dla mnie. Mam wszakże mój mały sekrecik, który odsłonię,

jak tylko wrócić”.

„Rozumiem. Idziesz do latryny, tak?”.

„Brawo. Widzisz, zaczynasz się uczyć!”, prychnął śmiechem Konrad, wyslizgując się za drzwi.

★ ★ ★

Francuz wszedł i otworzył drzwiczki. Potem powtórzył zwykłą czynność: uniósł drewnianą pokrywę i zajrzał w dół. Przewód ginał w głębi, w mroku kanału ściekowego. Tak jak się spodziewał, niczego tam już nie było. Ktoś podjął działania. Nić splątanego kłębka sprawy tkwiła istotnie w środku arcybiskupstwa, jego początkowa intuicja była słuszna. Dzięki ci, aniele stróżu. Ustawił wszystko na miejscu, podkasał habit i przykucnął.

Ale odechciało mu się. Opuścił habit i wrócił do Gadda.

„No, udało się?”.

„Idź do diabła!”.

„Tam, gdzie mówi dobranoc, mam nadzieje!”.

„Hej, — rzekł Konrad, wskazując palcem głowę przyjaciela. — Odrastają ci włosy! Powinieneś... poczekać, poczekać, niech no spojrzę! Ach! To dlatego je zgoliłeś, że ci wypadają! Popatrz, popatrz, jaka śliczna łysinka. Gdybyś się ubrał inaczej, wyglądałbyś niczym piwowar”.

„Ty i twoi antenaci, francuski psie! Tego też ci zazdrościłem, kiedy cię znowu spotkałem. A co ty robisz? Czy coś stosujesz? Powiedz, czy znasz jakiś sposób na wypadanie włosów?”.

„Hmm, sposób by się znalazł...”.

Gaddo, wielce zaintrygowany, przysunął się: „Powiedz mi! No, szybciej, płonę z ciekawości!”.

„I po cóż mnichowi sposób na wypadanie włosów, skoro potem i tak musi sobie wygolić tonsurę?”.

„Wiesz, jak to okropnie wygląda, z tonsurą z tyłu i łysiną z przodu!”.

„Hmm... zgoda. A więc posłuchaj: podczas pełni księżyca musisz się rozdziać do naga i...”.

„...i?”

„...pójść opowiedzieć o swoim zmartwieniu arcybiskupowi!”, śmiał się Konrad.

„A niechże cię! — zawołał rozczarowany Gaddo. — Prawie ci uwierzyłem!”.

„Och, przyjacielu”, rzekł Konrad, klepnąwszy go zdrowo w kark, „wypadanie twoich włosów może zatrzymać tylko podłoga!”.

„Podłoga?”.

„Jasne. Jak już spadną na podłogę, nie ruszą się nigdzie!”.

Gaddo wznosił oczy ku niebu:

„Święty Jerzy, uchron nas od dowcipu księży!”

„Słusznieś rzekł, mój drogi, Późne powołanie i nasza żołnierska przeszłość obu nas uchroniły od kurialnej przylepności i od tępoty. Oby Bóg zachował nas świeckimi z ducha!”

„Amen!”

„Amen”

XXI.

Kończący się listopad rozsiewał wszędzie znaki upartej jesieni, która ani myślała ustąpić zimie. Ślady konfliktu między dwiema porami roku widniały na огоłoconych na poły drzewach, poczerniałych chmurach, pożółkłych i zmatowiałych górach. Lodowaty wiatr zawodził rozrzucając bezładne stosy zeschniętych i pomarszczonych liści.

Gaddo i Konrad, okutani w płaszcze, puścili konie drobnym truchtem i jechali milcząc. Ranek był tak szary, że zdawał się późnym popołudniem, smutnym tak, jak potrafi być smutna równina pizańska, kiedy tak postanowi.

Zwierzęta pręły chłodne powietrze, zmierzając w kierunku zamku Ripafratta nieświadome tego, że tam rozegra się ostatni akt tej opowieści.

Och, nie znaczy to, by konie robiły sobie wiele z katarów, zabójstw, gwelfów i gibelinów. Niosłyby na grzbiecie z tą samą cierpliwością zwyciężonych co zwycięzców, heretyków co prawowiernych, w czas wojny czy w czas handlu. Galopowałyby też, aż by im serce pękło, jeśli by tylko rycerz, obojętnie jaki, zażądał tego od nich. Galopowałyby z wiernością nie zadającą pytań, jakiej sam Bóg nie zdołał sobie zapewnić ze strony ludzi.

Tak rozmyślał Konrad, jadąc. I dziwił się, że tak myśli. Prawie irytowała go świadomość, że każda okazja kierowała jego umysł w nieodmiennym kierunku: do jego burzliwego związku z boskością.

Wreszcie Gaddo przywołał go do rzeczywistości: „Po co tam jedziemy?”, zapytał.

„Myślałem, że już ci to powiedziałem”.

„Owszem, lecz gdy to sobie przemyślałem, nie jestem już tak pewien słuszności tej decyzji!”.

„O, święty Joachimie! Posłuchajże mnie uważnie, kapuściana głowo! Przebywam tu już prawie miesiąc i do niczego nie doszedłem. Co mam właściwie w garści? Nic. Do dzisiaj nie mam nic pewnego. Odkryłem pewien ślad, coś w środku siedziby arcybiskupiej, lecz to prowadzi donikąd”.

„I dopiero teraz mówisz mi o tym? O co chodzi?”.

„Nie powiedziałem ci wcześniej, bo wydaje mi się, że dosyć się już skompromitowałem. Ktoś umieścił pewną rzecz w gołębniku. A potem wrzucił ją do latryny. Ach, nie każ mi pleść trzy po trzy, proszę cię. Nic z tego nie rozumiem”.

„Po raz pierwszy jesteś wobec mnie tak tajemniczy”.

„Jaki tam tajemniczy! Gdy wrócimy do arcybiskupstwa zaprowadzę cię do gołębnika i pokażę ci. Zadowolony?”.

„Wobec tego po co jedziemy do Ripafrotta?”, nalegał Gaddo.

Konrad stracił cierpliwość: „A co ty byś zrobił na moim miejscu? Chcesz, bym zaczął szukać Michała Scotta? Gdzie? W Wieży Serowarów? By usłyszeć, że tam nic nie ma i że nigdy nie mieszkał żaden mag? Czy naprawdę sądzisz, że ten człowiek pozostawia po sobie ślady?”

„A nawet gdybyśmy go znaleźli? Czy jesteśmy tak sprytni, by go wciągnąć do naszego śledztwa, czy to raczej on by nas wciągnął do swojego?”

„Wolisz zatem szukać Harudne? Zgoda, logika mówi, że miejsce jego pobytu jest tam, dokąd zmierzamy”.

Skończył i spiął konia ostrogą, a ten pognął żwawiej. Gaddo popędził swojego i zrównał się z przyjacielem.

„A więc szukamy Harudne?”, rozpoczął.

Konrad przewrócił oczami, pełen zniecierpliwienia, ale się pohamował.

„Kiedy nie wiadomo, co robić, rozsądek nakazuje robić cokolwiek, żeby poruszyć stojącą wodę”, rzekł obłudnie słodkim głosem.

„Zdaje mi się, że tym... „rozsądkiem” kręcisz, jak ci się tylko podoba. Raz rozsądnie jest nic nie robić, raz rozsądnie jest coś robić, a innym znów razem rozsądnie jest myśleć o czym innym... Czymże jest ów rozsądek?”.

Konrad śmiał się z całej duszy, odzyskując dobry humor. „Prawdę powiedziawszy, ja też nie wiem. To taki sposób mówienia, który od dziecka powielokroć słyszałem w Catai. Używali go często starsi... Ach, jak szybko leci czas, gdy się gawędzi! Prawieśmy na miejscu?”, dodał wskazując podbródkiem widoczny w dali zamek.

„A jeżeli zapytają nas o cel odwiedzin? Nie przypominam sobie, byśmy się zapowiedzieli!”.

„Jakże bym poruszył wodę, gdybym się zapowiedział, może jeszcze na kilka dni naprzód? Powiesz, że... przejeżdżaliśmy tedy przypadkiem i... zdało się nam stosowne zajechać, by podziękować za niegdysiejszą uprzejmą gościnność... albo mów, co ci się podoba. Sam się zastanów, co by tu wymyślić!”.

„Czy to rozsądek ci podpowiada, żeby to mnie zawsze obarczać najniewdzięczniejszymi zadaniami?”.

„A masz lepszy pomysł?”, uśmiechnął się chytrze Konrad.

„Owszem, mam! Sam znajdź jakąś dobrą wymówkę, jesteś przecież o tyle śmielszy ode mnie!”.

„Zgoda, jak chcesz”, przystał natychmiast Francuz.

„Chwileczkę, chwileczkę! — zawołał Gaddo, zaniepokojony niezwykłą ustępliwością

przyjaciela. — Wyraz twojej twarzy nie budzi mego zaufania. Zrozumiałem, tak, zrozumiałem i z wszystkiego się wycofuje. Lepiej, żebym to ja mówił, bo zawsze, kiedy ty otwierasz usta, wpadam po uszy w kłopoty”.

„A więc zgoda. Ale wymyśl coś, żywo, bo już przyjechaliśmy”.

Istotnie, pokonawszy ostatni odcinek drogi wznoszącej się w górę, dotarli do wrót. Nie czekali długo. Prawie natychmiast brama otworzyła się z chrzęstem żelastwa i pojawiło się czterech uzbrojonych ludzi.

Przemówił Gaddo: „Zwiemy się ojciec Casalberti i ojciec Leclerc. Zaanonsujcie nas hrabiemu”.

Najstarszy z mężczyzn skinął na najmłodszego, który pobiegł co tchu uprzedzić właścicieli domu. Starszy zaś otworzył skrzydła bramy i zaprosił, by weszli.

„Znam was, panowie. Widziałem was, gdy przybyliście poprzednim razem. Wejdźcie, proszę. Hrabia z przyjemnością powita was znowu”.

„Miejmy nadzieję”, pomyślał Gaddo, idąc za dowódcą straży. Zauważył, nie bez lęku, iż pozostali dwaj kroczyli za nim i Konradem, trzymając się w pewnej odległości. Z szacunku, czy żeby ich pilnować?

Przemierzyli w milczeniu cały dziedziniec wewnętrzny i stanęli u stóp wąskich schodków, wiodących do rezydencji pana zamku.

Zaczęli się wspinać gęsiego, dotykając muru prawym ramieniem.

Wewnętrzne schody zamków zawsze budowano, wąskie i długie, aby ewentualni napastnicy nie mogli swobodnie poruszać mieczem w prawej ręce. „Gdybym miał napaść na zamek, pomyślał Konrad, zaopatryłbym się w broń dla leworęcznych”. Jednak nie roześmiał się z dowcipnej refleksji, gdyż u góry schodów czekał już na nich Szymon Visconti. Uśmiechał się życzliwie, lecz obu mnichom weselszy zdałby się uśmiech węża.

„Witamy ponownie, panowie. Uwierzycie w to, lub nie, raduję się, widząc was znowu w dobrym zdrowiu. Hrabia prosi o wybaczenie, lecz w tej chwili cierpi na niewielką niedyspozycję. Zaszczyci was później, jeśli się lepiej poczuje”.

„Widzę, że jesteście tu, panie, jak w domu!”, powiedział do niego Konrad, lekko się skłaniając.

„O, tak, drogi przyjacielu. Hrabia i ja jesteśmy sobie bardzo... bliscy. Lecz proszę, wejdźcie. Zaraz każe wam przynieść wodę do obmycia i coś dla ugaszenia pragnienia”.

Skinął na sługi, którzy bezgłośnie zniknęli. Następnie, gestem pełnym galanterii poprosił gości, by poszli za nim.

Przyjął ich w surowej komnacie, udrapowanej tkaniną czarną i czerwoną, a ozdobionej masywnymi meblami z lśniącego, ciemnego drewna. Pomieszczenie, oświetlone świecami i pochodniami (słońce chyliło się już ku zachodowi) zdało się ponure, jakby miało wprawiać gości w zakłopotanie.

„Celowy wybór”, pomyślał Konrad.

Usiedli. Przyniesiono wina. Sługa postawił je i wyszedł. Popijali drobnymi łyżkami, aż wreszcie Visconti przerwał milczenie.

„Co tam z waszym dochodzeniem?”

„Nieźle, — odrzekł Konrad, pozornie pochłonięty obserwowaniem bąbelków na dnie szklanki. — A co z waszym?”

Visconti wybuchnął głośnym, dźwięcznym śmiechem.

„Czy wiecie, ojczec Leclerc, że podobacie mi się? Nareszcie, pośród duchownych, jakiś mężczyzna! Dobrze, zagrajmy w otwarte karty, jak mawiają niewierni”. Podniósł się. „Pójdźcie, chce wam coś pokazać. A raczej, kogoś”.

Tamci też się podnieśli, zaskoczeni. Lub raczej: Konrad nade wszystko zaciekawiony, zaś Gaddo nagle zaniepokojony. Postępując za Viscontim wyszli z komnaty, przemierzili korytarz, potem schody, potem jakiś inny korytarz aż doszli do drzwi ciężkich, małych i niskich. Żeby przez nie wejść, musieli pochylić głowy.

Znaleźli się w pracowni alchemicznej. Było tam wszystko, co niezbędne: retorty, alembiki, atanor, szklane gąsiory z wygiętymi szyjkami, wyziewy, wrzące substancje, kociołki i kolorowe płyny.

Oraz Michał Scoto i Ibn Harudne.

„Ha, doskonale! — zawołał Konrad z sarkazmem. — Otóż i jesteśmy w komplecie”.

Visconti zamknął za sobą drzwi i zasunął rygiel.

„No, nie wszyscy, lecz większa część”, uśmiechnął się Michał Scoto, spoglądając na obu zakonników.

„Jak widzisz, drogi Gaddo, — rzekł Konrad, wskazując wokoło, — zbyteczne było iść do wieży Serowarów. Tam już niczego nie ma. Wszystko jest tutaj. A raczej tam nigdy nic nie było, ani też nikt nigdy nie słyszał o Michale Scoto. Czy się myłę, panie?”

„Nie mylicie się, przyjacielu. Nigdy nie przypuszczałem, bym was mógł choć odrobinę zaczarować!”, odrzekł mag.

„No, w pewnym sensie to wam się udało. Zresztą, gdybyście nie byli przebiegli, nie zasługivalibyście na waszą sławę. A raczej nie bylibyście sławni”.

„Wyznaję, iż niełatwa jest z was sztuka. Musiałem się liczyć z waszą bystrością. Nie, to nie było łatwe. Ale z pewnością chcielibyście wiedzieć, co tutaj robimy, prawda?”

„Nietrudno mi to sobie wyobrazić, chociaż nie pojmuję, w jaki sposób chcecie to osiągnąć bez kamienia. Zadam jednak inne pytanie: czy i hrabia bierze udział w tej zabawie?”

„Wcale nie, — wtrącił Visconti. — Hrabia jest w tej chwili naprawdę chory. Po prawdzie niezbyt jest przychylny sprawie, lecz z racji... szczególnych, by tak rzec, ze mną stosunków, zrobił dobrą minę i zezwolił, bym korzystał z tego zacisznego miejsca i mógł w spokoju dokończyć tę sprawę, której, jak pojmujecie, nie mógłbym dokonać w swoim domu w Pizie.”

„A zatem szantaż. I dziwnym trafem zachorował w samą porę!”

„Och, nie! Choroba jest prawdziwa. I szczerze mówiąc lepiej, by teraz hrabia nie wstawał z łoża. Ja go wyleczę, kiedy wszystko się zakończy”, wtrącił Michał Scoto.

„Muszę przyznać, że wasz cynizm jest po prostu wzruszający!”, wykrzyknął Konrad, podczas gdy Gaddo spoglądał w twarz to jednemu, to drugiemu, starając się coś zrozumieć z tej słownej szermierki.

„Och, przyjacielu, daj spokój! — odezwał się tym razem Harudne. — Wy, chrześcijańscy księża, macie zawsze przesadne skrupuły. Tutaj miejsce na podium zwycięzców jest zbyt wysokie, byśmy sobie mogli pozwolić na sentymentalizmy! Ja, mag i Visconti uzgodniliśmy, że w obecnym stanie rzeczy nie ma sensu się spierać. Ten syn Iblisa — albo, jak wy go zwiecie, Szatana — ten katar zbyt jest szczywany i potężny dla każdego z nas z osobna.

„Toteż obecny tutaj Szymon Visconti usiłował przekonać katarów, iż mogą liczyć na jego protekcje w Republice i prawie się udało. Lecz potem pojawił się ten diabeł i nie dał się podejść, tak że teraz jesteśmy tu wszyscy.

„Jak zapewne już wiecie, przygotowujemy Wielkie Dzieło, tak byśmy byli gotowi natychmiast wytrącić roztwór, kiedy tylko dostaniemy kamień. Potem znikniemy i nikt więcej o nas nie usłyszy”.

„A kiedy dostaniecie w swe ręce ów kamień? — rzekł z powątpiewaniem Konrad. — Macie nadzieję, że tamten przyniesie go wam aż tutaj?”.

„Allah jest wielki, — odparł tajemniczo Turek. — On, niech będzie jego imię błogosławione, wie, że jego dzieci potrzebują mocy kamienia. W odpowiednim czasie złoży nam go u stóp”.

„*Inch' Allah!* Jakaż wiara!”, zawołał Konrad, wykrzywając usta na znak niezadowolenia.

Turek postąpił krok naprzód, z groźną miną. „Nie bluźnij, niewierny! — zasyczał zza ściśniętych zębów. — Albo sobie przypomnę, że wciąż wielkie jest me pragnienie zmierzenia się z tobą!”.

„Przestańcie! — wtrącił się Visconti. — Wasze religijne spory nas nie obchodzą. Wszyscy mamy coś ważniejszego do spełnienia”.

„O tym, że was, Szymonie Visconti nie obchodzą sprawy religijne, wiemy już od pewnego czasu. Nie powiem wam, żeście zdradzili Chrystusa, gdyż sami o tym wiecie. Zresztą, niewiele wam na tym zależy. Lecz mylicie się co do jednego: nam wcale nie zależy na waszym Wielkim Dziele, zatem odchodzimy”, rzekł Konrad, kierując się w stronę drzwi.

„Nie radzę”, zawołał w jego stronę Visconti.

Konrad nie odwracając się, przystanął, i czekał, co będzie dalej.

„Są pośród sług ludzie absolutnie mi oddani. Nie wyjdziecie żywi z zamku”.

„A w jakim to sposób zaprowadzicie pokój pomiędzy stronnictwami w Pizie, jeżeli nas zabijecie?”, odparł ze spokojem Konrad, odwracając głowę.

„Po tym, co się wam przydarzyło z katarami, nietrudno będzie rozpuścić pogłoskę, iż to

oni was zgładzili. Nie po raz pierwszy mordują inkwizytorów. Musicie zostać. Starczy i dla was”.

„Nie interesuje mnie to, dzięki. Jedno wszakże pytanie: dlaczego nas w to wciągacie?”.

„Was nikt nie będzie podejrzewał, bo nie widzieliście hrabiego. A, jak możecie stwierdzić, ja nie miałem zbyt wiele czasu, by czynić wam honory domu”.

„Ach, tak. Nie ufacie jeden drugiemu. Nie czujecie się na siłach, by pozostawić tamtych samych tutaj, z uwagi na miejsce w grze. Poza tym wiążąca was przyjaźń z pewnością nie jest braterska.

„Ostatnie pytanie, proszę: dlaczego sądzą, że wróciwszy do Pizy nie puścimy pary z ust?”, zapytał Konrad, postanowiwszy odwrócić się.

„A któż by wam uwierzył? Kiedy wszystko dobiegnie końca, nie zostanie nawet ślad czegokolwiek. Ci dwaj przyjaciele, — Visconti zaśmiał się szyderczo — znikną jak kamfora, zaś hrabia będzie miał wszelkie powody, by milczeć. A czy wyobrażacie sobie katarów, jak pędzą do arcybiskupa, by mu o tym donieść?”.

„Niezła z was banda drani!”, wykrzyknął Konrad, dając swobodny upust swemu niezadowoleniu.

„Nic sobie nie robię z waszych obelg, ojcze Leclerc, To tylko słowa. A teraz dosyć gadania. Siadajcie obaj i, jeśli chcecie, przyglądajcie się, albo bądźcie cicho. Zwłaszcza zaś wybijcie sobie z głowy pomysł, by wyciąć nam jakiś szpetny dowcip, — rzekł z powagą Visconti, kładąc dłoń na zatkniętym za pas sztylcie. — Nie zawahałbym się zabić was jak psów. I przypominam o moich ludziach za drzwiami”, zakończył swą groźbę.

„Ach, nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości!” skłonił się Konrad, popychając przełkniętego Gadda w stronę ławy.

Kiedy usiedli, tamci zaczęli się krzątać pośród przyrządów.

W rzeczywistości tym, który wszystko robił był naturalnie Michał Scoto. Jego kompani podawali mu tylko z gorączkowym pośpiechem to, co od czasu do czasu im wskazywał.

Mag myślał na głos, tak bardzo pochłonęło go jego zajęcie. Mamrotał fragmenty jakichś zdań, niezrozumiałe dla pozostałych.

„Do diabła z tym piecem! Trzeba czym prędzej rozpalić ogień generujący! Dwie części ołowiu i jedna cyny, szybko! Tak jest, dobrze. Teraz do tygla... tak... dobrze, dobrze!... Naprzód musi się stać czarna... potem biała... i wreszcie czerwona... tak! Doskonale. Prawie kończymy...”.

Gaddo cały drżał, mimo iż z pieca buchał coraz większy żar, i instynktownie tulił się do Konrada; ten zaś uważnie obserwował całą operację, odpychając przyjaciela ramieniem za każdym razem, gdy ów zbyt blisko na niego napierał.

„Wszystko gotowe do Projektji! — rzekł tymczasem mag. — Teraz brakuje jedynie Kwintesencji... źródła wszystkich metali... czterech elementów... Ona przemienia metale zwykle w doskonale... szkło w szlachetny kamień... lecz wszystkie choroby... ale przede

wszystkim daje Wiedzę!”. Wypowiedział te ostatnie zdanie tonem egzaltowanym, z oczyma rozwartymi pod wpływem rozkoszy. Potem nagle znowu stał się sobą, jak zawsze chłodny, jasno myślący. „Pilnujcie, by temperatura nie spadła!, rozkazał.

„A ty jak do tego doszedłeś?”, zapytał zniecierpliwiony Konrad, zwracając się do Turka.

Ten zerknął pytająco na Scota, który skinął zezwalająco.

„Przypadkowo przeczytałem *Omayyady*, wiersze Khalijy ibn Jazida. Znalazłem rękopis pośród dokumentów mego dziadka, który miał je od swojego dziadka, ucznia Dżiabira ibn Hayyana”, rzekł Harudne.

„...as Sufiego?”, uzupełnił Konrad.

„Widzę, że go znasz”, powiedział tamten.

Francuz nie ustępował:

„W jaki sposób znalazłeś przejście, prowadzące na zgromadzenie katarów?”.

Turek wymienił spojrzenie z Viscontim i odparł: „Obecny tu przyjaciel nakazał mi, bym cię śledził. Widziałem, jak gawędziłeś z żebrakiem. Potem zacząłeś iść za katarzem a ja za tobą. Tylko, że ja wszedłem do tego domu; naturalnie po kryjomu. I usłyszałem o zgromadzeniu. Później kryjąc się pośród odwiedzających poszedłem na cmentarz, żeby lepiej się tam rozejrzeć. I całkiem przez przypadek stanąłem na kamiennej płycie nagrobnej, która się odsunęła, ukazując mi przejście. Chrześcijanin nigdy nie podeptałby grobu”, zakończył z ironią.

W tym miejscu głos zabrał Scoto: „Płaskorzeźba przedstawiająca Rogera Trumpingtona służyła oczywiście jako znak katarom z obcych krain”.

Konrad znowu zwrócił się do Turka: „Dlaczego tamtej nocy nad brzegiem Arno broniliście nas przed katarami? Nie znalazłeś się tam przypadkiem, prawda?”.

Harudne zaśmiał się: „Wtedy śledziłem nie was, ale ich. Zaprawdę, nie miałem najmniejszego zamiaru robić im kłopotu. Potem poszedłem za głosem serca: miałem wobec ciebie dług wdzięczności, a jestem człowiekiem honoru”.

„Tak, — rzekł Francuz. — Zwłaszcza zaś nie było w tym momencie wskazane, by nasza śmierć, stawiając władze w stan pogotowia i odkładając wizytę katarów w mieście, zniweczyła wasze zamiary”.

W tym miejscu Konrad zwrócił się do Viscontiego:

„A wy?”.

Ten także zerknął pytająco na maga, który zawołał: „Nadeszła odpowiednia chwila. Nie ma potrzeby dłużej czekać. Jesteśmy gotowi”.

Szymon Visconti zawahał się i, na znak Scota, zdecydował się odpowiedzieć: „Nie wyjaśnię ci, jak to zdobyłem, nie będzie na to czasu”. Zrobił przerwę i przełknął ślinę. Potem rzekł powoli: „Czyś słyszał o dziele *Tabula Smaragdina* Hermesa Trismegistosa? Ja je mam”.

Konrad nie zdołał odpowiedzieć: w komnacie, w ciszy, jakby wybuchło oślepiające światło.

Zaskoczony Gaddo runął do tyłu, wywracając ławę i pociągając za sobą Konrada. Pozostali cofnęli się do ścian, zakrywając oczy rękoma przed straszliwą jasnością.

Trwało to moment, błysk nie dłuższy niż mgnienie oka, lecz wystarczający, by oślepić. Kiedy ośmielili się otworzyć oczy spostrzegli, że z wielkiego światła pozostała tylko świetlista kula unosząca się pośrodku komnaty.

W kuli, diabelsko przejrzystej, widać było wyraźnie wstrętą twarz rzekomego Merowinga, przywódcy katarów, którego imię miało pozostać na zawsze nieznanym bohaterom tych wydarzeń.

Uśmiechał się ponuro w kierunku Konrada, który zaczął ostrożnie obchodzić go dookoła, przypatrując mu się. Oczy wizerunku śledziły jego ruchy.

Z wyrazu twarzy pozostałych Konrad odczytał, że wszyscy czuli się obserwowani bezpośrednio, tak jak on; oblicze kataru widać było zawsze z przodu, bez względu na to, z której strony się nań patrzyło.

Chwycił nagle zydelek i usiłował uderzyć nim w kulę, ale zdołał jedynie przeciąć powietrze.

Straciwszy równowagę od takiego zamachu, Francuz znowu runął na ziemię i omal się nie okuliwał, uderzając się zydelkiem w stopę.

„Daj spokój, księżo! — zbulgotał ze śmiechem wizerunek. — To co widzisz, to moje ciało astralne. Ciało fizyczne jest, naturalnie, gdzie indziej. Nie łam sobie głowy, by to pojąć. Anglik wie doskonale o czym mówię. Czyż nie, mój nieprzyjacielu?”

„Nie ruszajcie się z miejsca! — rozkazał Michał Scoto. — I nie bójcie się. To tylko złudzenie!”

Kula znowu zaczęła mówić: „Anglik ma rację, lecz zapomniał, że mogę was wszystkich oślepić, kiedy zechcę.

Wiedziałem, że ta księga jest w Pizie. I przez całe życie... a raczej przez wszystkie życia jej szukam”.

Gaddo był do głębi wstrząśnięty. Nawet Konrad, który niemało widział w swej karierze czarów, nie był wolny od lęku. Zjawia ta, oprócz tego, że mówiła prawdę posiadała realną moc wzbudzania strachu, ciężkiego, potężnego, dotykającego, nie do zniesienia.

„Kiedy przybyłem, wyraźnie odczułem jej obecność, — ciągnęła zjawia. — Nie wiedziałem tylko, kto ją posiada. Kiedy mi powiedziano, że jest tutaj myślałem, że to ty Angliku ją masz, choć nie kryje zaskoczenia, iż znowu cię widzę”.

„Pomijając fakt, że jestem Szkotem — wtrącił Michał Scoto — dobrze wiesz, że i ja potrafię zrobić tę sztuczkę z ciałem astralnym.

„I nie przypisuj sobie takiej wszechmocy. Jesteś śmiertelnikiem jak wszyscy, bez wcześniejszych istnień! Powiedz raczej, że nie mogłeś się tak długo koncentrować, by dokonywać bez przerwy projekcji swego ciała astralnego i odkryć, kto ma księgę. Trzeba było dopiero, by właściciel mówiąc o niej, ujawnił przed tobą szeroko myśli, abyś mógł się

dowiedzieć. Czy to ci nic nie sugeruje?”.

Szyderczy uśmiech zniknął z oblicza kataru, namalowało się na nim rozwścieczenie i kula ponownie rozszerzyła się na całą komnatę, błyskając straszliwym światłem.

„Uspokójcie się! — krzyknął Scoto. — Nic nam nie może zrobić!”.

Kula znowu powróciła do poprzedniej wielkości. Lecz teraz katar już się nie uśmiechał.

„Chcesz rzec, iż uczyniłeś to naumyślnie, ty psie? Tak, uczyniłeś to naumyślnie. No, dobrze. Ja mam kamień a ty księgę. Jedno bez drugiego nie jest nic warte, obaj o tym wiemy.

„Składam ci więc propozycję: zapomnijmy o starych urazach i sprzymierzmy się. We dwóch zapanujemy nad światem”.

„Mnie interesuje tylko wiedza, panowanie mnie nie obchodzi, — odparł mag. — A poza tym wolałbym się raczej sprzymierzyć z wężem aniżeli z tobą. Znam cię, ty nie podzieliłbyś się nawet z własną matką, założywszy, iż wiesz kto nią był”.

Katarem targnęła wściekłość, sprawiając, że jego wygląd stał się wstrętny. Strużka śliny wyciekała mu z kącika ust, półotwartych i dyszących z gniewu.

„...i dosyć ze sztuczkami ze światłem! Jak widzisz, na nic się nie zdały”, ponaglił Scoto.

Katar wrzasnął ze złości, a kula, błysnąwszy ostatni raz, zniknęła, pozostawiając wszystkich w osłupieniu. Wszystkich, oprócz, rzecz jasna, Michała Scota, który natychmiast rzucił się do drzwi.

„Szybko! — zawołał. — Jest tutaj!”. I pospieszył na korytarz. Pozostali instynktownie trzymali się z tyłu.

Jednak Visconti dopadł go jednym susem i, chwyciwszy za ramię, zatrzymał. „Co to znaczy jest tutaj? Tutaj, gdzie?”.

„Spieszmy się, nie ma wiele czasu na wyjaśnienia!”. Mag mówił poruszony. „Musi być w zamku. Projekcja ciała astralnego nie może się dokonywać na większe odległości!”.

„Ależ to niemożliwe! Nikt nie może wejść do zamku, nie będąc widziany, chyba że jest niewidzialny lub potrafi fruwać!”.

„No, co do tego, możemy być pewni: skoro jeszcze ja nie potrafię tego robić, nie potrafi i on — wyszeptał mag w zamyśleniu. — A zatem musi tu być jakieś podziemne przejście”.

„W tym zamku nie ma żadnego podziemnego przejścia — odparł Visconti, — wiem o tym. Znam to miejsce od małego dziecka. Przemierzałem je wzdłuż i wszerz. Nie ma żadnego przejścia.

„Posłuchaj: ślepo ci zaufałem, robiłem coś powiedział, boś mnie przekonał, że znasz sposób na schwytanie kataru. Teraz jednak mam powyżej uszu twoich czarów i przeczuć. Tutaj nie może być nikogo, poza tymi, którzy tu mieszkają.

„A zresztą, gdyby to co mówisz jakimś dziwnym trafem okazało się prawdą, co ci każe sądzić, że on przybył w pojedynkę? I, na dodatek, z kamieniem!”

Śmiał się głucho i, wypowiadając ostatnie zdania, uchwycił szaty maga potrząsając nim.

Nagle rozbłysła niebieskawa iskra i Visconti z grymasem bólu, jak oparzony, oderwał

dłonie od piersi Szkota który, stojąc nieruchomo, przestrzegł go: „Nigdy więcej nie podnoś na mnie ręki”. Szymon Visconti zaczął gnieść palce, spoglądając nań ze zdumieniem i przestachem. Tamten, jakby nic się nie stało, ciągnął: „Mówię ci, że jest tutaj, sam i z kamieniem. Nosi go ze sobą, bo nikomu nie ufa. A poza tym nie mógł przybyć z gromadą katarów z tego prostego powodu, że nie chce, by się dowiedzieli, iż w ogóle nie zależy mu na niczym w sekcie, co nie służy, po pierwsze, zawładnięciu księgą, a po drugie — władzy.

„Jest jeszcze jeden motyw, nie mniej ważny: kiedy wysyła się ciało astralne, ciało fizyczne pozostaje w stanie całkowitej nieświadomości. Powiedziałem ci, że on nikomu nie ufa. Wyobraź sobie, by się zdał na całkowitą łaskę i niełaskę kogokolwiek, także katarów, podczas gdy leży prawie bez ducha w pentagramie!

„Jest tutaj, wiem, chociaż jeszcze nie wiem gdzie. Ale mogę to odkryć. Teraz, korzystając z tego, że przez ciebie straciłem sporo czasu, przywołał już swoje ciało astralne i zmyka. Nie mógł jednak uciec zbyt daleko, Bądźcie więc teraz zupełnie cicho i pozwólcie mi działać!”.

Tamci z osłupieniem patrzyli, jak wyciąga z kieszeni czarną chustę i przepasuje sobie nią oczy. Kiedy zawiązał ją w ciasny węzeł na karku, opuścił ramiona wzdłuż boków i wyprostował się, aż całe jego ciało całkowicie znieruchomiało. Potem powoli obrócił się ku rozgałęzieniu korytarza i zaczął iść.

Pozostali szli za nim, spoglądając na siebie pytająco.

Powoli jego krok stawał się szybszy, coraz szybszy. Po chwili wszyscy biegli za magiem, który z zawiązanymi oczami schodził ze schodów, otwierał drzwi, wybierał korytarze. I znowu schody, schody, które prowadziły wciąż w dół, aż do podziemi, aż do spiżarni, aż do piwnic.

Słudzy, damy, zbrojni oglądali się za nimi ze zdumieniem..

Pewna młoda dworka zaklaskała radośnie w dłonie, podskakując:

„Och, jakie to ładne! Co to, jakaś nowa ciuciubabka?”

Pewna starsza dama kwaśno zauważyła: „Szymon Visconti nie kwapi się do zabaw. A już na pewno nie z jednym niewiernym i dwoma mnichami!”.

Ktoś, sądząc że Visconti goni maga, uczynił gest, jakby chciał mu pospieszyć z pomocą, lecz został gwałtownie odepchnięty przez tych, którym zamierzał pomóc.

Biegli teraz na złamanie karku, a mag, choć z zasłoniętymi oczami, pędził jak opętany.

Przemierzając sale zbrojnej straży wywrócili do góry nogami stół oraz tych, którzy siedzieli przy nim, grając w kości. Jeden z graczy, powstając, zawołał: „Ależ tamten miał na oczach przepaskę... albo musze przestać pić?”.

Dotarli do piwnic, przemierzając je wzdłuż, aż do samego krańca, do ostatniej ściany.

Innej już nie było. Jedyne drzwi były tymi, przez które weszli.

Gaddo usiadł na ziemi, dysząc. Innym także brakło tchu. Michał Scoto, świeży jak kwiat, zerwał z oczu chustkę i dotknął ściany: „To tutaj”.

„Tutaj jest tylko mur!” rzekł ochryplym głosem Visconti.

„A więc musi być przejście! Dalej, do roboty. Ale prędko!”

Zaczęli ostukiwać mur wzdłuż i wszerz, podważać kamienie, naciskać, drapać. Na próżno.

„Do licha, umknie nam!”, wykrzykiwał mag, miotając się gorączkowo.

„Poddajmy się! Wystarczy, nic z tego!”, zaszlochał Gaddo, na wpół żywy.

„Nie. On tam jest, czuję to”. Mag wyprostował się jak struna i stanowczo rozkazał.

„Odsuńcie się! Odsuńcie się wszyscy! Zróbcie jak wam mówię!”

Przyzwyczajeni już, by go słuchać, cofnęli się aż do przeciwległej ściany.

Wtedy Michał Scoto wyciągnął z kieszeni płócienny woreczek. Otworzył go. Był w nim jakiś drobny, szarawy proszek, który mag zaczął rozsypywać strużką na ziemię wokół ścian, aż do ściany, przy której skupili się pozostali.

Kiedy woreczek był pusty, wyciągnął dwa małe krzemienie i pochylił się nad strużką proszku, która dochodziła do jego stóp.

„Co to, proch strzelniczy? — spytał Konrad. — Co najwyżej wybuchnie płomieniem!”

„To nie proch, — odrzekł tamten, — i radzę wam skryć się za czymś!”

Nikt nie wykrztusił ani słowa, lecz wszyscy rzucili się za beczki z winem, zaś mag pocierał skałką. Rychło iskry przeniosły się na proszek, który zajął się niebieskawym ogniem. Płomień mknął błyskawicznie aż do muru, a kiedy go dosięgnął, wybuchł przerażającym hukiem.

Ledwo rozwiął się dym, oniemiała gromadka ujrzała wyrwę, na miarę człowieka szeroką i wysoką.

„O, święci niebiescy!”, wykrzyknął osłupiały Gaddo.

„Żywo!”, rozkazał mag, podskoczywszy w stronę wyrwy.

Wszyscy rzucili się tam, przeciskając się jeden za drugim i bezładnie popychając się w stromym zejściu. Znaleźli się w ciemności.

„Ale tu nic nie widać!” rzekł Gaddo i natychmiast przeraził się brzmienia swoich słów, które wracały zwielokrotnione echem, wskazującym na jakieś ogromne pomieszczenie.

To sprawiło, że ucichli. Nikt nie miał odwagi odetchnąć w tych ciemnościach i w aurze niewiadomego, które ich otaczało.

Rychło jednak ciszę przerwało jakieś donośne skwierczenie: nad ich głowami zajaśniał niewielki, lecz niezmiernie żywy, jasny blask oświetlając widmową poświatą twarze i przestrzeń wokół.

To sprawa maga, człowieka niezwykle pomysłowego i zaradnego, który z pewnością przygotował się do tej przygody. Trzymał w ręku coś (nigdy nie dowiedzieli się, co) z czego pochodziło światło. Nikt go o nic nie pytał, wszyscy uważnie rozglądali się dookoła.

Znajdowali się w jaskini, tak wysokiej, że nie widać było sklepienia, od góry do dołu najeżonej nieprzeliczonym mnóstwem spiczastych stalaktytów i stalagmitów, które odbijały światło we wszystkich możliwych do wyobrażenia kolorach: niebieskim, czerwonym,

zielonym, żółtym, fioletowym...

Jeden tylko diabeł wiedział, w jaki sposób katar znał jej istnienie i skąd tu się przedostał. Najbardziej ze wszystkich zdziwiony był Visconti, co z góry wykluczało stawianie mu jakichkolwiek pytań na ten temat.

W każdym razie, o pytaniach nie było mowy. Najważniejsze, iż nigdzie nie było śladu kataru.

Idąc za Michałem Scotem, jedynym białym światłem w tych niewiarygodnie kolorowych błyskach, spostrzegli, iż pieczara zwięza się w jednym końcu, przechodząc w naturalny tunel, wydrążony przez wodę. Istotnie, spory strumyk wypływał z tego otworu, wielkości człowieka, i tworzył w pieczarze, liczne, rozległe kałuże.

Mag wskazał na tunel i skinął na pozostałych, by poszli za nim. Wstrzymał go jednak znany już niestety głos, zwielokrotniony echem.

„Nie ma po co, Angliku. Jestem tutaj.”

Wszyscy odwrócili się jednym susem, z sercem w gardle. Za ich plecami stał katar z krwi i kości, nieprawdopodobnie chwiejąc się na wielkim stalagmicie w drugiej części jaskini.

„A więc nie uciekłeś, psi synu!”, wykrzyknął mag.

„Nie doceniasz mojej mocy, Angliku. Nie wyjdziecie stąd żywi. A ja będę miał księgę”.

„Nie. To ty nie wyjdiesz stąd żywy, przekłety! — zawołał z wściekłością Harudne. — Nas jest pięciu, a ty jeden!”.

„Jeden? — odrzekł katar, wybuchając gromkim śmiechem, powtórzonym po tysiackroć przez echo. — Popatrz!”.

W tejże samej chwili zwielokrotnił się: na czterech innych stalagmitach ukazały się cztery jego kopie, doskonale identyczne.

Konrad z towarzyszącymi, zbici z tropu i dezorientowani, przywarli do ściany, nie wiedząc gdzie patrzeć.

Wzburzony mag skinął ręką na Viscontiego, rozkazując:

„Daj mi księgę, prędko!”.

Ten wahał się, spoglądając to na maga, to na kataru i zwielokrotnienia jego postaci.

„Zrób co ci mówię, natychmiast! — wrzasnął rozwścieczony Scot. — Ty nic mu nie możesz zrobić!”.

Szymon Visconti posłuchał odruchowo. Wyciągnął spod kaftana plik skór i podał go magowi.

Ten, nie spuszczać z oczu wroga i jego kopii, wyciągnął dłoń i chwycił księgę, potem pokazał ją drwiąco pięciu postaciom kataru i wsunął ją sobie za pazuchę wołając:

„Teraz chodź i weź ją sobie, jeśli chcesz!”.

Przez oblicze tamtego (czy raczej tamtych?) przemknął wyraz niezadowolenia.

„Najwidoczniej było napisane, że tak musi się skończyć. A zatem na nas dwóch kolej!”.

„Odejdźcie stąd! — szepnął mag towarzyszy. — I cokolwiek się stanie, na miłość

Boską, nie wtrącajcie się!”.

Potem odszedł kilka kroków, rozłożył ramiona i... również się zwielokrotnił. Pięciu Michałów Scotów biegało po pieczarze, każdy w innym kierunku.

Katarzy natychmiast zniknęli, by pojawić się każdy obok każdego z Michałów Scotów.

Magowie znikali i ponownie się pojawiali w rozmaitych miejscach, i to samo, bez przerwy, czynili katarzy. Stojący przy ścianie, czuli ból w oczach od tego widoku.

W pewnej chwili jeden z katarów zmaterializował się, stając tyłem przed Viscontim, który natychmiast wymierzył mu cios pięścią. Lecz ręka przeszła gwałtownie przez bezcielesny obraz.

Katar odwrócił się, by na niego spojrzeć, chichocząc mu szyderczo w twarz, potem zniknął, by pojawić się gdzieś dalej.

Sarabanda, tak jak się nagle zaczęła, tak nagle ustała i pozostały tylko dwie postaci: jeden katar wysoko na skale i, na drugim krańcu, jeden Michał Scoto.

„Nigdy ci się nie uda! — zawołał mag. — Jesteśmy równi!”

„I tu się mylisz!”, zasyczał tamten i wyciągnął rękę w stronę przeciwnika.

Natychmiast, nie wiadomo skąd, wyfrunęły tysiące nietoperzy i całym mrowiem rzuciły się na maga. Ten zakrył głowę ramionami i zniknął pod czarną chmurą rojących się, lepkich skrzydeł.

Harudne chciał się rzucić na pomoc Szkotowi, ale Konrad go powstrzymał.

Z nagłą wokół maga rozblęskło niebieskie światło i nietoperze odleciały z ohydny piskiem, znikając w zakamarkach jaskini.

Teraz przyszła kolej na Scota.

Podniósł rękę z wyprostowanymi kciukiem i palcem wskazującym. Rozległy się gwizdy i piski, pochodzące z podnóża skały, na której stał katar. Wszyscy zwrócili się w tamtą stronę i ze zgrozą dostrzegli całe gromady odrażających stworzeń, myszy, pajaków, karaluchów, najrozmaitszych węży, zdążających do stóp garbusa.

On jednak ledwie rzucił na nie pogardliwym spojrzeniem, następnie z ponurą, złowróżbną miną zamknął oczy i zniknął.

Tamci rozglądali się przez długie, dręczące chwile, starając się odgadnąć, gdzie mógłby się pokazać. Jeżeli miałby się znowu pojawić.

I rzeczywiście, pojawił się znowu i to nie gdzie indziej, jak na ramionach Michała Scota, którego towarzysze jednym głosem wydali ostrzegawczy okrzyk.

W samą porę.

Szkot, obróciwszy się z nagłą, ujrzał wroga i zniknął, by się pojawić na drugim wierzchołku podziemnej skały.

Rycząc z wściekłości katar, przygotowywał się, by dotrzeć do niego posługując się tym samym sposobem błyskawicznego przemieszczania się, ale uprzedził go mag, który zaczął się zwielokrotniać.

Pięciu, dziesięciu różnych magów wyrosło na tyłu stalagmitach.

Katar, którego wygląd mówił, iż tym razem postanowił skończyć potyczkę, zrobił to samo i pojawił się zwielokrotniony w tych samych miejscach, co przeciwnik.

Każda kopia natarła na kopię antagonisty w szalonej walce wręcz, chwiejąc się na swoich stalagmitach.

Konrad i jego towarzysze, ogarnięci rozpaczą, usiłowali śledzić etapy starcia, lecz nie wiedzieli gdzie patrzeć.

„Co zrobimy?” zawołał struchlały Gaddo.

„Tylko dwaj są prawdziwi, tylko dwaj! — krzyknął Harudne. — Ale którzy?!”

„Istotnie, to złudzenia! To złudzenia!” rzekł Visconti, kręcąc głową na boki, żeby odgadnąć, gdzie naprawdę są przeciwnicy.

„Szukajcie cienia!”, zawołał nagle zdławionym głosem Konrad.

„To oni, to oni! Są tam!”. Gaddo pierwszy rozpoznał dwie postacie, które jako jedyne rzucały cień. Były najdalej, na ogromnym stalagmicie, którego niewidoczną podstawę zakrywały inne skały. Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę. Walka przybierała zły obrót dla Michała Scota: katar, ze zwierzęcą zębnością i siłą, nieprawdopodobną w tak rachitycznym ciele, chwycił maga za gardło szponiastymi palcami i dusił bezlitośnie, zwalając przeciwnika na kolana.

Widać było, że Scoto za chwilę wyzionie ducha. Z trudem łapał powietrze, twarz mu zsiniała, a oczy prawie wyszły z orbit.

„Trzeba coś zrobić! — wrzasnął Visconti, — jeśli katar zwycięży, będzie po nas! Nie możemy nawet marzyć o rywalizowaniu z nim! Jest zbyt potężny!”

„Szybko, daj mi swój pas!”, zawołał wtedy do niego Konrad.

Tamten spojrział nań, osłupiały. Natychmiast jednak zrozumiał i posłuchał, gdy zobaczył, że Konrad schyla się i podnosi duży kamień.

Francuz zgiął pas na pół, w zagłębienie włożył kamień i zaczął kręcić uczynioną naprędcę procą, naprowadzając ją na cel.

„A teraz niechaj święty król Dawid poprowadzi ją do celu, gdyż nie będzie czasu, by jeszcze raz spróbować”, powiedział zataczając koła prymitywną bronią.

„Teraz albo już nigdy!”, krzyknął.

Kamień poleciał ze świstem i, z Bożą pomocą, trafił katarą w skroń.

Trysnęła obficie krew. Mężczyzna obrócił się, jakby boleśnie zdumiony, i spojrział na ich grupkę. Zachwiał się, ale nie zwolnił uścisku. Stał tak przez kilka chwil nieruchomy, a potem z nieludzkim, przenikliwym, niesłychanie długim krzykiem spadł po drugiej stronie stalagmitu, pociągając za sobą maga.

„Nieeeee!” Wszyscy czterej jak jeden mąż rozpaczliwie krzyknęli i rzucili się razem do podnóża podziemnej skały.

Nie było to łatwe z powodu spiczastości i nierówności gruntu oraz głębokich kałuż.

Kiedy zaś okrążyli już strzelisty wierzchołek, stanęli zmartwiali z przerażenia.

Przepaść. Z tyłu była przepaść.

Konrad ledwo powstrzymał rozpędzonego Gadda, chwytając go za sutannę i ratując przed upadkiem w czeluść.

Była to prawdziwa otchłań, szczelina bez dna, czarna i wąska, której wylot mieścił się tak nisko, że był niewidoczny dla kogoś, kto nie okrążył stalagmitu. Po magu i katarze nie było śladu. Na pewno runęli w otchłań, bez szansy na wydostanie się.

Żegnajcie kamieniu i księgo, marzenia Harudne o sławie i Szymona Viscontiego o władzy. Żegnajcie też wszystkie tajemnice, które katar zabrał ze sobą.

Przez dłuższą chwilę, jakby zamienieni w słupy soli, patrzyli, zaglądali w rozpadlinę. Wreszcie, nie ośmielając się głośniejsz odetchnąć, cofnęli się w stronę otworu w murze.

Powitały ich dziesiątki par zdumionych oczu mieszkańców zamku, którzy przewyciężywszy przestrasz dotarli aż do piwnic, gdy udało się im zlokalizować miejsce w podziemiach, z którego pochodził huk.

Wyszli dosłownie w ostatnim momencie.

Eksplozja musiała nadwężyć delikatną równowagę odwiecznej jaskini. Pieczara runęła nagle ze straszliwym hukiem, w kilka chwil zasypując na zawsze otwór w murze.

XXII.

„A teraz?”

Konrad obrócił się, ukazując twarz znużoną i zgorzkniałą, na której malowało się jakieś przeogromne cierpienie: „Mój przyjacielu, czasem jesteś niewiarygodnie nudny. Od początku tej historii pytasz mnie w nieregularnych odstępach czasu: A teraz?”

Gaddo nalał wody do szklanki.

„Chcesz?” podał mu.

„Nie”.

„Przeszło ci pragnienie?”

„Tak”.

Gaddo postawił szklankę, nie pijąc. „Jeśli chciałeś mi dać do zrozumienia, że nie bardzo chce ci się rozmawiać, to ci się udało. Okaż jednak cierpliwość, zbesztaj mnie nawet jeśli chcesz, lecz muszę wrócić do tego pytania. Nie mogę tak tego zostawić. Sam rozumiesz, że zostaliśmy wszyscy z pustymi rękami. A my dwaj bardziej niż inni.

„Wszystko skończone, lecz dla mnie i dla ciebie wszystko się dopiero zaczyna. Tajemnica śmierci tej niewiasty pozostała niewyjaśniona”.

Konrad przesunął dłonią po oczach i rzekł z cicha: „Nie”.

„Nie?”, zapytał zaintrygowany Gaddo.

„Nie!”.

Wobec tej odpowiedzi odwrócił głowę i mierzył przyjaciela wzrokiem od góry do dołu: „Co, nie?”

„To już nie jest tajemnica, i to wszystko!”.

„Chcesz powiedzieć, że wiesz, kto jest mordercą?”

„Tak”, westchnął Konrad. Podniósł się i zaczął przemierzać komnatę. Podeszedł do okna i wyjrzał, a oczy zaszkliły mu się łzami. Wysoko na niebie świecił jasny księżyc, wypogodziło się. Wzgórza otaczające skałę Ripafratta rzucały wyraźny cień.

„Wszystko się kończy — rozmyślał Konrad — i wszyscy, w ten lub w inny sposób, wychodzimy z tego pokonani”.

Szymon Visconti powrócił do Pizy, do swoich politycznych sporów. Harudne, oczywiście, wymknął się. Kto wie, czy jeszcze go spotka. W gruncie rzeczy świat nie jest

wcale taki wielki. Hrabia, na samą wieść, że za jednym zamachem uwolnił się od wszystkich swoich trosk wyzdrowiał i prosił, by Konrad i Gaddo gościli u niego choćby przez tę noc.

Katarzy również, był o tym przekonany, znikną z okolicy. Bez przywódcy i bez protekcji Viscontiego powietrze Pizy stanie się dla nich nie do oddychania. A teraz...

„Konradzie! Czy ty mnie słyszysz?”

Tak się pogrążył w myślach, że nie słyszał wołającego go przyjaciela, który musiał aż potrząsnąć go za ramię.

„Wybacz. Jestem roztargniony”.

„O, święci Trzej Królowie! Trzeba być naprawdę Konradem z Tours, by powiedzieć coś takiego w kilka chwil po tym, gdy mi oświadczyłeś, że wiesz, kto zamordował?”

„Tak, to prawda... masz rację”. Konrad zdawał się zagubiony i zmieszany jak dziecko.

Tym razem Gaddo podniósł głos do krzyku: „Na wszystkich świętych, co zaludniają niebo, czy zechciałbyś i mnie wyjawić, kto to był?”

Konrad usiadł ciężko na krześle, wpatrując się w podłogę

„To byłeś ty”.

Gaddo, jakby rażony gromem, stał osłupiały w tej samej postawie przez kilka długich chwil.

Zapadła cisza, gęsta, ciężka nie do wytrzymania.

Gaddo niezmiernie powoli oderwał oczy od przyjaciela i wyprostował się z trudem. Podszedł do stołu, uniósł szklankę i napił się. Nie odstawił jej. Zaczął ją obracać w dłoni. Głos, jaki z siebie z bólem wydobył, był cichy jak westchnienie: „Jak do tego doszedłeś?”

Konrad podniósł się, postąpił dwa kroki w stronę Gadda, stanął i rozłożył ramiona.

„Dlaczego mi nie mówisz, że to nieprawda? Że się pomyliłem? Że nie mam dowodów?”

Tamten znowu się napił.

„Jak do tego doszedłeś?”, powtórzył z cicha.

„Doszedłbym do tego już wcześniej, gdybym do ostatniej chwili nie zabraniał sobie zrozumieć. — wymruczał Francuz. — Kiedy tamten rycerz natarł na nas, kiedyśmy jechali tam po raz pierwszy, rzekłeś mi potem, że spadłszy z konia zemdłałeś.

„Ale gdybyś zemdłał, nie mógłbyś widzieć tego, co potem się działo a przede wszystkim uciekających koni. A ponadto, dlaczego rycerz miałby mnie ścigać? Ty leżałeś na ziemi, bez życia; byłeś celem bardziej logicznym.

„To był, w gruncie rzeczy nieznaczący szczegół, który nie od razu mnie uderzył, również dlatego, że twoje wyjaśnienia były logiczne. Stanowił jednak fałszywą nutę w wydarzeniach, coś, co nie pasowało, coś, czego istnienie wyczuwałem, lecz nie mogłem rozpoznać. To było ostatnie brakujące ogniwo, to, od którego zależała reszta.

„A reszta składała się z plamy wosku, którą znalazłem w gołębniku arcybiskupstwa.

„Stara sztuczka. Kusza, wsparta na trójnogu albo czymś podobnym, napięta przy pomocy sznurka. W dole zapalona świeca. Czas, jakiego potrzeba, by płomień zdołał przepalić

sznurek zależy od rodzaju owego sznurka; tutaj musiała to być linka wystarczająco gruba, żebyś miał czas zapalić świece i zejść na dół.

„Potem wyrzuca się wszystko. Do latryny, skoro jest tuż obok.

„Wiele ryzykowałeś, wiesz? Kiedy poszedłeś się upewnić, że całe to urządzenie na pewno nie tkwi w ciemnej głębi, musiałeś z przerażeniem spostrzec, że — przeciwnie — zaklinowało się w pół drogi. Mimo to pomyślałeś zapewne, że to nie powód do zmartwienia, jako że nikomu nie przyjdzie do głowy, by odkrywać wychodki i zaglądać na to, co jest w środku, prawda? „Konrad zamilkł, otworzył usta, by odetchnąć i ciągnął: „Ale kiedy bełt wystrzelił, świeca wciąż płonęła i trochę wosku skapnęło na podłogę. Nie miałeś czasu, by się o tym przekonać, jeśli w ogóle o tym pomyślałeś.

„Po prawdzie jednak, komuż przyszłoby do głowy iść do gołębnika, i po co? A kiedy wcześniej lub później ktoś by poszedł żeby nakarmić ptactwo, w jaki sposób zauważyłby to pod stosem łąjna zaścielającego podłogę? Któż poza mną zwróciłby uwagę na trochę wosku na ziemi? A ja, jakież miałbym powód, by się udać do gołębnika?

„Wyczyścić? Nie ma mowy! Trzeba by potem znowu zabrudzić, gdyż gołębnik bez łąjna dopiero wzbudza podejrzenia!

„Zresztą nie miałeś wiele czasu: prawie zawsze ja byłem z tobą.

„Szczerze mówiąc, nie żywiłem wobec ciebie najmniejszych podejrzeń. Jednak to musiał być ktoś z arcybiskupstwa. Ale kto? Był nawet taki moment, że zacząłem podejrzewać samego arcybiskupa, tak daleki byłem od myśli, że to mógłbyś być ty. A tymczasem to byłeś ty. Doszedłem do tego dopiero później”.

Umilkł, zmęczony. Stopniowo zaczął mówić coraz pospieszniej, nie wiadomo dlaczego.

„Mogę też wyobrazić sobie, dlaczegoś to uczynił”, zakończył ze znużeniem.

Gaddo znowu nalał sobie wody i wypił jeden, dwa łyki. Potem, cały czas nie patrząc na Konrada, rozpoczął: „Widziałeś ją. Widziałeś, jaka była piękna”. Uśmiechnął się, wbiwszy wzrok w głąb szklanki. „Ale nie znałeś jej”. Zrobił nieokreślony gest. „Urządziłem wszystko wedle rytuału czarnej magii, żeby zmylić ślady. Mogłem tego nie robić, i tak nikt nigdy nie podejrzewałby mnie. Ale obawiałem się, by nie doszło do bójki między stronnictwami w mieście. Dlatego to zrobiłem. A te czarne włosy włożyłem jej w dłoń celowo, w razie gdyby prowadził dochodzenie ktoś jak ty przebiegły. „Tymczasem przybyłeś właśnie ty. „Los obszedł się ze mną złośliwie i okrutnie, z okrucieństwem wyrafinowanym. Bóg sprawił, iż zostanę skazany przez człowieka, na którym zależało mi najbardziej na świecie. Tak, jak ja skazałem niewiastę, na której zależało mi najbardziej na świecie”. Uśmiechnął się smutno. „Od dawna wszystko starannie przygotowywałem. Postanowiłem ją zabić i miałem dość czasu, by o wszystkim pomyśleć.

„Oszczędzę ci szczegółów. Wiesz, że potrafię wśliznąć się do domu tak, by nikt mnie nie widział i nie słyszał, że umiem zabijać po cichu i także po cichu porywać ludzi. Nabraliśmy w tym doświadczenia, w Palestynie.

„Wyjąłem jej serce. Nie dała mi go za życia, zabrałem jej po śmierci. Budzę w tobie obrzydzenie, prawda? Och, prawie zaraz je wyrzuciłem, jeśli ta wiadomość może ci pomóc czuć mniejszą odrazę. Potem pojawiłeś się ty. Doskonale wiedziałem, że skoro to ty, wszystko staje pod znakiem zapytania, że przy tobie najdoskonalsze plany tracą na doskonałości. I musiałem działać w pośpiechu”.

Choć pił, gardło miał wyschnięte. Napił się znowu, automatycznie.

„Powiedziano mi na spowiedzi, że w Pizie są katarzy — ciągnął, — ale nie przywiązywałem do tego większej wagi, bo i tak, z powodu interdyktu, było tyle problemów.

„A poza tym to miasto, tak powiązane z Fryderykiem Niemcem... Doszło do scysji między nim a papieżem również dlatego, iż tak pochopnie podpala stopy z heretykami! Oczywiście po to, by zagarnąć ich mienie. Możesz się domyślić, jak mu zależy na świętej wierze!

„Tak więc nie ma tu dobrego klimatu dla katarów; lecz gdyby istotnie byli tu jacyś, mnie nadarzała się okazja, by skierować w tę stronę twoje dochodzenie. Dlatego pomyślałem o strzale i przesłaniu”. Uśmiechnął się złośliwie, potrząsając głową. „To, że słowo „endura” czytane wspak dało akurat imię tego Turka, stanowi, mój drogi, jeden z wielu figli, jakie los trzyma dla nas w zanadru. Po prostu zbieg okoliczności. Czy uwierzysz w to czy nie, to tylko przypadek, absurdalna zbieżność”. Znowu się napił.

„W jaki sposób zorganizowałeś napaść rycerza?”

„Tamtego? Ach, tak, pojmuje twe wątpliwości. Faktycznie, byłem zawsze z tobą, a przynajmniej prawie zawsze.

„Ukrywał się w pobliskich górach. Zabił jakiegoś człowieka z okolic Wenecji. Powiedział mi o tym podczas spowiedzi. Jak wiesz, konfesjonały są zamknięte i nie widzi się twarzy spowiednika. Dla niego mogłem być jednym z setek żyjących tu księży.

„Krewni zabitego polowali na niego od lat i żył w ciągłym lęku, że go dopadną. Żył samotnie, w jakiejś grotcie.

„Wiesz, co świetnie robił? Chwytał gołębie i tresował je. Pewnego ranka znaleźliśmy u drzwi katedry pełną ich klatkę. Kto wie, prawdopodobnie chciał je ofiarować Kościołowi, anonimowo, jako zadośćuczynienie. Były bielutkie, jedyne w swoim rodzaju. Wtedy olśniła mnie myśl, by przesłać mu wiadomość. Byłem pewien, że wypuszczone na wolność gołębie wrócą do niego, i tak się rzeczywiście stało.

„Napisałem mu, co chce by zrobił, dając do zrozumienia, że jestem jednym ze ścigających go, że go odkryłem, lecz że może na zawsze odkupić swój występki dokonując zbrodni na zamówienie. Oraz, że ludzie, których trzeba zabić, zasługują na śmierć: wymyśliłem parę nikczemności.

„Oczywiście, nie byłem pewien czy to spełni, lecz nie miałem innego wyboru. W każdym razie dla kogoś tropionego od lat jak on, pokusa musiała być silna. I nie myliłem się”.

„Ale i ciebie by zabił!”.

Gaddo odstawił szklankę i popatrzył z powagą na Konrada: „Czy sądzisz, że mnie tak zależy na życiu? Nie kryję, iż od początku miałem nadzieję, że i mnie zabije.

„Tak, udałem, że tracę przytomność. Lecz on wolał ścigać ciebie, któryś uciekał. Potem wróciłby, żeby i mnie wykończyć. Pojawienie się Ugolina było naprawdę przypadkowe.

„Półprawdy, które ci o nim opowiadałem, miały posłużyć temu, byś skupił się na nim i na Viscontim. Zaś Szymon Visconti nieświadomie podjął moją grę, każąc ci sądzić, że i on uważa Ugolina za winnego.

„Wiedziałem jednak, że ty byś się dokopał prawdy. Postawiłbym na ciebie z zamkniętymi oczami. Chodziło mi tylko o to: umrzeć a nie dać ci powodów, byś podejrzewał mnie. Zależy mi na twoim szacunku, wiesz? Zależy mi, pomimo wszystko. Zdaję sobie sprawę, że w tej sytuacji wszystko to może ci się wydać śmieszne. Jednak komuś, kto dopuścił się tego, co ja, często zacierają się granice tego co logiczne i co chorobliwe; myśli gonią coraz szybciej, płaczą się.

„Co się stało? Instynkt przetrwania, który w końcu zwyciężył? Nagła pokusa, by zobaczyć, czy chociaż jeden raz w życiu uda mi się przewyższyć cię inteligencją? Nie wiem, nie zastanawiałem się już nad tym i nie chcę się nawet teraz zastanawiać. A zresztą, jakie to może mieć znaczenie?”. Milczał przez chwilę, pocierając dłonią o dłoń, odetchnął: „Potem wydarzenia zaczęły się toczyć, a ja nie mogłem nic zrobić. Próbowałem też odgrywać rolę tchórza. Kto wie, może to właśnie wzbudziło w tobie podejrzania!”.

„Nie, — odrzekł Konrad, — wcale nie. To naprawdę wziąłem za dobrą monetę. Podobnie, jak w najmniejszej mierze nie podejrzewałem na początku, iż na cmentarzu to ty zarzuciłeś mi płaszcz na głowę i udałeś napad”.

Był śmiertelnie smutny, rozdarty pomiędzy pragnieniem, by dotknąć ramienia tego człowieka, którego naprawdę lubił a odrazą wobec tego samego człowieka, który w końcu był zabójcą, winnym wobec Boga, wobec Kościoła i wobec ludzi. Litość? Oczywiście, tak. To uczucie przeważało w jego duszy. Innego nie było.

„Czy długo byłeś jej kochankiem?”, zapytał go ochryłym głosem.

Gaddo uśmiechnął się z niezmierną goryczą: „Ależ skąd, niespełna cztery miesiące!”. Znowu się uśmiechnął. „Lecz to wystarczyło, żeby oszaleć”.

Znowu nalał wody, nie dostrzegając, że się już przelewa poza brzegi szklanki. Ale nie wypił. Znowu zaczął mówić: „Umawialiśmy się na spotkania w konfesjonale. Chodziłem do niej w nocy. Nigdy nikt się o tym nie dowiedział.

„Aż kiedyś, ni stąd ni zowąd, z powagą popatrzyła mi w oczy. Rzekła tylko: „Skończone”.

„Patrzyłem na nią bez słowa. Patrzyłem cały czas, gdy się ubierałem. Ostatni raz obróciłem się ku niej wychodząc oknem.

„W tym właśnie momencie postanowiłem ją zabić”. Skrył twarz w dłoniach. „Dlaczego? Nie wiem. To nie był raptus szaleństwa. Ani też atak gniewu, nie. Myślałem z pełną

jasnością, spokojem. Zorganizowałem rzecz całą na zimno.”

Powoli odsłonił twarz i spojrział Konradowi prosto w oczy.

„Było mi nawet wszystko jedno, czy pójdę do piekła!”.

Konrad przesunął dłonią po karku, utkwivszy wzrok w ścianie.

„Zrobiłbyś to jeszcze raz?”, zapytał.

Gaddo milczał. Patrzył bez przerwy na przyjaciela i nie odpowiadał.

„Powiedz mi, czy zrobiłbyś to jeszcze raz!”, krzyknął Konrad w stronę ściany, cały drżąc.

Gaddo spuścił powieki i zaczął z wolna kręcić głową, a broda trzęsła mu się od powstrzymanego płaczu.

Kiedy ostatni raz płakał? Nawet nie pamiętał. Może kiedy był dzieckiem. Mężczyźni nie płaczą. Tylko niewiasty mają to szczęście.

„Chcesz się wypowiedzieć?”, zapytał Konrad, tym razem opanowanym tonem.

„Już ci wszystko wyznałem”.

„Chcesz rozgrzeszenia?”

Gaddo zrobił bezsilny gest. „Jak ty to robisz, że zawsze pamiętasz, żeś jest księdzem, nawet w chwilach takich jak ta? Rozgrzeszenie? Och, tak! Raz, dwa, trzy, i już: *ego te absolvo* i tak dalej, i tak dalej. I to koniec? Sumienie jest spokojne, jak u Świętych Pańskich? Ach, Bóg jest nieskończenie miłosierny! Wybaczył i tym, którzy zabili Jego Syna! Czymże może być dla Niego zabójstwo jakiejś ladacznicy! Ach, jakże... monotonne jest to wszystko! i jakże... katechetyczne!

„Jezus jest tak dobry! Oddał za nas życie! — mówił z kpina w głosie — Ileż razy to słyszałem! I ileż razy sam to mówiłem! Módlcie się, bracia, módlcie się! Bóg jest dobry! Proście Go o to, czego potrzebujecie, a On da wam, zanim jeszcze Go poprosicie!”. Wycelował palcem w Konrada. „Lecz czy ty w to wierzysz? Teraz ty mi odpowiedz! Wierzysz w to?”, zawołał.

Konrad nie rzekł ni słowa.

„Widzisz? Zgoda, jestem winien względem ludzi, to prawda. Lecz względem Boga? Względem tego, co dopuścił a czego nie zabronił? Względem pokus, których mi nie szczędził? Względem udreki całego życia, modlitw, których nigdy nie wysłuchał? I dlaczegóż to muszę szukać rozgrzeszenia, i z czego? Ja w to nie wierzę! A jedno Niebo wie, jak bardzo chciałbym wierzyć!

„Nierzędnica, która nie ma ochoty poślubić jakiegoś nieboraka i spędzić życie bez złamanego szeląga, która chce obficie jadać, mieć ogrzany dom, ubiory, i chce to mieć już, bez czekania... jest winna cudzołóstwa? A co powinna zrobić, żeby zadowolić tego Boga? Zgodzić się na życie... byle jakie: życie... niewysłuchanych modlitw?

„Widziałem jednak ludzi, którzy woleli umrzeć z głodu, o tak. Lecz nigdy ich nie rozumiałem. A nawet widziałem, jak nieszczęście po tysiącokroć uderza właśnie w sprawiedliwego! Kawalek chleba, cóż to jest dla Stwórcy wszechświata? Widziałem tyle

cierpień, którym można było by zaradzić tak niewielkimi środkami. Tyle sytuacji, które znalazłyby szczęśliwe rozwiązanie dzięki garści złotych monet.

„Ale nic takiego nie nastąpiło. Nie nadeszła żadna pomoc, ani od ludzi, ani od Boga.

„Jednak ludzie są źli! Obciąża ich grzech pierworodny, robią to, co potrafią! Ale Bóg? Bóg jest dobry! Czyż nie? Odpowiedz! Jest dobry! Musi być dobry, przynajmniej On!

„A tymczasem nie ma większego skąpca nad Opatrzność! Jeżeli czasem coś daje, to tylko dlatego, by człowiek mógł dalej cierpieć! O, tak! Niekiedy śmierć byłaby najpomyślniejszym rozwiązaniem! Byłaby wyzwoleniem! A tymczasem nie, nawet jej skąpi! Lecz czegoż ja oczekuję? W końcu Bóg jest Żydem!”

„Nie bluźnij”, mruknął Konrad.

„To nie bluźnierstwo, to rozpacz! Nigdy nie wiedziałem, jak wzruszyć tego Boga! A skoro ani Go ziębią, ani grzeją modlitwy, zabójstwa, czy co tam jeszcze, to i obelgi nic Mu nie mogą zrobić. Cóż ci jeszcze pozostaje? To cała nasza wolność!”

Konrad odwrócił się do niego plecami! Jakaś dławiąca kula tkwiła mu w gardle, utrudniając oddychanie. Przełknął z trudem ślinę. Oczy przesłonił mu nieogarniony smutek. Odwrócił się do Gadda i zaczął powoli mówić.

„Nigdy nie pojmowałeś znaczenia krzyża ani szaty, którą nosisz. Rozumiem cię, gdyż i ja, do niedawna, byłem w takim jak ty położeniu”. Zamknął oczy. Potem otworzył je i zmęczony ciągnął: „Postanowiłem przywdziać habit bardziej z poczucia znużenia w konfrontacji ze światem, niż z innego powodu.

„Myślałem, że taki sposób życia nada mojej obecności na ziemi większej czystości i szczerości oraz rozjaśni mi sens istnienia, odpowiadając na wszystkie «dlaczego», uwalniając mnie od wszystkich moich obsesji.

„Jednak tak się nie stało. Co więcej, do jednej obsesji doszła druga: niemożność wykrzyczenia moich bluźnierstw. Przez całe życie w mojej duszy szalała burza. Przez całe życie. I po to tylko, bym doszedł do zrozumienia jednej rzeczy: że nie rozumiałem.

„Najpierw sądziłem jak wszyscy, że burze i nieszczęścia są biczem Bożym, karzącym nas za grzech.

„Lecz to nie była prawda. To nie jest prawda. Burze są też przejawem miłości Boga do człowieka, do wszystkich ludzi. Burza wszystko niszczy. A potem trzeba budować na nowo. Nie zdoła jednak zniszczyć tego, co zostało solidnie zbudowane. A kiedy nawet zniszczy wszystko, ukazuje tym samym, że nic nie było solidne, że trzeba wszystko zbudować na nowo.

„My jednak nigdy nie mamy odwagi zburzyć naszych małych nędznych rzeczywistości, żeby stworzyć coś doskonalszego. Tak bardzo jesteśmy przywiązani do swoich budowli, budowa trwa tak długo i kosztuje tyle trudu, iż wolimy się ludzić, że to co jest, jest czymś najlepszym z możliwych. I w końcu w to wierzymy.

„Lecz nadchodzi burza. I robi to, czegoś nie chciał, albo nie potrafił zrobić. Drzewo, jeśli to było drzewo, pozostaje. Odpadają tylko zeschłe konary!”. Utkwił wzrok w oczach Gadda i

ciągnął: „Co to jest, w co my, chrześcijanie, wierzymy? Jakaś doktryna, zbiór dobrych rad? Nie. To jedna jedyna rzecz: Chrystus. I to Chrystus ukrzyżowany. Ileż razy będziemy odczytywać słowa św. Pawła! Lecz kim jest Chrystus? Czy ty to wiesz? Nie. Nie wiesz. Ja też tego nie wiem.

«Za kogo uważają Mnie ludzie?», zapytał Jezus uczniów. A oni przytoczyli mu najrozmaitsze odpowiedzi, to wszystko czym przez wieki zdawało się że jest, czym jeszcze będzie się zdawać i czym zda się być, nam, w naszym życiu.

«A wy, za kogo Mnie uważacie?», pyta dalej Chrystus. I zauważ, że spośród wszystkich, odpowiedział tylko Piotr: «Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego». I usłyszał odpowiedź: «Błogosławiony jesteś Szymonie, synu Jony. Albowiem ciało i krew nie objawiły ci tego, lecz Ojciec mój, który jest w niebie».

„Słyszałeś? Nie ciało i nie krew! I jeszcze w innym miejscu: «Nauczycielu, które jest pierwsze ze wszystkich przykazań?». Jezus odpowiedział: «Pierwsze jest: Słuchaj Izraelu! Będiesz miłował Pana, Boga swego, całym swoim sercem, całą swoją mocą i całym swoim umysłem, a bliźniego swego jak siebie samego».,,

Teraz Konrad płakał, nie kryjąc łez, i mówił przerywanym głosem.

„Jeszcze nie pojmujesz? To jest królestwo niebieskie! Nosimy je w sobie! Tak, wiem, że słyszałeś to zdanie tysiące razy, ale zastanów się przez chwilę! Jeśli ktoś to zrozumiał, wszystkie kłopoty, cierpienia, rozczarowania, upadki nie mają żadnego znaczenia. Przeciwnie, są zwycięstwami! Całe życie spędzone w najbardziej niewysłowionych udrękach fizycznych i moralnych po to tylko, żeby na chwilę przed śmiercią to zrozumieć jest życiem naprawdę dobrze przeżyтым!

„Jakież znaczenie mają wielkie dzieła, nawet dobre i święte, których ktoś potrafiłby dokonać, skoro moc dokonania ich nie zależy w najmniejszej mierze od ciebie? Tyle zewnętrznych okoliczności determinuje możliwość urzeczywistnienia czegokolwiek, a człowiek nie ma mocy, by je zweryfikować! Bóg czasami używa jej, czasami nie, ale tylko po to, by dać nam do zrozumienia, że dla Niego nie mają one żadnego znaczenia!

„Cóż by mi było po żonie, po synu, po przyjacielu, którzy czciliby mnie tylko zewnątrz, choćby i przez całe życie, lecz których serce byłoby o tysiąc mil ode mnie? Czy nie wolałbym bardziej, sto razy bardziej, choćby jednego współczującego wejrzenia, jednego lecz płynącego z głębi serca?

„Czy ze wszystkich niezliczonych modlitw, którymi zanudzałem Boga przez całe moje życie mężczyzny i księdza, nie należało uformować jednej, wciąż tej samej: «Kim jesteś, Panie Jezu?»

„Odpowiedź nadeszłaby natychmiast... później... w końcu życia... wszystko jedno kiedy. Niewątpliwie jednak dokładnie wtedy, kiedy trzeba, ani wcześniej, ani później. Kiedy kropla spadłaby do wypełnionego już po brzegi kielicha, by go przepelnić. Kiedy twoje doświadczenie i twa człowiecza dojrzałość znajdą nareszcie Boga słuchającego, milczącego o

wszystkim innym i słuchającego jedynej, naprawdę ważnej rzeczy. «Słuchaj, Izraelu!». Słuchaj!»

Konrad przetarł nerwowo oczy i odwrócił spojrzenie, spoglądając w jakiś nieokreślony punkt. Ściszył niepostrzeżenie głos.

„Po śmierci rodziców, postanowiłem wyruszyć na wyprawę krzyżową i iść walczyć do Ziemi Świętej.

„Mój ojciec, jak wiesz, był kupcem. Jeździliśmy z jego wyprawami oboje, ja i matka. Czasem zatrzymywaliśmy się w składach towarowych pizańskich, lub weneckich, lub marsylskich... lecz potem znowu wyruszaliśmy w drogę. Wtedy myślałem, że z powodu konieczności związanych z zawodem rodziców. Ale myliłem się.

„Ojciec był silnym i wesołym mężczyzną, z każdym się zaprzyjaźniał. Mówił wieloma językami, których i ja się nauczyłem z tą łatwością, jaką posiadają dzieci.

„Matka zaś miała zupełnie inny charakter. Była niewiastą wielce wrażliwą i melancholijną. Kochali się, wiem na pewno, ale nigdy się nie zrozumieli. Kłótnie i brak zrozumienia były codziennością. On wybuchał atakami gniewu, tyleż gwałtownymi co krótkimi, na co ona odpowiadała przedłużającym się milczeniem, trwającym dni i tygodnie.

„Oboje głęboko religijni nigdy, nawet przez chwilę nie myśleli o tym, by się rozstać... a może tak byłoby lepiej, nie wiem... lecz woleli milcząco ocalić jedność rodziny.

„I tak bez ustanku zmienialiśmy miejsce pobytu, może aby wypełnić tę pustkę uczuciową, którą, zwłaszcza przy stole, można było niemal dotknąć ręką, tak bardzo stawała się czasem nie do wytrzymania.

„Ten zły klimat przeniósł się w końcu i na mnie, wyssałem go z mlekiem, którym karmiła mnie matka. Wzrastałem, mając wszystko, co chciałem, ale czułem, że nie mam rodziny, tylko ojca. Oraz matkę, na drugim końcu stołu.

„Sypiali razem, ze względu na świętość małżeńskiego łoża. Ale pozostałem jednakim. Wracając pamięcią do tamtych czasów sądzę, że tak było lepiej.

„Wcześniej objawił się dystans między mną i nimi. Nigdy nie udało mi się żyć w zgodzie ani z jednym, ani z drugim. Kto wie... może dlatego, że byłem podobny do obojga.

„W miejscowościach, w których kolejno przebywaliśmy, cały czas spędzałem w szkole zaś podczas wakacji do domu wpadałem po to tylko, żeby zjeść i przespać się. Całymi dniami buszowałem po sklepikach rzemieślników, ciekaw wszystkiego.

„Czasami godzinami słuchałem kaznodziejów, wędrownych filozofów, przybyłych z daleka alchemików, krzyżowców i żeglarzy, którzy opowiadali niezwykle historie o tym, co widzieli lub co wydawało się im, że widzieli... Potem odkryłem niewiasty i namiastki miłości...

„Był to okres mego kryzysu. Wciąż chodziłem do szkół, ale już się nie przykładałem do nauki. W moim umyśle zaczęły się rodzić pytania. Zacząłem czytać o wszystkim, ale niczego nie pogłębiałem.

„A potem umarli moi rodzice, jedno wkrótce po drugim. Płakałem, oczywiście, ale nie wstydzę się wyznać, iż w duszy odczułem jakby ulgę. Niewątpliwie, z powodu egoizmu, lecz tak właśnie było.

„A teraz, dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że żądałem od Ojca niebieskiego tego wszystkiego, co, jak mniemałem, winni mi byli rodzice ziemscy, a czego mi nie dali. Myślałem, że szukam Boga, a szukałem jedynie oddalenia swych udreń. Tak więc moja modlitwa była tylko narzekaniem. Albo bluźnierstwem”.

Zamilkł na chwilę, pochyliwszy głowę. „Nie wiem, czy to, w co dziś wierzę jest nieodwracalnym objawieniem, czy też jutro powrócę do zwyczajnych, codziennych nędz, ale to bez znaczenia. Doświadczenie nauczyło mnie nie wierzyć chwilowym olśnieniom. Jedni ich doznają, inni nie. A zresztą, człowiek zapomina.

„Pamiętasz, jak mi mówiłeś, że urodziłem się pod tym samym znakiem zodiaku, co św. Augustyn? Oczywiście, wiedziałem o tym, ale tym razem zacząłem się nad tym zastanawiać. Przeczytałem ponownie jego Wyznania, tak jakbyś je ty przeczytał. Jego nawrócenie wstrząsnęło mną, lecz nie rozważyłem do końca faktu, iż to był jego sposób nawrócenia się.

„Wadą hagiografii jest to, że prawie nigdy nie jest prawdomówna. Hagiograf zawsze stara się podkreślać świętość danego świętego, pozostawiając w cieniu inne szczegóły, a zwłaszcza jego trud duchowy. A tymczasem to te elementy powinny zostać poznane, bardziej aniżeli cuda, czy wizje, czy heroiczne czyny.

„Żywoty świętych pisane przez nich samych mają natomiast odmienną wadę, jako że święty piszący o sobie zawsze się lęka, by nie przekroczyć granic pokory.

„Tak, chociaż są to zawsze piękne opowieści, to życie każdego człowieka jest jedyne i niepowtarzalne. Sam Bóg szuka jego serca, a kiedy je znajdzie, przemienia je.

„Jak to wytłumaczyć? Nie wiem. Zmienia się jednak sposób widzenia spraw, nagle, albo stopniowo, trzy kroki do przodu i jeden do tyłu, dziesięć do tyłu i jeden do przodu... a potem... z nagłą, albo prawie nagle... zaczynasz widzieć, jak twój bliźni miota się, płacze, śmieje się, zabija, mówi, i mówi... ponieważ nie zna Boga. I nie możesz go znienawidzić, tego bliźniego, już nie potrafisz! Odczuwasz jednak głęboką litość... i chciałbyś mu to powiedzieć! Ale nie możesz... on jeszcze nie rozumie... musi poczekać.

„Jak ty.

„I wtedy staje się łatwe nadstawić mu drugi policzek i dać sakiewkę, suknię i całą resztę! Gdybyż to tylko pomogło zrozumieć temu, kto cię rani, że... że nie zrozumiał.

„I czymże jest w takiej sytuacji grzech, pokusa... jeśli nie bólem z powodu zdradzenia największej jaka istnieje przyjaźni, jedynie z powodu ludzkiej kruchości! A gdyby nawet był nie jeden, lecz dziesięć, tysiąc innych grzechów, jakież to miałyby znaczenie w obliczu Tego, który był tak cierpliwy? Czy można żądać, by nie ubrudzić sobie przynajmniej butów, kiedy się chodzi po błocie?

„I ty wiesz, że On to wie.

„A skoro On o to nie dba, dlaczego chcesz obciążyć tym swoją duszę?

„A czymże jest dla kogoś, kto rozumiał, bezmiar grzechów czy bezmiar jednego grzechu, skoro wie on, iż choćby jeden najmniejszy akt prawdziwej miłości miłosiernej może przesłonić wszystkie winy, zarówno własne, jak i cudze? Czyż nie powtarzano nam tysiące razy, że więcej aniżeli wybudowanie dziesięciu tysięcy katedr warte jest przesunięcie jednej słomki z czystej miłości do Boga?”

Konrad uniósł nagle ku przyjacielowi oczy pełne łez i celując weń palcem zawołał: „Czy wiesz, jaki jest ból największy na świecie? Widzieć, jak ukochana osoba cierpi i nie móc nic uczynić! Chciałbyś wziąć jej cierpienie, bo sądzisz, że zniesiesz je lepiej, byleby zostało ono jej oszczędzone!

„A kim jest ten, kto cierpi najbardziej, na ciele, albo, co jeszcze gorsze, na duszy? Ten kto wrażliwszy!

„A kim jest ten, kto potrafił cierpieć bardziej niż ktokolwiek? Bardziej, niż można sobie wyobrazić, gdyż był nie tylko człowiekiem! Oto kim jest Chrystus i oto dlaczego odnajdujesz Go w chwili największej udręki!”

Opuścił ramię i ściszył głos, szlochając.

„I właśnie dlatego nie potrafię cię osądzić. Nie potrafię”.

Niespodziewana cisza zaległa w komnacie. I dziwna rzecz, obaj odczuli ją jak gwałtowną moc. Lecz nie była ciężka, ta cisza, nie. Była... pogodna.

Gaddo czuł, jak jego głowa uwalnia się od myśli, a z piersi podnosi się do gardła płacz, niczym stare wspomnienie sprzed lat, wspomnienie którego chyba nawet nie miał. I z gardła wzniósł się płacz do oczu, i spłynął z obfitymi, nieprzebranymi łzami.

Dwaj dojrzały, zahartowani we wszelkich trudach mężczyźni płacząc, spoglądali na siebie w milczeniu, i czuli przemożną chęć uściśnięcia się ze wszystkich sił.

Siedzieli tak, a chwila ta zdała się im niewiarygodnie długa. Potem Konrad gwałtownym ruchem obtarł sobie oczy, odwrócił wzrok i rzekł:

„Nie mam tu już nic do roboty. Sprawa załatwiona. To byli katarzy. Są na to wszelkie dowody. Wszyscy w mieście będą zadowoleni. Arcybiskup zjednoczy ich w krucjacie przeciw heretykom. Jeśli ich kiedykolwiek zdołają znaleźć”.

Zgarnął płaszcz i wyszedł nie odwróciwszy się.

Epilog

Nie wiem jak długo tam pozostałem, bez jednego ruchu i bez jednej myśli. Potem zobaczyłem, że niebo przybiera barwę ołowiu. Prawie świtało. Wyszedłem w ciszy i dosiadłem konia. Udałem się na południe.

Po wielu dniach przybyłem tutaj, do tego opactwa. Byłem obdarty i ledwie żywy ze zmęczenia, nic nie jadłem, Bóg wie od kiedy. Mnisi przyjęli mnie i pozwolili się posilić.

Minął jakiś czas, aż opat wezwał mnie i porozmawiał ze mną w cztery oczy. Rzekł, iż domyśla się, że uciekam przed czymś albo przed kimś. Albo przed sobą samym. Powiedział też, że nikt o nic mnie nie będzie pytał, i że mogę zostać jak długo zechcę.

Zostałem.

I jestem tu do dzisiaj. Nikt mnie nigdy o nic nie pytał i nikomu nigdy nic nie powiedziałem.

Wkrótce zemrę. Nie wiem kiedy, ale — czuję to — już niedługo.

Umieram w pokoju, gdyż wyspowałem się i otrzymałem rozgrzeszenie.

Dawno temu.

Od ojca Konrada Leclerca z Tours.